

ODRODZENIE

TYGODNIK

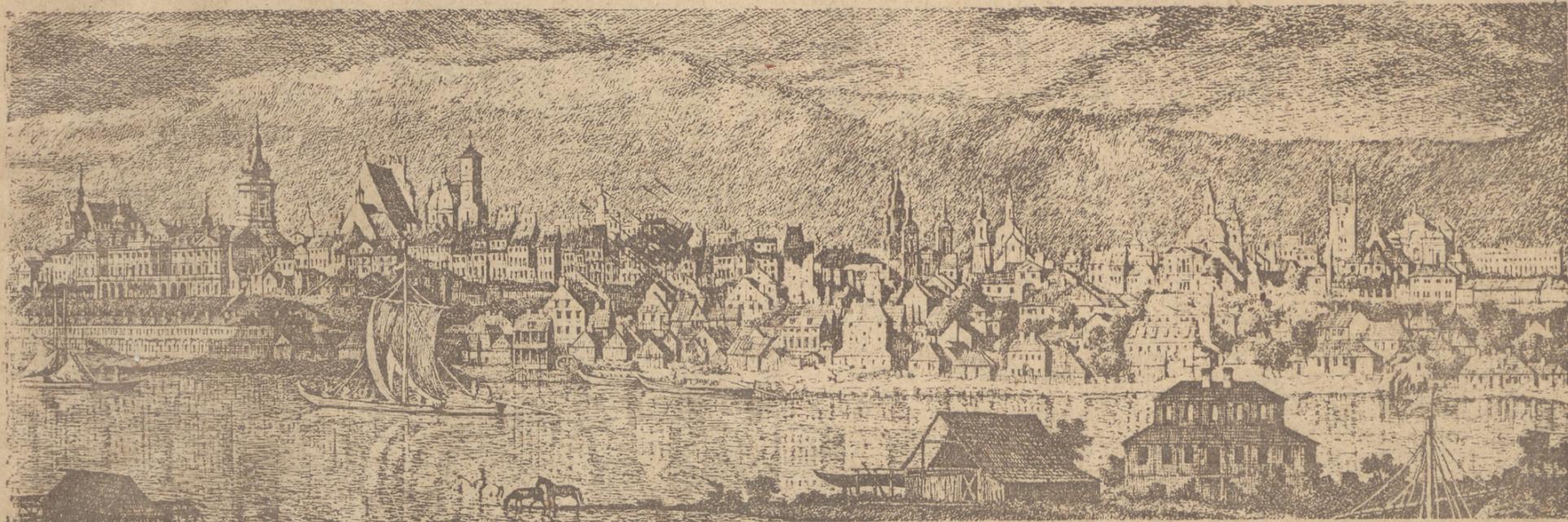
BIBLIOTEKA
WISZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDANSKU

Rok II

Kraków, dnia 23—30 grudnia 1945 r.

Miuw 22253

Nr 56—57



CANALETTO

WARSZAWA — STARE MIASTO (sztych z 1772 r.)

WACŁAW OSTROWSKI

WISŁA

Spoglądam z okna pracowni, w której powstają koncepcje plastyczne nowej Warszawy. Na pierwszym planie beładnie rozrzucone budynki; dalej park łażeniowski, poszarzały od chłodu; za nim rozległa, płaska dolina Wisły z szeroką wstęgą rzeki; w głębi mającej miękkie kontury zabudowań opartych o ścianę lasu. Słońce wylania się zza chmur, promienie jego ożywiają najpierw przygasły maszyn parku, ślizgają się po nadwiślańskich łąkach, rozjaśniają nagle szarą taflę wody, wreszcie muskają zamglony las na horyzoncie i nikną. Majestatyczna rozległa dolina Wisły, zazwyczaj jakby przycichła, ożywiła się na krótko, oślniła i znów zamilkła.

Jakby wydobyć w pełni piękno tego krajobrazu? Jak ujarzmić Wisłę, wrzącą ją do kompozycji plastycznej stolicy? Jak uchwycić w dłoni jej potężny nurt, aby obdarzyć miasto całą jej krasą?

Urok Wisły najsilniej przemawia do nas, gdy jesteśmy w bezpośredniej jej bliskości, gdy patrzymy na jej ruchliwe wody, gdy znużeni zgiełkiem miasta słuchamy jej szumu. Całą wielkość Wisły odczuwamy, odmierzając krokami na Łoście szerokość jej koryta. Bulwary nadbrzeżne i gęsto przetrzone mosty zacieśniają kontakt z wodą mieszkańców stolicy, rozsiadłych po obu stronach rzeki. Kwamy antykwaryusz na zaciętych bulwarach wzdłuż Sekwany; w dole cicha ścieżka tuż ponad chłodną taflą wody; sielanka w samym sercu Paryża. Tamiza to przede wszystkim wielki port; wzdłuż jej brzegów, zwłaszcza przy ujściu do morza, rozłożyły się składy i fabryki. Ale tam, gdzie wybrzeże dostępne jest dla publiczności, ławki stojące wśród soczystej zieleni tworzą oazę w kamiennej pustyni wielkiego miasta.

Ale Tamiza ma koło mostu Westminsterkiego tylko 235 metrów, Sekwana liczy około 150 metrów szerokości, rzeka Moskwa jest jeszcze węższa. Inaczej Wisła. Most Poniatowskiego ciągnie się na długości pół kilometra, jego wiadukt jest jeszcze dłuższy, cała budowla ma 1200 metrów długości. Jeżeli nawet po przeprowadzeniu regulacji tafla Wisły zwęzi się, szerokość jej doliny pozostanie niezmienną. Na południe od mostu Poniatowskiego wysoki brzeg rzeki oddala się jeszcze od jej koryta, dolina Wisły rozszerza się majestatycznie. Każda rzeka tworzy zapórę w organizmie miasta. Gdy szerokość jej jest nieznaczna, łatwo ją przetrwać, ale w miarę tego jak rośnie, woda oddala obydwa brzegi, związki między nimi słabną, aż wreszcie miasto wybiera sobie tylko jeden z nich. Stalinogród jest takim miastem jednobrzeżnym, ciągnącym się na długości dziesiątków kilometrów wzdłuż pąbrzmiałej wodami dopływów Wołgi. Dolina Wisły osiąga na terenie Warszawy taką szerokość, że miasto lewo- i prawobrzeżne nie tworzy tak organicznej całości, jak w stolicach nad Tamizą, Sekwaną czy Moskwą. Nawet znaczne zwiększenie liczby mostów niewiele by pomogło, nie wypełniłyby ich nieprzerwane potoki wozów i przechodniów, spieszących w jedną i drugą stronę, charakterystyczne dla typowych sto-

lic obubrzeżnych. Zresztą w niewielkich odstępach wzniesione długie wiadukty i mosty pozbawiłyby Warszawę uroku, jakim dominuje nad innymi stolicami — majestatycznych, rozległych perspektyw wzdłuż doliny rzeki.

Dlatego krajobraz Wisły powinien mieć w swej śródmiejskiej partii inny charakter aniżeli na odcinkach peryferyjnych. Pomiedzy mostem Poniatowskiego i Cytadelą dolina Wisły zwęzi się, obydwa brzegi zbliżą się do siebie. Natura wyznacza ten fragment doliny na przeprawę. Istotnie — tu powstaje miasto średniowieczne na brzegu lewym, a po przeciwległej stronie ludne osiedla, tu związki między obydwooma brzegami są i powinny być nadal najsilniejsze; tu wyrastają mosty łączące Warszawę z Pragą. Na tym odcinku miasto ma najbardziej dwubrzeżny charakter; liczba mostów dla ruchu osobowego powinna tu być możliwie wielka. Być może, że i dalej na północy trzeba będzie wzniesić dalsze mosty, aby powiązać Żoliborz i Bielany z projektowaną na przeciwległym brzegu wielką dzielnicą przemysłową.

Natomiast na południe od mostu Poniatowskiego krajobraz zmienia się. Wysoki brzeg oddala się od koryta rzeki, dolina Wisły jest coraz szersza i rozleglejsza. Ze Skarpy zstępuje ku dolinie stary drzewostan parku Ujazdowskiego i Łazienek. Na przeciwległym brzegu zabudowa urywa się na Saskiej Kępie, za nią ciągną się podmokłe tereny niebudowlane. Na tym odcinku Warszawa staje się miastem jednobrzeżnym, związki między obydwooma brzegami słabną. Następny most powinien być zbudowany dopiero znacznie dalej, będzie on służył raczej ruchowi dalekobieżnemu, omijającemu miasto. Przecięcie rozległych perspektyw długimi mostami i wiaduktami byłoby niepożądane. Wisła zmienia tu swój kierunek. Na północy płynęła równoległe do miasta, teraz odchyła się ku wschodowi tak, że oś jej biegnie wprost na śródmieście z jego piętrzącą się zabudową. Zadaniem urbanisty jest związane kompozycji dzielnic centralnych z tą osią i ukształtowanie wspaniałej perspektywy, jaką sama natura na miasto otwiera.

A co począć z Powiślem? Przed wojną zabudowywało się ono coraz gęściej. Łuki między domami wypełniały się, beładny konglomerat domów mieszkalnych, gmachów pu-

blicznych i fabryk wypełniał dolinę rzeki, zasłaniał spojrzenie na Wisłę, zakrywał Skarpę, która przez wieki była elementem dominującym w krajobrazie Warszawy. Dziś Powiśle, zasłane rozbitymi strzępani zabudowań, jest wielkim szerniałym od dymu pogorzeliściem, z którego gdzienigdzie tylko wylaniają się ocalałe budynki.

Zabudowa, jaką człowiek w ciągu długich dziesiątków lat uparcie zniekształcał krajobraz Powiśla, rozsypała się nagle w gruzy. Nieoczekiwanie można zetrzeć z oblicza miasta grzechy przeszłości, zdawało by się nie do odrobienia. Było by grzechem naszym, gdybyśmy nie wyzyskali tej jedynej szansy. Pierwsza myśl, jaka się nasuwa: nie dopuścić do ponownej zabudowy Powiśla, nadać mu charakter możliwie zbliżony do naturalnego krajobrazu, pokryć je zielenią, zamieścić w wielki park publiczny. Myśl to bardzo pożądana — ale czy ulec pokusie? Czy wał zieleni, odwiedzanej na ogół przez niewiele osób, nie oznaczałyby wyludnienia Powiśla, czy nie oddaliłyby śródmieścia od rzeki? Czy nie byłby już przesadnie wielki w zestawieniu z potrzebami miasta i jego możliwościami gospodarczymi? Jeśli chcemy zacieśnić więzy Warszawy z Wisłą, Powiśle nie może być martwe. Trzeba je znów ożywić. Można je nawet częściowo zabudować — ale zupełnie inaczej niż dawniej. Nie budynkami przemysłowymi lub biurowymi, dla których stanowczo nie tutaj miejsce; nie domami czynszowymi zyskującymi wyjątkowe walory sytuacji tylko dla swoich mieszkańców. Należy przekształcić Powiśle w rozległy teren wypoczynkowy stolicy, umieścić tu lokale związkowe, kluby, kina, sale koncertowe, wystawy, kawiarnie, oprócz o Skarpę otwarte amfiteatry, słowem zrealizować tu bogaty program czasów i rozrywek kulturalnych wielkiego miasta. Budynki powinny być niewysokie, aby nie zasłaniały spojrzenia ze Skarpy na Wisłę i odwrotnie na Skarpę; rozstawione z rzadka i otoczone zielenią, aby nadać krajobrazowi Powiśla właściwy charakter; wreszcie rozplanowane z myślą o perspektywach na rzekę. Na południe od mostu Poniatowskiego zabudowę trzeba będzie coraz bardziej ograniczać, skupienia zieleni powiększać, a tereny, położone na południe od załomu Wisły, przeznaczyć całkowicie na cele sportowe ze stadionami cwi-

czebnymi i olimpijskim terenami sportów wodnych, parkami itp.

Na Powiślu zachowały się niewielkie zwarte partie nowszych budynków mieszkalnych. Nie można ich dziś burzyć; przeciwnie, trzeba je doprowadzić do stanu używalności. Jednakże fakt uratowania ich nie powinien przesłaniać nam wielkiego zadania, jakie przed nami stoi: doprowadzenia całego Powiśla do stanu zgodnego z wyznaczoną mu funkcją w organizmie miasta i z jego właściwym obrazem przestrzennym. Wysokie, zwarte bloki mieszkalne z programem tym nie dadzą się pogodzić. Być może, że nie będzie nam dane wymieść Powiśle do czysta; obowiązkiem naszym jest przekazać to zadanie pokoleniu następnemu. Plany urbanistyczne realizują się często na przestrzeni stuleci. Najwspanialsze założenie urbanistyczne Paryża, wiodące od Luwru poprzez Tuilerie, Plac Zgody, Pola Elizejskie do Placu Gwiazdy, sprawia dziś wrażenie jednolicie skomponowanej monumentalnej całości. W rzeczywistości narastało ono stopniowo w ciągu długich wieków. Ale wszyscy jego współtwórcy wyczuwali znakomicie sugestię krajobrazu nadsekwanińskiego; i Katarzyna Medyceuszka, która do Tuilerii dwór przeniosła; i Ludwik XIV, który wyciął w lesie drogę ku wzgórzu Chaillot; i Napoleon I, który na nim łuk tryumfalny począł wznosić; i Ludwik Filip, który budowę doprowadził do końca; i wreszcie Napoleon III, który usunął rudery, do ostatniej chwili całość szpecąc. Projekt urbanistyczny nie musi dostosowywać się do możliwości realizacyjnych lat najbliższych — byleby był dobry i był go istotnie w miarę sił w życie wcielano.

Brzeg praski jest również zeszpecony beładną zabudową. Saska Kępa służyć może za przykład niepowodzeń, jakimi się zakończyły próby planowego kierowania rozwojem Warszawy w okresie między dwiema wojnami. Teren położony w pobliżu rzeki, o warunkach naturalnych nie sprzyjających zabudowie, do niedawna jeszcze pokryty zielenią, został rozparcelowany i zabudowany. Drzewa padły ustępując miejsca budynkom. Starano się nadać budownictwu charakter uporządkowany i skomponowany. Rezultatem jest jedynie geometryczny porządek sieci ulic, natomiast budynki są ze sobą zupełnie nie zgrane, uderzają przypadkowością i różnorodnością ukształtowania architektonicznego, tworzą całość beładną, szpecącą krajobraz doliny Wisły. Zabudowa innych fragmentów prawego brzegu przedstawia obraz nie lepszy. Ale Praga wyszła z opresji wojennej względnie dobrze i o burzeniu większych partii zabudowanych nie może być dziś mowy. Natomiast należy rozważyć wzniesienie, pomiędzy istniejącą zabudową a samą rzeką, budynków, które zasłaniając przynajmniej częściowo dalszy plan, swą odbijającą się w zwierciadle wód architekturą wzbogaciłyby obraz brzegu praskiego.

Rzeka przejawia swą całą wielkość nie tylko, gdy na nią patrzeć z bliska, ale także gdy spojrzeć z oddalonego miejsca wzniesio-

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

MOTYW Z CHOPINA

Październikowe, odarte,
jąłżone dziobem przez wrony
bądź wierne do ostatka
niezabliźnionej swej męce —
o widmo różny rycerskiej,
co lonem trwasz zapalonym
i gęstym dymem pożarów
w poplochu wiejesz przez serce.

Zmiluj się widmo następne
ręki wróconej z zaświatów
po to, by ziemi szmał licho
ugłaskać niby aksamił,
krwawić okrutnie i wiedzieć,
że tylko przez to i za to
huczą błękitne popioły
w trumnie, co gra pod palcami.

nego. Wzgórzom, z których rozciąga się rozległa perspektywa na rzekę i otaczającą ją zabudowę, zawdzięczają swój urok Rzym, Budapeszt czy Praga. Dochodzi tu do głosu już nie tyle sama rzeka, ile cała jej dolina. W Warszawie takim terenem, z którego Wisła ukazuje się w pełni swego majestatu i krasy, jest krawędź wyżyny warszawskiej, górny brzeg Skarpy. Rozciąga się stąd wspaniały rozległy widok. Podobnie jak Powiśle, obszary położone na krawędzi górnego tarasu powinny być wyszukane dla celów współżycia zbiorowego. Tu jest właściwe miejsce dla budynków organizacji społecznych, zawodowych, czy politycznych, albo dla ośrodków życia kulturalnego, jak muzea itp. Spacer wzdłuż całej Skarpy musi być dostępny dla wszystkich. Kilka najciekawszych per-

spektyw wymaga szczególnie starannej opłaty architektonicznej. Trzeba przy tym pamiętać, że Skarpa warszawska ma stosunkowo niewielką wysokość i budynki na niej wznoszone nie mogą być zbyt wielkie, aby jej ogromem swym nie przytłaczały.

W każdym zdrowym okresie rozwoju miasta zabudowa znakomicie wczuwała się w krajobraz i wyzyskiwała jego walory. Ale zawsze szukała czegoś innego. W Warszawie średniowiecznej — naturalnej obronności stromych zboczy, W siedemnastowiecznej — monumentalności położenia na wysokim brzegu. Dziś szukamy przede wszystkim — samego krajobrazu, staramy się wydobyc pełnię jego naturalnego piękna. Każda epoka wyzyskuje też głównie te elementy krajobrazu, które jej odpowiadają, które są w skali jej poczynają.

Dla średniowiecza elementem takim był cypel wysokiego brzegu, na którym się całe miasto pomieściło. W skali Warszawy magnackiej był nie sam cypel, ale znaczny odcinek Skarpy. Elementem krajobrazu, o który powinna być oparta kompozycja przestrzenna przyszłej Warszawy, nie jest już Skarpa — ale cała rozległa dolina Wisły z jej brzegiem niskim i wysokim, z szeroką taflą wody, ze wspaniałymi amfiteatrami przez naturę w Skarpie wykrajanymi, z rozległymi łąkami nad wodą, z bujną zielenią ku niej podchodzącą. I to nie dolina rzeki na odcinku samego śródmieścia, lecz od Czerska i Góry Kalwarii na południu, po Modlin i Zegrze na północy. Na całej tej przestrzeni powinna być Wisła osią przyszłej Wielkiej Warszawy, kośćcem, wokół którego narastać będą nie

tylko miejsca zamieszkania, ale także tereny pracy i czasów mieszkańców stolicy.

Dla efektu przestrzennego wielkiego miasta posiada rzeka — zwłaszcza tak wielka jak Wisła — znaczenie szczególnie doniosłe. Po ciasnocie osaczonych budynkami ulic otwiera ona przed nami przestrzeń rozległą, majestaticzną, swobodną. Małocześność człowieka przeciwstawia wielkość przyrody. Wkomponować miasto we wspaniałą scenografię natury — oto zadanie, jakie stoi przed urbanistą. Jeśli uda nam się wsłuchać w wymowę Wisły, wyczuć jej sugestię, dostosować do niej zabudowę, wówczas zadanie to spełnimy. I wtedy Warszawa będzie równie piękna, jak jej rzeka, a zarazem inna niż Londyn, Paryż czy Moskwa.

Wacław Ostrowski

MICHAŁ KACZOROWSKI

Przebyte szlaki

Zacznę od wyznania. Nie doceniałem własnego przywiązania do Warszawy. W dzieciństwie jeszcze do wzruszeniem myślałem o dawnej Warszawie, o jej pomnikach z okresu wojen szwedzkich, powstania Kościuszkowskiego, Nocy Listopadowej. Warszawa ówczesna, Warszawa z końca XIX czy początków XX wieku wydawała się tak na wskroś mieszczańska, skomercjalizowana i brzydka, że budziła raczej uczucie odrazy. Z biegiem lat stosunek ten przeobraził się niepostrzeżenie. I dopiero wrzesień 1939 roku, dopiero bomby niemieckie sprawiły, że odczułem głębię przywiązania własnego do miasta, co więcej, do każdego jego elementu. Każde uderzenie w mury miasta sprawiało nieomal ból fizyczny. Toteż, gdy przystąpiliśmy do pierwszych dyskusji nad sprawą odbudowy Warszawy, skłonny byłem przyjąć koncepcję wymuszenia na okupancie pełnej odbudowy zniszczeń, pełnego odtworzenia Warszawy przedwojennej. Była to postawa czysto emocjonalna. Rozważanie tematu doprowadziło oczywiście do rewizji poglądów. Poprzez szereg lat pracy w podziemiu, czy na pół w podziemiu, doszliśmy do sformułowania wizji Warszawy jutra, wiążącej w jedną logiczną całość dzielnice centralne z osiedlami podmiejskimi, zdającą się stwarzać jej mieszkańcom najlepsze warunki do rozwoju własnych i zespołowych sił twórczych, organizację współżycia, odpoczynek i najkorzystniejsze warunki mieszkaniowe. Miał to być ośrodek, który bez nadmiernego skupienia ludności na ciasnej przestrzeni miał zapewnić społeczeństwu wszystkie korzyści współżycia wielkich mas ludności. Była to próba podjęcia na wielką skalę przebudowy całej aglomeracji warszawskiej i to wszystko w okresie dalszych ciód, masowego niszczenia ludności, burzenia ghetta i wreszcie pamiętnego roku 1944. W oczach naszych ginęły całe dzielnice, w proch się zamieniały najszacowniejsze zabudunki. I ponownie zarysowały się dwie postawy — jedna emocjonalna, zmierzająca do odtworzenia Warszawy jeśli nie w szczegółach, to do tego stopnia, by odzyskała charakter stolicy i druga — racjonalistyczna, która poszukiwała rozwiązania najkorzystniejszego z punktu widzenia interesów kraju. Starałem się wyzwolić w rozważaniach swoich z nacisku emocjonalnego i tego wysiłku dokonać musi każdy, kto chce problem Warszawy przemyśleć do końca.

Warszawa w 1939 roku była ciężko porażona. Własnym wysiłkiem, kosztem uszczerpkienia posiadanych rezerw, kosztem ograniczenia spożycia zasklepiała rany. Nie wyrównała strat, nie odtworzyła wspaniałych i szeregowych zniszczonych budowli, ale uzdrowiła uszkodzone. Usunęła braki w urządzeniach użyteczności publicznej. Mocą własnego wysiłku odtworzyła pełną zdolność do życia miasta.

Zniszczenia w 1944 roku powaliły miasto. Różnica była nie tylko ilościowa; w najistotniejszym zakresie pozostały szczątki, niezdolne do wykonywania podstawowych funkcji w życiu kraju, a więc roli centralnego ośrodka dyspozycji, wielkiego ośrodka twórczości kulturalnej, w szczególności produkcji przemysłowej. W ślad za tym wyschły źródła dochodów miasta, a pamiętajmy, że Warszawa, jak każde miasto, w zasadzie budowana była z dochodów własnych.

Oczywiście można twierdzić, że, jak każda wielka metropolia, Warszawa była polipem ssącym soki organiczne z całego kraju; w każdym jednak razie odnosi się to tylko do części jej wpływów, podstawę jej dochodów zawsze stanowiła praca wykonywana na jej obszarze — i jeśli wyniszczenie ludności i zniszczenie dóbr materialnych uniemożliwiają wykonywanie tej pracy, to tym samym odcięte zostaje źródło, z którego mogłaby być podjęta odbudowa.

Odbudowy nie rozumiemy już prymitywnie jako technicznego odtwarzania przedwojennej rzeczywistości. Odbudowa to, nie restytucja określonej ilości m³ budynków, metrów bieżących ulic, mostów i kanałów. Odbudowa — to stwarzanie warunków obiektywnych dla wykonywania istotnych funkcji kulturalnych.

W stolicy, z natury rzeczy, są one nad wyraz bogate i to jest jej cechą, że na małej przestrzeni skupiają się najróżniejsze przejawy życia intensywnego i ta różnorodność jest bodźcem najistotniejszą cechą życia współczesnej metropolii. Powiedzmy szczerze, nie byliśmy podówczas — w okresie lubelskim — zdolni do wyznaczenia zasięgu funkcji stolicy, nie byliśmy zdolni do określenia, jakie elementy życia chcemy przerzucić z Warszawy na inne ośrodki.

Zresztą sformułowanie negatywne nie było istotne. W tym momencie ważne było formułowanie pozytywne: stworzenie warunków dla ożywienia miasta. Rozważaliśmy tę sprawę wielokrotnie jeszcze przed rozpoczęciem ofensywy zimowej.

Odczuwaliśmy w pełni naszą słabość w stosunku do ogromu problemu, naszą słabość materialną i koncepcyjną. I dlatego przyjęliśmy rozwiązanie, które w założeniu swym miało budzić siły wciąż nowe dla odbudowy miasta. W dniu 30. XII. 1944 Biuro Planowania i Odbudowy przy Prezydium P.K.W.N., zaczątek dzisiejszego Ministerstwa Odbudowy, zgłosiło wniosek przeniesienia siedziby władz państwowych do Warszawy. Wniosek ten został uchwalony już po przekształceniu P.K.W.N. w Rząd Tymczasowy R. P., na posiedzeniu Rady Ministrów w połowie stycznia 1945 r. Dzisiaj sprawa wydaje się nam oczywista, podówczas jednak silnie zarysowały się tendencje do przesunięcia stolicy na zachód. Nawet po uchwaleniu tego wniosku, z chwilą wyzwolenia Łodzi, Krakowa, Poznania, gdy okazało się, że tamte ośrodki wyszły omal nietknięte z zawieruchy, ujawniły się siły zmierzające do rewizji powziętej uchwały, do przetrzucia stolicy chociażby czasowo do jednego z tych ośrodków.

Przeciw nam rzucono potężne argumenty. Że w zrujnowanej Warszawie nie mogą funkcjonować władze państwowe, że przy najwyższych nawet wysiłkach nie stworzymy warunków dla bytowania i pracy urzędników, że brak wody, kanałów, przy wielu niepochopanych trupach nieuchronnie spowoduje zarazę, że istnieje obiektywny brak pomieszczeń dla urzędów, ba, nawet że ocalałe budynki są podminowane, że trudne są do rozbudowania, i przedź czy później runą grzebiąc użytkowników. Twierdzono wreszcie, że agitujemy za Warszawą z powodów czysto emocjonalnych. Że nie wolno tak wielkiego ciężaru nakładać na słaby aparat państwa polskiego.

Rozważając dzisiaj tę dramatyczną dyskusję stwierdzić wypada, że interes rządzenia formowanym państwem uzasadniał przeniesienie stolicy z Lublina do innego ośrodka, położonego bliżej ziem odzyskanych, dysponującego niezniszczonymi środkami komunikacyjnymi, gmachami publicznymi, mieszkaniowymi i gwarantującym lepsze bezpieczeństwo. Zdawaliśmy jednak sobie sprawę, że wszelka nowa siedziba wymagałaby wielkich nakładów, które pochłonęłyby znaczną część naszych zdolności inwestycyjnych, że w takiej sytuacji odbudowa Warszawy unosiłaby się tylko na wąskim strumieniu dotacji budżetowych, z natury rzeczy zbyt szczupłych dla rozwiązania tak kapitalnego zadania. W tych warunkach odbudowa Warszawy ugrzęzłaby w trudnościach budżetowych. Praktycznie oznaczałoby to przekreślenie Warszawy w układzie polskim. Tego zaś nie wolno było dopuścić, bynajmniej nie ze względów emocjonalnych. Sprawa definitywnie przecięły najwyższe czynniki państwa. W końcu stycznia r. b. prezydent, Krajowej Rady Narodowej i prezes Rady Ministrów udali się do Warszawy, gdzie, oświadczyli, że nie zamierzają już stolicy opuścić i że w najbliższym czasie osiadzie tutaj rząd. Była to decyzja bohaterka. W okresie formowania państwa, wobec braku łączności i komunikacji, osadzenie władz centralnych w mieście zrujnowanym, odciętym od reszty kraju, oznaczało mnożenie trudności, których rząd miał i bez tego ponad miarę. Była to decyzja świadcząca o zdolności władz państwowych do pracy na długiej fali, rezygnacji z drobnych korzyści dnia dzisiejszego dla wielkich osiągnięć jutra. Było to rów-

nocześnie stwierdzenie niezaprzeczalnej stołeczności Warszawy.

W dniu 31 stycznia r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Ministrów w Warszawie. Jednogłośnie postanowiono przystąpić do odbudowy Warszawy, przy czym uznano to za jedno z najdonioślejszych zadań państwowych. W konsekwencji powołano BQS i przystąpiono do pracy. Pojawiły się nowe antynomie. Koncepcji odbudowy organicznej, koncepcji stworzenia najlepszych warunków dla odbudowy Warszawy przez wprężenie wszystkich sił twórczych do tej wielkiej pracy, koncepcji odbudowy humanistycznej, zmierzającej do podtrzymania działalności miasta — przeciwstawiono koncepcję technokratyczną, według której bytować na obszarze Warszawy mieli tylko pracownicy odbudowy i ich obsługa. I dopiero z chwilą zakończenia pierwszych etapów odbudowy wracać miały do Warszawy ewakuowane instytucje, by podjąć czynności w warunkach możliwie najlepszych. Pomijając inne powołane powyżej argumenty nadmienię, że postępując tą drogą można było by stworzyć miasto wspaniałe, ale różne od Warszawy sprzed 1 sierpnia 1944 r., miasto, nie nawiązujące do tradycji i ciągłości jego pracy. Nie wracałoby do Warszawy po latach dawne instytucje, ale raczej tworzyłibyśmy nowe. Dłuższy bowiem pobyt każdej z nich poza Warszawą siłą zasiedzenia stwarzała tysiączne powiązania z miejscem pobytu, w konsekwencji czego nie wróciłaby już cała instytucja, ale najwyżej jej fragmenty.

Decyzja najwyższych władz państwowych natychmiastowego osiedlenia się w zrujnowanej stolicy przekreśliła czystą koncepcję technokratyczną. I dlatego już bez spieć dramatycznych przyjeźliśmy narzuconą przez życie koncepcję odbudowy organicznej, której treścią jest wzbogacanie życia Warszawy i wykonywanie tych elementów technicznych, które warunkują ten proces. Niezależnie od powyższego technokratyzm domagał się jednolitości w dziedzinie odbudowy Warszawy. A zatem twierdzono, że najłatwiej i najlepiej odbuduje się miasto, jeśli cała dyspozycja społeczna w jednym ręku, jeśli według logicznej kolejności odbudowane czy odremontowane będą dzielnica za dzielnicą. Nie jest potrzebny udział w odbudowie jakichkolwiek sił innych — publicznych czy prywatnych. Nie jest pożądanym remont budynków przez właścicieli, gdyż to wprowadzi chaos na rynkach wykonawstwa, pracy i materiałów. Ten dylemat z łatwością rozstrzygnęto. Nie poddały się jednolitemu kierownictwu BOSu urzędy centralne. Podjęły akcję budowlaną celem szybszego załatwienia sprawy lokali dla siebie i swoich pracowników. Drogą tą poszły i inne instytucje torując drogę dla osób prywatnych. Te ociągały się początkowo wyraźnie. A wykazały tak wspaniałą dynamikę w latach 1939/40! Obecnie z założonymi rękami patrzyły, jak niszczały ich uszkodzone nieruchomości i trzeba było szeregu aktów ze strony rządu, stwierdzających, że własność budynku jest nienaruszona, nadania przywilejów osobom odbudowującym swe budynki w zakresie dyspozycji lokalami i wreszcie uruchomienia kredytów remontowych, by skłonić je do działania. Wreszcie pod koniec tegorocznego sezonu rozpoczęły się masowe naprawy dachów i inne roboty podejmowane przez właścicieli prywatnych. W ten sposób wprężnięte zostały do odbudowy wszystkie siły, jakie można było wyzyskać.

Z kolei dylemat ostatni. Gdy podejmowaliśmy dzieło odbudowy Warszawy trwała jeszcze wojna. Z gotymi rękami przystąpiliśmy do pracy, której rozmiary z punktu widzenia gospodarczego i technicznego przerastają dotychczas spotykane zadania. Nie mieliśmy środków transportowych, sprzętu, wykwalifikowanych sił ani organizacji, zdolnej oprowadzić sytuację. Posiadanie tych elementów warunkowało sprawne wykonanie pracy, a zatem efektywność rzuconych na odbudowę środków. Względ gospodarczo nakazywał wykonanie prac przygotowawczych, zgromadzenie sprzętu, środków transportowych, zorganizowanie aparatu ludzkiego, a dopiero potem we właściwej skali przystąpienie do pracy. Jednakowoż potrzeby zarówno aparatu państwowego, jak i stale rosnącej

ludności Warszawy były pilne. Poza tym wszelkie opóźnienia odbudowy przedłużały groźne procesy niszczenia wielkich wartości kulturalnych i gospodarczych. Wreszcie, śródowno Warszawa należało wprowadzić w rytm pracy nad odbudową. Z tych też względów sądziłem, że nie wolno nam zwlekać; przystąpiliśmy bez przygotowań do pracy. Pracowaliśmy drogo, mało wydajnie i nie nowoczesnie. W czasie pracy podjęliśmy wysiłki celem jej udoskonalenia; niewątpliwie mamy w tej dziedzinie pewne osiągnięcia. Są one jednak niedostateczne. Warunkiem bowiem sprostaniamu olbrzymiemu zadaniu odbudowy jest pełne uwolnienie metod pracy w zakresie prefabrykacji, mechanizacji i organizacji pracy. Z tym się wiąże problem finansowy. Odbudowa stolicy wymaga wielkich środków, które zmobilizować w kraju wyczerpanym wojną, w państwie montującym aparaturę, nie jest łatwo. I zdawać sobie musimy sprawę, że koszty te ciężko obciążą nasze społeczeństwo. Zakres prac odbudowy wyznacza zdolność naszego społeczeństwa do ponoszenia ofiar na rzecz jutra; im większe ofiary dzisiaj, tym szybsze tempo odbudowy, tym w krótszym czasie pokonać możemy depresję kulturalną, w jaką nasze dzieje — i ostatnie zniszczenia wojenne — wprowadziły kraj.

Niezależnie od powyższego musimy zredukować program odbudowy do niezbędnego minimum. Nie odbudujemy Warszawy tak wielkiej, jaką planowaliśmy przed wojną. Zbyt wiele utraciła krwi. I ponadto nie wolno odtwarzać w stolicy zrujnowanych warsztatów pracy i mieszkań dla pracowników, jeśli na Zachodzie brak rąk roboczych w wyposażonych zakładach wytwórczych, jeśli stoją mieszkania próżne. I dlatego redukujemy funkcje Warszawy, zwłaszcza wytwórcze.

Wreszcie osiągnięcia. Funkcja społeczna Warszawy wydaje się być mocno osadzona i bezsporna. Dalej, w Warszawie pod koniec pierwszego sezonu odbudowy mieszka i używa środki do życia blisko 500 000 osób. Większość tej ludności korzysta z usług miejskich zakładów użyteczności. Ma dach nad głową i warsztaty pracy. Na ruinach bujnie rozwija się życie. Urzędy centralne, uczelnie wyższe, szkoły średnie i powszechne, towarzystwa naukowe, szpitale, niezliczone placówki handlowe, bary, kawiarnie. Bez wątpliwości aktywność nie zawsze skierowana jest we właściwym kierunku, bez wątpliwości miasto jako całość pracuje mało wydajnie, nie dopisuje komunikacja. Gdy pokonamy te trudności, stworzymy warunki dla poprawy stosunków. Ale bezwładnie w końcu stycznia miasto dźwiga się powoli, prostuje grzbiet, coraz sprawniej wykonuje funkcje polityczne. Warszawa żyje i pracuje. Warszawa jest miastem żywym. To jest największe osiągnięcie odbudowy.

Michał Kaczorowski

ZNAKOMITE
WYROBY

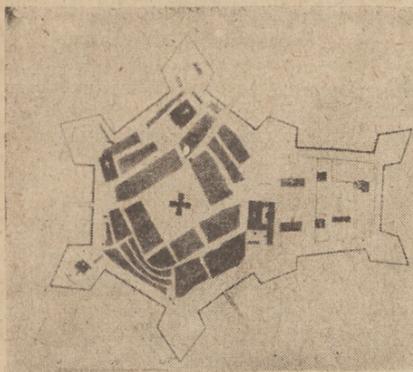
„Suchard“

NAJLEPSZYM
PODARKIEM
NA GWIAZDKĘ



STANISŁAW DZIEWULSKI

Miasto-monument



Plan Stanisławowa

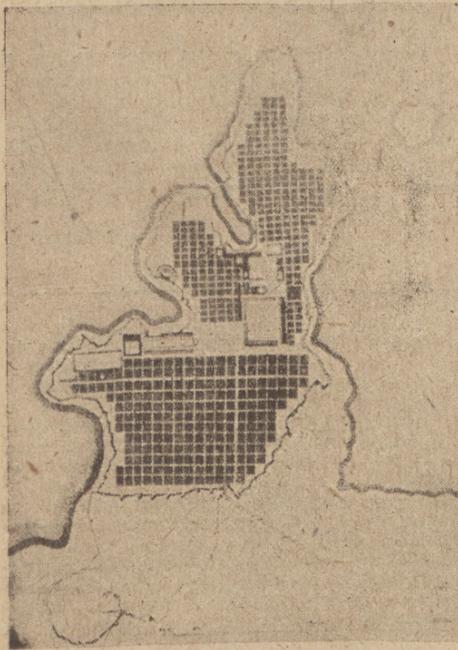
Historia kultury mówi nam, że w epokach, które charakteryzowały się mocną organizacją społeczną, ludzie rozwiązywali wielkie zagadnienia techniczne. W epokach słabszych skupiali swe wysiłki raczej na sprawach drobnych — całość zagadnień wymykała im się z rąk.

Ta prawda historyczna znajduje potwierdzenie w urbanistyce.

Miasta powstawały we wszystkich epokach. W odwiecznym procesie budowy miast wysiłek twórczy szedł w bardzo rozmaitych kierunkach. W pewnych okresach krystalizowała się forma przestrzenna domu mieszkalnego, świątyni, budynków służących wymianie towarów. Stopniowo wysiłek skupiał się na placach, ogrodach i całych zespołach architektonicznych. Wreszcie, w miarę wzrastania możliwości organizacyjno-społecznych i technicznych, obejmował całość miasta. Z kolei, gdy możliwości te słabły, brakowało już energii do tworzenia miast. Wysiłek twórczy cofał się do detalu urbanistycznego. W innych jeszcze momentach wracał znów do zagadnienia poszczególnego budynku lub nawet do spraw wnętrza, mebli i zdobnictwa, osiągając w tej dziedzinie wyniki pełne subtelności smaku i wyrafinowania. Tak działo się do czasu, gdy nowy przypływ mocy politycznej i społecznej pobudzał na nowo inicjatywę twórczą w dziedzinie budowy miast.

Te obserwacje historyczne łatwo doprowadzają do przekonania, że świadectwem wewnętrznej mocy epoki, u której progu stoimy, byłaby mocna twórczość urbanistyczna. (Mówiąc o tej nadchodzącej epoce mam oczywiście na myśli długi, nie dający się objąć przewidywaniami okres, wobec którego zmiany kulturalne i polityczne bieżących lat są tylko epizodami). Ta mocna twórczość urbanistyczna jest jednakże nie tylko świadectwem wartości epoki, lecz i odwrotnie — jej warunkiem. Coraz większa ilość ludzi nabiera dziś przekonania o bezwzględnej potrzebie urbanistyki. Jest to znakiem nie tylko mocy nadchodzącej epoki, lecz jej szczególnego charakteru. Rozpoczynamy bowiem epokę planowania. W każdej dziedzinie życia społecznego, gospodarczego, technicznego, występuje coraz silniejsza tendencja do planowania i to w coraz szerszym zakresie. Ruchy ludności, zdobywanie surowców, przemysł, wymiana towarów, produkcja energii, uprawa roli, wszelkie badania naukowe — a więc dziedziny, które do niedawna były raczej przedmiotem obiektywnych badań (jak gdyby były zjawiskami niezależnymi od woli człowieka), teraz stają się przedmiotem subiektywnych tendencji planistycznych. W sferze zjawisk ekonomicznych — nie tyle badamy życie gospodarcze, ile je budujemy. W sferze zjawisk przestrzennych — nie tyle obserwujemy rozwój zaludnionego krajobrazu, ile go tworzymy.

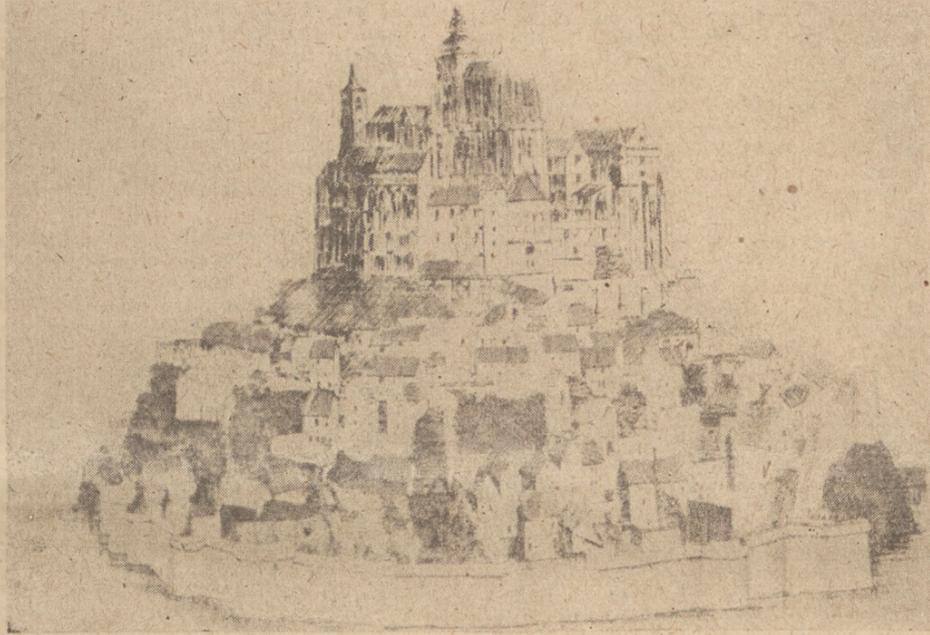
W urbanistyce wielkomięskiej konieczność planowania całości miasta jest dla nowoczesnego umysłu bezsporna. Nie dla wszystkich jednak to planowanie całości jest równoznaczne z urbanistyką, to znaczy z organiczną kompozycją architektoniczną całości. Niektórzy ludzie, nawet architekci, wyobrażają so-



Plan Mileto

bie planowanie całości miasta w formie rozmieszczenia na jego obszarze przybliżonych stref wysokościowych zabudowy (z ewentualnym oznaczeniem procentu zabudowania działki), sieci komunikacyjnej, kanalizacyjnej i innych inwestycji technicznych. W wyobraźni tych ludzi miasto pozostaje nadal (jako kontynuacja form dziewiętnastowiecznych) powierzchownie uporządkowanym chaosem, w którym charakter skończonych kompozycji noszą jedynie pewne zgubione w tym chaosie detale. Tak pojęte planowanie miasta nie jest jednak równoznaczne z urbanistyką — podobnie jak uporządkowanie składu mebli przez ustawienie z osobna krzesel, stołów i łózek nie jest równoznaczne z urządzeniem mieszkania.

Zwolenników uporządkowanego chaosu zdemaskować nietrudno. Poznaje się ich przede wszystkim po naiwnym liberalizmie urbanistycznym, w myśl którego każdy nieomal efekt plastyczny da się zastosować w każdym punkcie miasta. Zrezygnując z zaprojektowanej zamkniętej dziedziny zawsze zyska pochwałę „spokoju i klasyczności”, otwarta przestrzeń zdobędzie legitymację „dostępu słońca i powietrza”, efektownie narysowany drapacz nieba uznany zostanie za pożądany „akcent wysokościowy”, każde dwa budynki o dowolnym odstępach dadzą się połączyć „osią kompozycyjną”. Niesłychanie trudno będzie



Mont Saint-Michel

przekonać takich ludzi, że rozwiązanie znakomite w tym punkcie miasta jest zupełnie złe w innym i odwrotnie. Ten sam liberalizm urbanistyczny sprawi, że w bezpośrednim sąsiedztwie istniejących założeń zabytkowych będą projektowane nowe, podobne do nich założenia, stwarzając dla tamtych niebezpieczną, często zabójczą konkurencję. Jak dobrze zaprojektowany budynek zawiera ograniczoną ilość efektów architektonicznych i nie nosi przeladowania nawet dobrymi pomysłami, tak dobrze zaprojektowane miasto nie może być przeladowane „monumentalnymi założeniami” czy „osiami kompozycyjnymi”. Jak w dobrym budynku zachowana jest hierarchia szczegółów — od najważniejszych do podrzędnych, tak w całości miasta występują fragmenty naczelnego oraz podrzędne. Tych naczelnych jest oczywiście niewiele. Jak w architekturze prostota i umiar są zawsze cnotami, tak w urbanistycznej strukturze miasta — te same cnoty są nieprzemijające. Wydaje się niestety, że na naszym terenie owe cnoty są jeszcze ciągle bardzo rzadkie, tym radsze, im o większą całość terenową chodzi. Twórca każdego nieomal budynku usiłuje stworzyć z niego akcent dominujący, a z każdego założenia monumentalnego — centralne założenie miasta. Gdyby nie hamować tych tendencji, mielibyśmy miasto złożone z samych centralnych założeń.

Scharakteryzowane powyżej błędy urbanistyczne płyną między innymi z fałszywego przekonania, że dwóch pobliskich założeń czy placów monumentalnych nie ogląda się równocześnie i że wskutek tego efekty jednego nę wchodzi w drogę efektom drugiego. Przekonanie to jest fałszywe podwójnie: po pierwsze prawie zawsze znajdują się punkty, z których, jeśli nie widzi się wyraźnie, to odgaduje się zarysy obu założeń, po drugie — i to jest najważniejsze — w chwili kontemplacji pewnej całości architektonicznej działa w nas pamięć innej, poprzednio oglądanej i świadomość ich wzajemnego układu przestrzennego. Ta prawda psychologiczna jest jedną z najistotniejszych tajemnic sztuki urbanistycznej. Poznajemy ją w formie prymitywnej, stojąc na jakimkolwiek placu: dwu przeciwległych jego ścian nie możemy przecież oglądać równocześnie. Mimo to podobieństwa lub różnice w architekturze tych

ścian rozstrzygają o efekcie plastycznym całości. W formie bardziej skomplikowanej poznajemy tę prawdę, przechodząc z jednego wnętrza architektonicznego do drugiego. Gdy spojrzenie na jedną ścianę placu dzieliły sekundy od spojrzenia na drugą ścianę, to teraz nasze kolejne spojrzenia dzielą już minuty. Wtargnęły tu ponadto dodatkowe wrażenia odebrane po drodze. Mimo to pamiętamy pierwsze wrażenie doskonale i ma ono wpływ decydujący na następne. Rozumując dalej, a raczej obserwując dalej konsekwentnie, dojdziemy do przekonania, że na efekt architektoniczny dowolnego punktu w mieście mają w zasadzie wpływ wszystkie pozostałe punkty miasta, choćby odległości między nimi wyrażały się kilometrami. Sprawę komplikuje fakt, że poruszamy się po mieście z szybkością rozmaitą. Ze obok naturalnego sposobu oglądania architektury, jakim jest piesza przechadzka, używamy dziś obficie sposobu bardziej sztucznego, jakim jest komunikacja mechaniczna, która przenosi nas bez porównania szybciej z miejsca na miejsce. Fakt używania szybkiej komunikacji zwiększył wielokrotnie współzależność architektoniczną poszczególnych punktów w mieście i wzbogacił niesłychanie naszą wrażliwość na wzajemną zależność kompozycyjną nawet odległych założeń. Tym się tłumaczy fakt, że odwieczne zasady kompozycji urbanistycznej,



Plan Poznania

Uliczka Uffizi byłaby dość smutnym zaułkiem przy placu Signorii, gdyby nie wybiegała swoim drugim końcem nad Arno — a przecież idąc jej wnętrzem nie widzimy rzeki. Wiemy tylko, że ona tam płynie.

Plac de la Concorde dlatego tak olśniewa swą niebywałą rozległością, że, aby się nań dostać, musieliśmy kilometry krążyć po ciasnych uliczkach lewego brzegu albo znużyć się zgłębliwym korytarzem wielkich bulwarów.

Rynek Starego Miasta wydaje się ogromny po plataninie wąziutkich uliczek. Ponury majdan Placu Inwalidów na Zoliborzu nie robi wrażenia wielkiego wśród monotonicznie szerokiej ulic całej dzielnicy. Krakowskie Przedmieście straciłoby połowę uroku, gdyby za jego wschodnią ścianą nie opadał wysoki brzeg Skarp ku Wiśle, mimo że tej różnicy poziomów nigdzie prawie nie widać. Zyska natomiast połowę uroku, gdy poniżej niego Powiśle zostanie oczyszczone z zabudowy i gdy będziemy wiedzieli, że wystarczy zajrzeć w jedno z nielicznych okien jego ściany wschodniej, aby ujrzeć zieloną dolinę Wisły. Nowy Świat byłby inny, gdyby kończył się zamkniętym placikiem i nie wpadał w jasną perspektywę Alei. Aleje nie byłyby Alejami, gdyby nie prowadziły do Belwederu i gdyby na ich krańcu nie czekał nas najpiękniejszy spacer po Łazienkach.

Tymi tajemniczymi zależnościami, których źródłem jest pamięć wzrokowa, tłumaczy się fakt, że pierwsze wrażenia odbierane w obcym mieście są nieraz tak zdumiewająco różne od późniejszych wrażeń z tych samych miejsc. Różnica ta wynika głównie z tego, że oglądając jakieś miejsce po raz pierwszy nie znamy, a więc nie pamiętaliśmy, miejsc sąsiednich. Podobnie człowiek poznany w podróży wydaje nam się nieraz kimś zupełnie innym niż ten sam człowiek później, gdy go odwiedzamy w jego domu i znamy już jego najbliższą rodzinę.

Zanotowane powyżej obserwacje nie są jeszcze pełnym obrazem naszej wrażliwości na urbanistyczną strukturę miasta. Wrażliwość ta jest bowiem nie tylko czysto wzrokowej natury, lecz również natury uczuciowej i intelektualnej. Obserwując miasto przeżywamy je nie tylko jako zjawisko architektoniczne, lecz również, świadomie lub podświadomie, jako wielką instytucję społeczną. Te dwa sposoby przeżywania są oczywiście współzależne. Podobnie jak budynek uznajemy za piękny nie tylko dlatego, ponieważ jego proporcje są doskonałe, lecz również dlatego, ponieważ wyczuwamy jego przystosowanie do sprawnego zaspokojenia szeregu potrzeb życia ludzkiego, tak miasto uznajemy za piękne nie tylko dzięki jego ładowi architektonicznemu, lecz także dzięki wyczuwaniu, że jego budowa sprzyja harmonijnemu współżyciu wielkiej gromady mieszkańców.

Chodząc w dawnej Warszawie po okolicach ulicy Kruczej, odczuwaliśmy — poza monotonią wrażeń architektonicznych — nudę i smutek mieszkań, których okna wychodziły na beznadziejne ulice lub ciemne podwórza. Chodząc po okolicach Żelaznej lub Muranowskiej — odczuwaliśmy już nie smutek lecz rozpacz. Dzielnice fabryczne wpały nam przekonanie, że praca w tym mieście jest przekleństwem.

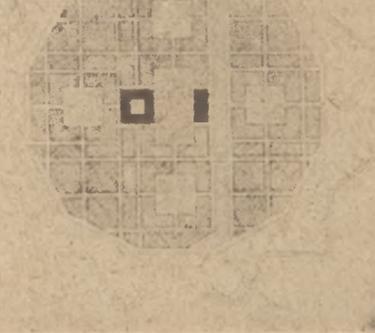
Na Starym Mieście natomiast, o ile potrafiliśmy odtworzyć sobie główne zarysy średniowiecznej organizacji życia na tle jego wąskich uliczek (rozumiejąc przy tym, że wnętrza bloków były wówczas na ogół niezabudo-

które dały tak doskonałe dzieła w zakresie małych miast antyku czy średniowiecza, mamy prawo i musimy przenieść na dzisiejsze wielkie miasta, pomimo że wzrok nasz, ani rytm kroków, ani sposób odbierania wrażeń nie zmieniły się od tamtych czasów.

Będziemy oczywiście w dalszym ciągu organizowali zespoły architektoniczne, dostosowane do powolnego ruchu człowieka pieszego. Skala ich zawsze pozostanie zbliżona do skali tych założeń, które przekazała nam historia. Równocześnie jednak te same bryły architektoniczne staną się częściami składowymi innych większych założeń, dostosowanych do szybkiego ruchu samochodowego. Obie te skale będą się nakładały i uzupełniały, nie mając jedna drugiej, w nowoczesnym urbanistycznym kontrapunkcie.

Istniejącą w naszej wyobraźni zależność odbieranych kolejno wrażeń architektonicznych rozumieć należy nie tylko w tym prostym sensie, że po wnętrzu ciasnym silnie działa na nas — prawem kontrastu — wnętrze rozległe, lub że po budynkach niskich przytłacza nas widok budynku wysokiego. Zależność tych wrażeń jest bowiem bardziej złożona. Krążąc po mieście budujemy w wyobraźni, świadomie lub podświadomie, kompozycję całości i ustalamy hierarchię założeń architektonicznych całego miasta lub jego wielkiej części. Dopiero ta zarysowana w wyobraźni hierarchia przesądza o efekcie artystycznym miasta jako całości. Ona dopiero sprawia, że oddzielne fragmenty krajobrazu miejskiego cieszą nas jako fragmenty większego dzieła sztuki.

Kręte uliczki Wenecji są inne przez to, że wyprowadzą przed siebie czy później na plac św. Marka. Idąc nimi oczekujemy niewypowiedzianej rozkoszy wydobycia się na plac i dzięki temu nie są ani nudne ani długie. Przebiegamy je w ustawicznym podnieceniu. Plac zaś nie byłby tym samym placem, gdyby obok Piazzetti nie uderzały fale — jest to sprawa istotna nawet wtedy, gdy stoimy w głębi placu i nie widzimy ani kawałka laguny. Pamiętamy jednak, że ona tam jest. Dlatego już stojąc w głębi placu wyczuwamy go jako wspaniałe monumentalne okno na szeroki świat.



Plan teoretyczny Seamoszgiego

wanc i zazielenione) — czuliśmy harmonię form przestrzennych z życiem, dla którego zostały stworzone i to poczucie potęgowało i pogłębiało nasze zadowolenie estetyczne.

Umieszczenie budynków wśród zieleni daje nam zadowolenie nie tylko dzięki kontrastowi kształtów, faktury i barwy i nie tylko dlatego, że zielen jest jednym z naturalnych zjawisk samych przez się miłych oku ludzkemu, lecz również dlatego, że to zestawienie kojarzy się w naszej świadomości z bogostawieństwem wypoczynku w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca pracy lub mieszkania.

Jeśli w ten sposób poszczególne zespoły budynków czy dzielnice działają na naszą wrażliwość nie tylko za pośrednictwem wzroku, lecz również skojarzeń myślowych i uczucio-

wych — podobny charakter ma nasza reakcja na strukturę całego miasta. Jesteśmy podświadomie wszyscy — architekci i niearchitekci — o wiele bardziej urbanistami niż nam się wydaje. Jednym z najmiłszych i najciekawszych przykładów wrażliwości urbanistycznej jest Prus. Zarówno uwagi o Powiślu warszawskim jak wspaniały opis Paryża w „Lalce” są tego dowodem. Analizując Paryż Prus zachwyca się nie tyle architekturą fragmentów, ile budową całości. Szuka zależności między wyglądem dzielnicy a życiem, które się w nich toczy. Najwyższe zadowolenie intelektualne a niewątpliwie także estetyczne sprawia mu przebieganie ogromnego miasta wzdłuż i wszerz i różnorodna kolejność wrażeń. Można by powiedzieć, że o intensywności tych wrażeń decyduje raczej ich

kolejność w czasie niż w przestrzeni. Podobnie do Prusa wszyscy przeżywamy miasto w czasie — jest to czas naszej wędrówki po jego obszarze. O ile przestrzeń dająca się objąć wzrokiem jest ograniczona i dlatego skala założeń architektonicznych jest również ograniczona, czas wędrówki po mieście (dzięki fenomenowi pamięci) jest nieograniczony, a zatem i skala dzieła urbanistycznego jest nieograniczona. Może nim być nie tylko samo miasto, lecz cały wielki zespół miejski ciągnący się dziesiątkami kilometrów lub wreszcie cały region. Dlatego nie tylko urbanistyka miejska, lecz również planowanie regionalne jest zarówno nauką techniczną jak sztuką.

Dwadzieścia kilka lat temu wybitny architekt holenderski Oud rzucił hasło: „wychowanie przez urbanistykę”. Dziś rzucamy hasło:

„wychowanie przez urbanistykę”. Jeśli do magamy się budowy miasta jako jednego zwartego dzieła sztuki i techniki, to nie tylko po to, żeby zaspokoić nasze najistotniejsze postulaty społeczne i tęsknoty estetyczne, lecz również dlatego, ponieważ wierzymy w ożywczy wpływ dobrze skomponowanego miasta na psychikę mieszkańców. Nie tylko bowiem nowe formy życia zbiorowego tworzą nowe formy przestrzenne, ale i odwrotnie: formy przestrzenne prowokują życie. Dlatego my urbanisci możemy osiągnąć rzecz ogromnej wagi: przez nasz twórczy udział w budowaniu nowych form życia — wychowywać zarazem obywateli miasta na jego współtwórców.

Stanisław Dziewulski

Wszystkie ilustracje z pierwszego tomu „Urbanistyki” prof. Tolwskiego.

ROMAN PIOTROWSKI

Od Śnieżnej do Belwederu

Odbudowa Warszawy. Słowa powtarzane przez setki, tysiące i miliony. Jakaż wielką skalę znaczenia kryje w sobie to zdanie od obojętnego stwierdzenia, poprzez wszystkie stopnie uczuciowości, aż do czynnej współpracy. Jednak istotną jego treść jest zrozumiała jedynie dla tych, którzy bezpośrednio, na miejscu, włączeni są czynnie w tryby tej maszyny.

Tylko dla nich mają słowa ta groźba wyszczerzonych ruin, rozwalonych, unicestwionych dzielnic, pustkowią gruzu, śmiertelnych potrzasków wiszących ścian; dla nich chowają wesołe młodej zieleni i zachwyty barwy kwiatu, wychylającego się zza polamanej kraty opuszczonego ogrodu. Dla nich oznaczają ruch niespokojnych tłumów, przewalających się z brzegu na brzeg, życie kipiące w poszczerbionych korytach ulic, żywioł nieopanowany, niesforny. Ich męczą wizją mozolnego, upartego wrywania się w obumarłe miasto, trudem porządkowania ulic i domów.

Tak, bo tylko temu, kto gorliwie przyłożył ręce do pracy w ukochanym mieście, dane jest zapaść rozkoszy normowania życia, dostąpić radości skrzyśnięgo niania w pamięci codziennych, nikłych, na pozór niewidocznych postępów. Jego też jest udziałem strach, obłądny strach, że pracy nie podoba, że nie ogarnie całości, że dawne tego niespokojnego miasta błędy odżyją i zbraknie sił na walkę z nimi. I temu tylko znane są obezwładniające momenty zniechęcenia i opuszczenia rąk przed nicustępliwą, tępą, ponurą pustynią rumowisk.

Bo odbudowa Warszawy — to człowiek w zmaganiu się z dramatem głupoty i szaleństwa, szereg scen na ruchomej taśmie dziejów.

Dziwne z nas pokolenie. Ugniatamy w rekach historię jak glinę i nie zdajemy sobie z tego sprawy. Dni nasze są pełne wydarzeń wspaniałych w swym patosie i my jesteśmy w nich nie widzami, lecz aktorami.

Gdyby mierzyć czas ubiegły ilością zdarzeń i pracy, to tych dziesięć ostatnich miesięcy starczyłoby za sporo lat dawniejszych. Zrozumienie tego odkrywa nam prawdę zmian, jakie zaszły w naszym życiu. Bo jeśliby nawet cały kraj powrócił po wstrząsach wojennych do normalnego bytu, dla pracowników odbudowy Warszawy droga powrotu do dawnych ich norm pracy jest zamknięta. To, co w pracy robotnika czy inżyniera budowlanego było poświęceniem tradycją nawyku, okazuje się nieprzydatne i stawia się będzie coraz bardziej nieistotne i zbędne. Jeszcze dzisiaj tkwią oni w dawnych formach produkcji, czepiają się ich kurczowo, by nie zagubić się w wirze zadań. Lecz niewspółmierność wysiłków z wynikami wskazuje nieuchronnie na to, że trzeba będzie odrzucić dawne doświadczenie jak zbędny rekwizyt i szukać nowej miary, nowego sprawdzianu.

Ale nie rozumieją tego i zrozumieć jeszcze nie mogą ludzie postronni. Dla nich pierwsze kroki w przyszłość, stawiane przez architektów, wydają się utopią. Dla nich realna jest tylko Warszawa wczorajsza, brama w drugim czy trzecim podwórku, ciemne, zatechłe schody i to mieszkanie „frontowe”, zawieszona nad hałaśliwą ulicą, dudniącą we dnie i w nocy, pełną kurzu i zaduchu. I ten balkon zagubiony na którymś tam piętrze w kamiennej pustyni, owiniętą najwinną zielenią groszków i nasturcji. Jakże byłoby zdziwieni, dowiedziawszy się, że równie wielkimi jak architekci „fantastami” są zrównoważeni inżynierowie i twardzi robotnicy. Ze tła tych solidnych pracowników nieznosne stało się lepienie domów w kłatkach prymitywnych rusztowań, że i ich ogarnęło zbożne szaleństwo tworzenia nowych form na nowy ład. Ale tego nie pojmie stateczna dusza mieszczańska. Nie pojmie i pojąć nie chce. Mieszczuch starannie omija i unika widoku wytwornych w swej prostocie i lekkości, a potężnych w sile dźwignów rusztowań stalowego odbudowującego się mostu. Wpatrzony z pozornym oburzeniem, ale z wewnętrznym zachwytem w tandetne oblepianie sklepami rumowisk Warszawy, cieszy się w swej kramarskiej duszy i marzy o tym, że przecież się nic nie zmieniło, marzy o „dawnych dobrych czasach”. Chciałby

wszystkich i wszystko ściągnąć do poziomu rozumowania kategoriami własnej parceli i własnej czynszówki, wypełnionej po brzegi, do ostatniego kąta suteryn, wypłacalnymi lokatorami.

Mieszczuch, zastraszone początkowo, podnosi dziś głowę i staje się napastliwy, jak ta paniusia z Mokotowa, która pisze do ministra (obywatela ministra — a jakże) skargę, że jej w mieszkaniu odremontowanym za kredyty państwowe ośmielono się wstawić drzwi jednoskrzydłowe, na miejsce dawnych, paradnych — szerokich.

Tak nieporadna jest jeszcze ta odbudowa Warszawy. Wyglądem swej niezaradności może ludzi ludzi. A jednak w tym, co już zrobiono, tkwi olbrzymi wysiłek nie tylko tych robotników, techników i inżynierów, pracujących w Warszawie, ale całego kraju. Nieuznanie tego co widzą i przyznają obcy, jest pomniejszaniem samego siebie, każdego z nas.

Wielkość tej pracy można jednak zmierzyć etapami jej osiągnięć.

Jakże niedawno to czasy, gdy całe życie stolicy skupiało się niepodzielnie niemal na Pradze. Brzeg warszawski był ziemią zakazaną, gdzie podminowane ulice i domy czyhały na nieostrożnego śmiałka. Dokąd wyruszano tylko na dzienne wędrówki po zdobyc, rzadziej do pracy. Z nabożnym podziwem mówiono o tych nielicznych, co odważali się „tam” zamieszkać. Praga zaśmiecona, z kupami tającego śniegu, niechlujna, rojna, pełna ludzi w najfantastyczniejszych okryciach, ze swym charakterem egzotycznym, była jakby parodią Stolicy. Warszawa zniszczona, niedostępna, ponura, zachowała jednak cały majestat rzeczy tragicznych, zapatrzona w swą wielkość pustymi otworami okien. Życie jednak z niej wyciekło, a teraz wsączało się drobnymi strugami pierwszych prac, których ośrodki tkwiły na Pradze.

Tam na Otwockiej w gmachu szkolnym rozsiadł się, a raczej tłoczył zarząd miasta. Na Targowej pośpiesznie, ha gwałt naprawiano i odnawiano gmach dawnej dyrekcji kolei na przyjęcie urzędów państwowych, które miały tutaj ściągnąć z porzuconego Lublina.

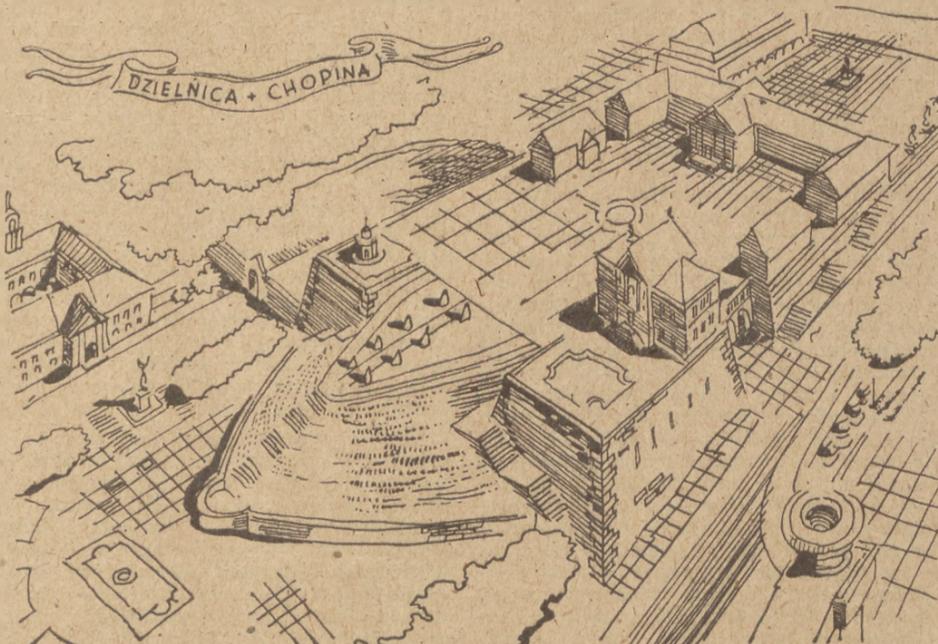
Czyż można bez wzruszenia wspominać mały piętrowy domek na Śnieżnej, siedzibę rządu? Nie we wszystkich oknach były szyby, pomagano sobie okiennicami. W kilku pokojach mieściły się biura Prezydenta, premiera i jeszcze kilku ministerstw. Jakich — dokładnie nikt nie wiedział. Najfantastyczniejsze połączenie ludzi i spraw. Kogóż tam nie można było spotkać. Jakich spraw tam się nie załatwiano. Do Ministerstwa Administracji Publicznej — jeden pokój na parterze — przyjeżdżały delegacje z wydzieranych Niemcom Ziemi Mazurskich ze swoimi troskami; jedno-

czennie zjawiał się wójt czy starosta, by poradzić się bezpośrednio u wiceministra w swoich kłopotach, przychodzili ludzie, by dowiedzieć się co słychać w Krakowie, czy będzie już można jechać do Poznania. Obok zaraz załatwiano sprawy samochodowe; po drugiej stronie sieni naradzano się nad szkolnictwem. Jeśli brakło stołka dla interesanta, pożyczano się z sąsiedniego resortu. Minister wychodząc ze swego „gabinetu” po prostu zamykał drzwi na klucz, chował go do kieszeni i wtedy całe ministerstwo było nieczynne. Pamiętny jest fakt, gdy na jednym z pierwszych posiedzeń Rady Ministrów, zwołanym do Warszawy, w czasie długich, nużących obrad w ciasnym, zadymionym pokoju, pragnienie dawało się wszystkim we znaki. Premier zażądał wody. Po długim oczekiwaniu dyżurny ordynans wniósł szklanke tego płynu. Premier po wypiciu połowy zawartości odstawił szklanke, którą natychmiast pochwylił najbliższy siedzący minister i chwiei wychylił do dna. Pozostali patrzyli z zadróżką — więcej wody nie było.

Pierwsza radiowa wiadomość o uchwałach konferencji krymskiej dotarła wieczorem na Śnieżną, gdzie przy świeczkach — elektryczność nie dopisała tego wieczoru — toczyły się jak zwykle narady, tym razem w sprawach odbudowy. Prezydent przechodząc przez pokój, w którym obradowano, osobiście zaprosił obecnych na kolację, celem zakomunikowania im ważnych nowin. Po godzinie w gabinecie premiera zebrało się kilka osób. W kącie pokoju przy zwyczajnym okrągłym stole, przykrytym na tę uroczystość obrusem, na którym pysznił się półmisek z tyłu kanapkami, ilu było zebranych, przy świetle paru świeczek w przygodnych podstawkach, dowiedzieli się obecni z ust Prezydenta o postanowieniach konferencji, mających odegrać tak wielką rolę w dziejach naszego państwa i całego świata. Padały słowa proste, zdania nieobmyślane, niewyszukane. Płonienie świec chwiały się, rzucając głębokie cienie. Po krótkim przemówieniu zapadło głębokie milczenie; wyczuwano się powagę chwili. I mimo woli niektórym z obecnych przypomniało się zebranie w noc Sylwestrową pierwszego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej w zajmowanej jeszcze przez Niemców Warszawie. Podobny prymityw akcesoriów i podobnie urzekający patos wydarzeń.

W miesiąc później — narady w widnych, wielkich salach dawnego gmachu dyrekcji kolejowej; dywany, telefony, wygodne meble.

A wreszcie przyjęcia zagranicznych gości w Belwederze, z którego okien nie widać zupełnie gruzów i ruin. Dokoła cisza drzew parkowych, cisza i skupiona praca wewnątrz pałacu. To są kamienie drogowe na szlaku wędrówki Warszawy ku odbudowie.



Przyszła dzielnica Chopina z lotu ptaka

Ale są i inne wskaźniki mniej widoczne.

Pierwsze dni odbudowy, gdy niewiadomy był jeszcze stan zniszczenia miasta. Zwały gruzu, ponure rumowisko i gromady szkieletów potwornie okaleczonych budynków. Miasto bez wody, elektryczności, bez gazu, bez komunikacji. Uporczywe obejmowanie świadomością wielkości strat, ogromu zadań. Odrzucenie w ciągu paru dni po kolei wszelkich złudzeń co do możliwości normalnego zorganizowania pracy. I ten moment wyzwolenia się z niepewności beznadziejnego szukania jakichś ułatwień, stwierdzenia, że wszystko trzeba zaczynać od nowa, niemal radość z dogrzebania się do dna własnej nędzy, do twardego gruntu rzeczywistości, na której można oprzeć się twardo, wyprężyć ramiona i wziąć się do roboty. Biuro — dom na Chocimskiej, prawie niezniszczony, brak mu przecież tylko szyb, okna i drzwi wyłamane, słwy mroź na ścianach, wiatr mroźny hula po piętrach. Nic to. Tę rudere zamieni się w parę tygodni w biuro tętniące pracą. Ściąga się jakieś niedobitki mebli, urządza się pracownię. A tymczasem na Pradze w jednym z pokojów mieści się cały sztab odbudowy przedsięwzięcia o rozmiarach dotychczas niespotykanych. Pokój nie opalany, zimny, nie zawsze jest gdzie się umyć, posiłki o najfantastyczniejszych porach w różnych przygodnych stołówkach. Czasem na cały dzień musi wystarczyć kawałek czarnego chleba i kubek herbaty. Wieczorem prace i narady przy skąpym świetle świeczki. I od rana do późnej nocy przewijają się przez ten pokój tłumy osób. Ież twarzy znajomych, a tak trudnych do rozpoznania pod skorupą, jaką bieda nakłada na człowieka. Jakże można w tym obrośniętym, niedomym oberwańcu poznać wytwornego kolegę z lat dawnych. Prawie nikt nie pyta o warunki pracy; każdy chce tylko pracować dla Warszawy. Radość pierwszych dni tworzenia, gdy z zamętu zdarzeń i myśli wyłaniają się pierwsze zręby organizacji.

Dziś nie sposób objąć pamięcią kolejności wydarzeń, wszystko zlewa się w jeden nieprzerwany wir narad, decyzji, uniesień i śmiertelnego znużenia, które człowieka obalało w ciężki, parogodzinny sen. Z tej mgławicy wyłaniają się tylko niektóre momenty, szczególnie jaskrawo tkwiące w pamięci jak drzazgi. Nie zawsze wiadomo dlaczego ten, a nie inny szczegół wbił się w pamięć. Niezapomniane jednak zostaną tygodnie walki o utrzymanie drewnianego mostu u wylotu Karowej przed naporem lodu. W dzień i w noc trwało zmaganie się z narastającym wałem kry. Z godziny na godzinę oczekiwało się wiadomości, że zagrożone przęśla nie wytrzymały, że połączenie z Warszawą zostało zerwane na szereg dni, a może tygodni. W zmaganiach tych zwyciężyła uparta wola człowieka.

A później blask pierwszych latarni ulicznych w Warszawie, radosny plusk pierwszego strumienia wody z hydrantów, dźwięk pierwszego tramwaju.

Zazwyczaj miarę efektu pracy zamyka się w kolumny liczb statystycznych, w obojętne formuły, których ukryty sens wiadomy jest jedynie dla wtajemniczonych. Można mierzyć jednak przebyta drogę również obrazami. Niech zatem tych kilka obrazków, przywołanych z przeszłości ubiegłych miesięcy, da świadectwo prawdzie.

Roman Piotrowski

W poprzednim (55) numerze „Odrodzenia” z dnia 16 grudnia: Julian Przyboś: W sprawie pisarstwa ludowego. — Ksawery Pruszyński: Dzieje emigracji londyńskiej. Po śmierci Sikorskiego. — Leonard Podhorski-Okołów: Koleża. — Witold Pietrusiewicz: Kostek. — Roman Bratny: Pleśń. — Tadeusz Peiper: Hitleriana. — Jerzy Zawieyski: O poezji Juliana Przybosia. — b. Matisse o malarstwie. — Anna Kamińska: Wyobraźnia. — Przegląd teatralny: Tadeusz Breza: W teatrach krakowskich. — Zofia Kwakowa: Teatr marionetek w Lublinie. — Komunikat. — Antoni Trepiński: Gawęda o książkach. — zb: Przegląd prasy. — Józef Bieniek: List ze wsi. — Stefan Żółkiewski: O poziom dyskusji. — Paweł Ettinger: Polska za granicą. — Jś: Węgiel i ludzie. — 3 ilustracje. — 8 stron.

ADAM KOTARBIŃSKI

Odbudowa czy przebudowa?

Historia dostarczyła w Warszawie nowego dowodu. niemieckiej gruntowności działania, nowego przykładu wysokogatunkowej roboty niszczycielskiej. Wprawdzie tu i ówdzie sterczą odrapane, lecz zadane do użytku budynki, wprawdzie z rzadka gmach jakiś razi świeżą farbą, niby plaster na pokrytej szramami twarzy o wypalonych oczodołach — ale to niedobitki, fuszerki, które by mistrzowie zapewne wyretuszowali, gdyby im mniej natarczywie kazano zbierać narzędzia.

Dzieło nie doznało ostatnich, najsubtelniejszych pociągnięć. Jeszcze stoją eiche, zadumane Wizytki, odyma się karmelicka bania, rzeźby łazienkowskie dziwią się, czemu nie założono im dynamitowych ładunków. Jednakże grubsza robota jest załatwiona jak należy. Bo, jeśli się z lotu ptaka miasto spojrzaniem obrzuci, wszędzie rozpościera się rudy, przyschły strup. Na Starówce żaden niemal kamień na miejscu swoim nie leży, Wisła się ociera o wraki wszystkich mostów.

Trzeba więc przyznać Niemcom rzecz nie lada. Oto w ciągu zaledwie kilku nabiegłych krwią miesięcy, przy ówczesnym niskim poziomie techniki burzycielskiej, zdołali uzyskać prawie to, co teraz można z miastem zrobić w mgnięciu oka.

Gdyby dziś można było czas odwrócić i zobaczyć, że Kłęby dymu wsiąkają w czarności okien, że rozpylona w czerwonym niebie cegła zlepiła się z powrotem w mur i strop, że swąd ku ziemi spłza i przy kościach mięsem obrasta...

Lecz cóż ma być naprawdę z tym miastem? Rzecz oczywista, którą postanowiliśmy wszyscy. I ci, co rozumnie przemysłują nad swym udziałem w pracy dla kraju, i ci, których nieprzeparty instynkt pcha do warszawskich knajp, skąd wychodzą w pustą mroczną ulicę i w stanie krańcowego „zagazowania” śpiją na całe gardło o żołnierzu z zapasowym sercem w tornistrze.

Rzecz ta zaczyna się od sentymentu, ale następnie wejść musi w stadium refleksji i kalkulacji. Więc od razu proponujemy poprawkę: nie odbudowa — lecz przebudowa. Bo odbudowa i przebudowa — nie to samo znaczy.

Sentyment domaga się właśnie Warszawy, a nie innego i obcego miasta. Niech przeto stolica, w poździe i prochu w proch obrócona, z powrotem z prochu w dawne kształty wskrzeszenie. Dołączają się zaraz refleksja; przecież nie wszystko zniszczone, więc ratujmy, co się jeszcze da uratować. Naprawiamy, co się da naprawić, bo to zawsze co innego niż stawić wszystko od nowa.

Wtórąj temu kalkulacja: każdy ocalały dom, każda nie całkiem lejami poryta ulica — to nie tylko szanowny relikw, ale i pozycja w inwentarzu. A jakże cenne są każde ręce, które się wokół dawnego, własnego domostwa z pietyzmem zakrzętną! Ugodnijmy więc wszystko zgrubsza, gdzieśgdzie poprawimy — a wnet domy odrastać zaczną, jak grzyby po deszczu. I będzie miasto śliczne: nowe — a stare.

Nadchodzi jednak inna refleksja: nie udawajmy — Warszawa przy całych swych urokach i prawach do sentymentu nie była zbudowana zbyt pięknie i mądrze. I, na ogół biorąc, najzupełniej pokracznie na peryferiach. Trzeba więc dużo poprawić, a nie trochę. Powstaje nawet podejrzenie, że Niemiec celowo zostawił pewne wyspy wśród morza zniszczeń, aby myśl polska chwyciła się ich rozpaczliwie i dawała dech nowej Warszawie, jak tonacy swemu ratownikowi.

Trzeba tę sprawę jeszcze raz przekalkulować. Na ogół chodzi o odpowiedź, czy to, co się przedsięwzię, jest opłacalne, komu i kiedy? Otóż przy liczeniu na pieniądze wypada, że przedsięwzięcie ma się opłacać piądzow. Ma się opłacać jak najwcześniej i jak najdłużej — bez kwestii. Lecz okazuje się w praktyce, że oba te wymagania często ze sobą kolidują, że przeto piądzowy sposób kalkulacji rozpada się od razu na dwa. Dlatego pozostawmy go w opuszczeniu i nie montujmy już na ten temat następnego zdania, skoro się na tych sprawach nie dość znamy. Weźmy się do całkiem innego obrachunku. Niejeden poczuje się z nim lepiej i upomni się o prawo w zastosowaniu tej metody. Chodzi bowiem o niewymierne chyba, lecz oczywiste zyski, jakie człowiek osiąga na czasie, w wynikach pracy, na zdrowiu i wartościach psychicznych, jeśli wielkie miasto, w którym żyje, zostało urządzone mądrze. Chodzi również o zyski, jakie po ekonomicznych i kulturalnych szlakach rozprzestrzenia się na cały kraj. Kalkulacja, zmierzająca do zysków tego rodzaju, opiera się na zasadzie, że żaden szczegół nie jest istotnie opłacalny, jeśli zakłada ogólną prawidłowość idei planującej.

Zadanie przebudowy można by sformułować dosyć prosto: należy postawić odpowiednie budynki w odpowiednich miejscach. Ażeby jednak dowiedzieć się, co będzie odpowiednie i w jakim miejscu, odbyć trzeba znużną, długą drogę. Trzeba dokładnie obejrzyć miasto współczesne i dawne, wnikać w najdrobniejsze szczegóły ich życia i zaobserwować, jakie z nich sploty powstają. Muszą

przybyć na pomoc rozmaite nauki, które to zadanie między siebie podzielią i z właściwą sobie systematycznością roztrząsają. Z kolei, łąsząc bagaż obserwacji i wniosków, trzeba wzniesić się na poziom syntezy i tu uformować miasto-ideę, najlepszy z możliwych do pomyślenia tworów. Jest to dopiero połowa drogi. Bo znowu zejść wypadnie w dół, by drobiazgowo przepatrzeć, co pozostało na rumowisku i pogorzeliśku, by wyrycć sobie w pamięci wszystkie wartościowe szczątki i jeszcze raz, z nowym nabytkiem wiedzy piąć się ku syntezy. Odbycie tego odcinka drogi zezwala wreszcie na przeprowadzenie kalkulacji. Znowu myśl podąża od ogółu ku szczegółom, lecz wówczas zaczynają już działać kryteria odpowiedzialności lub nieodpowiedności, które się uzyskuje podczas poprzednich etapów wędrowki. To, co jest szczegółem, musi się odpowiednio podporządkować. Jeśli się podporządkować nie może — niech ustąpi z placu.

Jednocześnie ujawnia się, że urbanistyka współczesna, to coś więcej niż kierowanie się zwykłym zdrowym rozsądkiem. To znajomość szerokiej, rozgałęzionej problematyki i uważne, krytyczne poszukiwanie rozwiązań.

Warszawa miała w swej strukturze wiele błędów jawnych i utajonych. Jak każde duże miasto — potrafiła je maskować potrosze, przesłaniać formą architektoniczną swych znakomitych zabytków, odciągając od nich uwagę nowymi, efektownymi gmachami i mocnym tętnem życia. Nie zmieniła to jednak faktu, że jako twór przestrzenny nie wywżywała się należycie ze swych zadań.

W śródmieściu — tłok ludzi i tłok budynków. Nie był to właściwie teren, na którym wybudowano gmachy, lecz raczej rozległe połacie plastra z murów i stropów, w którym pozostawiono trochę szczelin i mniejszych lub większych otworów, sięgających od dachów ku ziemi. Na pobrzeżu tego plastra domy powstawały luźniej, lecz brudną szarżyną ścian szczytowych oznajmiały, że oczekują sąsiada, który ma do nich przywrzeć. Pewne dzielnice, odłączające się wyraźnie od śródmieścia, rozporządzały nieco większą ilością wolnego miejsca. Tam, jednak mieliśmy, zależnie od upodobania, kilka odmian chaosu do wyboru. Chaos Woli, wynikający z dużego udziału zakładów przemysłowych, które nie miały pretensji do przystojnego wyglądu, przemieszanych z czynszówkami i budami mieszkalnymi wszelkiego autoramentu, których jedyną troską było to, żeby się nie zawałci nad głowami ubogich rodzin robotniczych. Chaos Żoliborza, gdzie wzdłuż wspinających przy długiej rajszyńce i dużym cyrklem rysowanych liniach regulacyjnych chadzał wiatr dziwiąc się, że budynki mimo wszelkich starań nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Dalej chaos Mokotowa, gdzie nowe, duże domy jeszcze nie zdążyły porozdeptywać domów starych i małych. Chaos Saskiej Kępy, na której mimo woli rozegrano konkurs na pewną ilość domów, jak najbardziej oszpeca-

jących się wzajemnie. Chaos Pragi, gdzie bezpretensjonalna wytwórczość przemysłowa znajduje solidną pomoc bezceremonialnych linii kolejowych. Chaos Powiśla, dzięki któremu elektrownia przynajmniej dwa razy dziennie gwizdała na wszystkie urbanistyczne aspiracje i wzruszenia, związane z majestatem Wisły i urokiem Skarpy. Wreszcie szereg chaosów pośrednich, mniej indywidualnych.

Trudno to było ogarnąć krótkim, syntetycznym spojrzeniem. Zanim obserwator prze-dostał się z jednego krańca miasta na drugi, dużo wody w Wiśle upłynęło i nawet ławice piaskowe zdążyły się przesunąć o kawałek. Warszawa posiadała tylko jedną arterię o trasie niezagmatwanej, wiodącej przez most Poniatowskiego z zachodu na wschód. Pojazd, chcący się przedrzeć przez miasto w każdym innym kierunku, po ujechaniu niewielkiego odcinka tracił szybkość, utykał na skrzyżowaniach, bądź wikłał się w siatce mniejszych ulic, przeszkadzających sobie wzajem. A musiał się przedzierać i przejeżdżać, choć nie chciał, bo brakowało dróg, racjonalnie prowadzących tranzyt. Chroniczny zatarg pieszych i pojazdów ujawniał się najdotkliwiej podczas dni nauki przechodzenia przez jezdnię. Ale i bez pojazdów pewno niejeden przechodzień spostrzegł, że trasa, prosta i wygodna wczesnym rankiem w niedzielę, stawała się znacznie dłuższa w powszedni dzień po południu, gdy trzeba było wymijać chmary śpieszących się ludzi.

Całość sieci komunikacyjnej powiązana była ze starych i nowych sznurków, często nie wytrzymałych obciążenia i suplących się nieporadnie. Dokonano jednej zasadniczej poprawki, mianowicie przebiecia się ze śródmieścia ku Żoliborzowi, przy czym godzi się przypomnieć, iż osiągnięto jawne korzyści, posługując się metoda mądrego zniszczenia. Był to niestety wypadek odosobniony.

Sprawa domagała się rozstrzygnięcia tym bardziej, że poszczególne partie miasta nie miały dość wyraźnego podziału co do roli, jaką powinny pełnić w układzie całości. Wprawdzie niektóre dzielnice nabierały już charakteru mieszkaniowego, wprawdzie rozmaite biura, zakłady i przedsiębiorstwa o charakterze administracyjnym i handlowym zdobywały sobie teren w śródmieściu wypierając stamtąd mieszkania, ale na ogół mieszkano się, pracowało i handlowało wszędzie. Stąd zaś wynikała bezładna i kosztowna, nadmierna ruchliwość miasta.

Tymczasem Warszawa rosła i wszystkie pulsujące w niej zagadnienia szukały sobie ujścia. Naciśnienie w centrum skierowało się po linii najmniejszego oporu: ku Polu Mokotowskiemu i przylegającym doń terenom niezabudowanym, które od południowego zachodu szerokim rękawem sięgały w stronę śródmieścia. Tam miała się zorganizować stoleczność miasta, wszystko, co domagało się skali i rozmachu czasów współczesnych i przyszłych. Była to tragiczna rozłąka z Wi-

szą i jej wysokim brzegiem, najważniejszymi wartościami naturalnymi położenia Warszawy. Przy Wiśle rozsiadła się już zabudowa, której jedyne uzasadnienie stanowił fakt, że istniała.

Natarczywa, zaborcza zabudowa zdobyła dla siebie w całym mieście tyle miejsca, że zanim moda na zielenie przerodziła się w powszechnie zrozumiały postulat, dawka zieleni, przypadająca na jednego mieszkańca, okazała się zupełnie niewystarczająca. Szukano więc połowicznego ekwiwalentu na peryferiach, gdzie było jeszcze dość przestrzeni wolnych i powietrza — zwłaszcza ku niebu.

Tak wyglądała Warszawa, widziana — chwilami w umyślnym, ale niewielkim przekraskawieniu — od strony niektórych, bo tylko najważniejszych wad. Nie będziemy jej winić, ponieważ tak samo wyglądają prawie wszystkie wielkie miasta świata, których wzrost wyprzedzał leżącą odległością myśl urbanistyczną.

Niezorganizowane miasto, podobnie jak niezorganizowany dom, brudzi ludziom we wzajemnych stosunkach, staje się wiecznie czynną wytwórnią zatargów i sprzecznych interesów. Podwórko domu czynszowego — zbiornik zapachów kulinarnych, wszelakiego harmideru i sąsiedzkich waśni — oto dobitna ilustracja podłoża, na jakim wyrastać miała solidarność i wzajemna życzliwość mieszkańców. Wiele z tych waśni spocięło się wraz z domami, wiele powstało w nowej formie. Nadchodząca Warszawa pragnie rozwiązać sprawę współżycia mieszkańców usuwając z ich drogi powody do antagonizmów i podsuwając formy, w których to współżycie będzie otrzymywało ciągle bodziec do harmonijnego rozwoju.

W dzielnicach mieszkaniowych powstaną kolonie, najmniejsze komórki wspólnoty. Tu zorganizuje się fachowa opieka nad najmłodszą działwą uwalniająca ją od niebezpieczeństwa zabaw na ulicy i od podpalania domów lub wypadania z okien; gdy dzieci muszą zostać same. Mamusi i panie domu zastaną zbiorowe inwestycje gospodarcze, dzięki którym będą mogły, jeśli zechcą, oszczędzić sobie czasu i wysiłku dla spraw ciekawszych niż drobna, codzienna mitrega. Wszyscy mieszkańcy znajdą możliwość korzystania ze wspólnych urządzeń kulturalno-rozrywkowych, takich, z których wielu musiałoby zrezygnować, gdyby je chcieli uzyskać samodzielnie.

Kolonie zespolą się w osiedla. Tu zorganizowany układ szkół zapewni młodzieży prawidłowy rozwój w izolacji od wielkomiejskiego zamętu. Racjonalne rozmieszczenie sklepów i drobnych warsztatów pracy uwalni mieszkańców od szercu blących — na pozor — strat energii i czasu, składających się w sumie na spory, a niepotrzebny wysiłek. W chwili wolnej będzie można przejść się po świeżych, bogatych w zielenie ulicach lub wy-



TADEUSZ KULISIEWICZ

Warszawa 1945. Plac Teatralny (rysunek: pióro i tusz)

skoczyć na któreś z boisk i użyć konserwującego młodość ruchu.

Zespolone osiedla stwórzają dzielnicę. Tu już niejedną poważną zakup lub sprawa urzędowa da się bez trudu załatwić. Tu już kultura duchowa i fizyczna, rozrywka i życie towarzyskie zakwitną barwniej, spłotą się inicjatywy kilkudziesięciotysięcznych rzesz, objawiają się w domu ludowym i bibliotece, na stadionie i w parku, w teatrze, w kinach, w kawiarniach — wszakże w sposób niezamierzony rwetesem metropolii, gdzie wszystko kipi naraz.

Szukając wzruszeń najwyższego napięcia i największej dynamiki gromad ludzkich, będzie można w ciągu kilku minut przenieść się do śródmieścia. Lecz i w śródmieściu, dzięki rozłączeniu funkcji kolidujących i racjonalnemu sprzężeniu tych, które są sobie pokrewne, wibrujący chaos ustąpi miejsca bogatej gamie napięć i nastrojów, od cichej pracy rozmaitych zrzeszeń i instytucji kulturalnych, przez umiarową reprezentację dzielnicy dyplomacji i administracji państwowej, przez szumiące od interesów city — aż do patosu wielkich mas w salach Zgromadzenia Narodowego i na forum ludowym.

Tysiące par rąk spotykają się codziennie w dzielnicach specjalnych, gdzie nikt nie zakłóci prawidłowego rytmu pracy i gdzie praca będzie się toczyć nie wadząc miastu. Tu zaczęta działać przetwórczo przemysł spożywczy, ówdzie zawirują obrabiarki przemysłu precyzyjnego, gdzie indziej — zahuczą wielkie maszyny przemysłu ciężkiego. Z tych to dzielnic i ze śródmieścia powracać będą po zajęciach od swych domów — ludzie — odpoczęci, pokrzepieni się, zażyli życia w rodzinie i w gromadzie społecznej.

Nowy ład ogólny, opowiedziany tutaj w schemacie uproszczonym i sprowadzonym niemal do haseł, pociąganie za sobą ład w szczegółach. W ślad za rozmieszczoną prawidłowo treścią życia miejskiego podąża forma, osiągnąca wyraz i nastrój. Dzielnicą o określonym zadaniu naczelnym może bowiem otrzymać celową, przejrzystą w koncepcji i jasną w realizacji — zabudowę, własną komunikację wewnętrzną i łączność z innymi dzielnicami. I dlatego ów ład ogólny jest od wszystkiego ważniejszy. I dlatego musi się do niego nagiąć lub ustąpić mu miejsca wszystko, co jest mniej warte niż on.

A gdzie ma być dawna Warszawa? Jedną z największych jej wad było to, że nie umiała wyzyskać swych zalet. Teraz, gdy nad zwalczaniem wad pracują urbaniści, tę przede wszystkim chcą pokonać.

Warszawa musi odzyskać Wisłę w pełni jej ziemnej i kapryśnej urody. Musi zdjąć z Powiśla rumowisko i nie dopuścić, aby kiedykolwiek pomiędzy rzekę i nią, królującą krajowi z wysokiego wisanego brzegu, weisnął się klin — intruz. Skarpa musi się pozbyć nie tylko ruder i plotów, ale wszystkiego, co jest mniej warte niż ona. Od jej skraju ku zachodowi, od Starówki wzdłuż Krakowskiego, Nowego Świata i Alei Ujazdowskich odzyska zabytki, posłannicy wieków minionych do wieków przyszłych. Stąd wstąpią głębiej w miasto, aż do miejsc, gdzie dzisiaj leżą ich zwaliska. Powstaną i będą współżyć z nowymi budowlami, od których zażądają szacunku i uległości, oraz ze starymi, które ostały się w ogniu, a mores znają. Stara Warszawa dopatrzy, aby na wszystkich połaciach miasta, gdzie tylko tai się ślad jej krasy, oddano jej Skarpę i Wisłę.

Urbanistyka jest nieustającym studium porównawczym. Postępujemy więc na zakończenie, co mówią u siebie na temat bardzo pokrewnych zagadnień specjaliści spośród narodu, który urządza się wygodnie i myśli trzeźwo:

„Nie poświęcić żąda się od londyńczyków w tym projekcie. Plan wykazuje prawo zwykłych ludzi do zachowania i zwiększenia na każdym miejscu ich roszczeń, aby żyli, jako obywatele stolicy Brytanii“.

„Sposobność? Działania wojenne oczyściły pewne tereny, a my musimy je oczyścić znacznie więcej — ale na co? Czy działania wojenne rozjaśniły nam również w głowach na tyle, abyśmy zdali sobie sprawę, czym mógłby być Londyn? A jeśli tak — czy mamy dość wyobraźni i mocy dla urzeczywistnienia naszych nadziei, czy też nawrócimy do dawnych, nieupianowanych bloków miejskich, do dawnego dzikiego rozpanoszenia spekulacji prywatnej, czy odtworzymy dawną łamię główkę podwórz, ulic i kłócących się ze sobą fasad? Ponure dziedzictwo dla przyszłości. Papiery spekulanta gruntowego idą w górę... Czy też będziemy planowali nasz Londyn, dając mu ład i celowość, przestrzenność i piękno“?

Adam Kotarbiński

JERZY GRABOWSKI

Klamra stalowa nad Wisłą

Zielona brudna fala użera się u mych stóp z wrakiem pokrzywionego żelastwa. Oblizuje łączynie szare plastry potrzaskanego betonu. Szarpie martwicą techniczną, penetruje każdą szczelinę, chwytając za łuki i kratownice, mocuje się z belkami...

Daremnie! Dziesiątki tysięcy lat trwać by musiała walka płynnego żywiołu, aby zerżewić i porozrywać potężne łuki żelazne, aby zeszlifować i zamulić betonowe płyty.

Na wrak przychodzi człowiek. Pięciokilowe młoty miazdzą głązy betonu, niebieskawe żądło tleni tnie żelazo jak ciasto.

Odrywam oczy od wody i rzucam spojrzenie przed siebie: na Skarpie warszawskiej grobowa cisza strzaskanych murów; przez ocodolę okien prześwituje szarość nieba. Martwota.

Ale człowiek jest i tutaj. Przy starym zabytkowym kościółku na Powiślu małe figurki murarzy pracowicie wypełniają cegłą olbrzymi otwór wyrwany pociskiem w samym frontonie.

Na prawo wzrok uderza o granitową ścianę ocalałego filaru mostu. Ponury, martwy.

Nagle z góry spada na mnie świsł gwizdka. W ucho wiewiera się rozdygotany szum motorów. Podnoszę oczy: człowiek, zwycięski człowiek pracy jest i tutaj.

Motory szumią coraz intensywniej. Czerwony kabłak stali, leżący bezwolnie jak powalony olbrzym na 80-ciometrowym stole, zaczyna z największym wysiłkiem odrywać się od pomostu. Pięćdziesięciopięciotonowe cielsko przebiega dreszcz życia.

Dwa pazury gigantycznych rozmiarów chwyciły olbrzymia za kark — pomagają powstać. Olbrzymie poziome kratownice kranów okraczyły most, rozparły się szeroko na lesie drewnianych rusztowań i ciągną pazurami w górę ile sił.

Niemal czuć jak nabrzmiewają stalowe mięśnie koronkowych kratownic, jak nitki grubych lin krzyczą o pomoc. Potwór opiera się jak moze. Ciągnię w dół, ku ziemi, swą masą 55 000 kg — daremnie.

Po trzech minutach zachciało mu się wreszcie żyć samodzielnie: ze zgrzytem przesunął się swymi gigantycznymi łapskami po bładie

stołu. Nie wiadomo czy chciał się od niego przedź oderwać, czy walczył o pozostanie w bezruchu. W każdym razie jako ślad tej walki pozostały miazgociny drzewa i głębokie rany w potężnych belach pomostu.

Jeszcze minuta i oto olbrzym zatrzepotał w powietrzu. Jak fantastyczny krwawo-czerwony potwór wodny rzucił cielskiem w lewo, w prawo, jeszcze raz w lewo... Zobaczył, że nie da rady, więc uspokoił się, przywarował, poddał...

Teraz już wystarczyło kilku ludzi, aby zakotwiczyć go na poduszce jednego filaru a potem drugiego. Olbrzymia, czerwona klamra spięta Wisłą swym łukiem jeszcze raz.

Może wreszcie tym razem — na zawsze.

Jak większość rzeczy wielkich, wszystko to było takie proste! Wystarczyło dosłownie kilkunastu ludzi, działających spokojnie, bez omyłki, bez gorączki.

Tylko dyrygent tej beznamiętnej orkiestry, doświadczony majster górnośląski był pełen ekspresji. Przylepiony do stromizny filaru, szerokimi ruchami ramion wykonywał magiczne passy rozkazów. Tajemne drgnienia rąk i dłoni wprawiały w ruch motory, wzmagaly lub osłabiały ich tętno, przenosiły łuk w powietrzu, ciągnęły go w górę i opuszczaly...

A potem — cóż? Łuk dopasował się bez błędu. Dokładnie, jak najdokładniej. Na 80 metrach i 95 milimetrach. Nie na 94-ch albo 96-ciu, ale właśnie na 95-ciu.

Po chwili spacerowali sobie po nim gęsiego monterzy, jak kłódy z nas po trotuarze ulicznym. Po takiej lukowatej półmetrowej stalowej kładce, rzuconej w powietrzu nad wodną przepaścią.

Jeszcze minuta, a już wyciągają się ku monterom gigantyczne ramiona dźwigów. Do rąk wędrują belki, deski, stalowe blachy. Tą samą drogą zjawiają się różne przyrządy i aparaty, coś skwierczy, coś stuknie — i oto świeżo wzniesione przeszło zaczyna przyrastać do swego sąsiada.

Potem w odpowiednio przygotowane kołnierze wstawia się pionowe rury stalowe — grubsze i cieńsze, dłuższe i krótsze, kładzie się na nich belki, na belki — niecki blaszane, na niecki — beton, na beton — asfalt i... proszę bardzo — otwieramy most Poniatowskiego.

Naprawdę jest to niesamowicie proste. I tak nie nieskomplikowane. I inaczej być nie może. Dopiero akty budowy mówią co innego. Setki szkiców, projektów, stopy obliczeń konstrukcyjnych, pliki wycinków roboczych, teki za mówień do hut, do tartaków, do kolei. Listy, depeşe, telefony, wyjazdy.

Twórcy projektu, kierownika robót, techników, można by już niemal na budowie nie oglądać. Ale mimo to są, są niemal bez pracy. Bo kochają swą pracę, bo widzą realizację swych twórczych myśli i wiedzy, bo żyją mostem, bo mają go we krwi.

Mimo katastrofy, pod koniec marca — i początku kwietnia powinniśmy już chodzić i iść na miłość twardą stopą. I jeździć.

Zupełnie wreszcie czerwoną klamrą Warszawę z Pragą. Po jego łuku przetoczy się przez największą polską rzekę jedna z dwu głównych arterii Wschód—Zachód. Druga przesłynie przez Wisłę w pobliżu praocja żelaznych mostów warszawskich — mostu Kierbedzia.

Arterie te na wschodzie od Warszawy zleją się w jedną wielką superarterię pod Zielonką na Zachodzie — w okolicach Włoch. Od Zielonki szara wstęga betonowej nawierzchni wpadnie do stolicy dwoma pasmami. Pierwszą wbiegnie na Pragę w okolicach Targówek, a potem po skoku przez Wisłę obok mostu Kierbedzia potoczy się ku Włochom, celując na kierunek ulic Wolskiej i Chłodnej.

Druga odskoczy od Zielonki na południe ugnie się silnym łukiem w okolicach Olszyny Grochowskiej, aby wpaść właśnie na most Poniatowskiego, skąd wytkniętym od dawną szlakiem Al. Jerozolimskich i ul. Grójeckiej popędzi na Zachód.

Natomiast kierunek północ-południe obsługiwane będą trzy główne arterie. Pierwszej przystosowanej do ruchu szybkiego, wyznaczy kierunek odcinek ul. Żelaznej; druga — nowa, bieć będzie odcinkiem ul. Redutowej na zewnątrz granic cmentarza Wolskiej i przejmie przede wszystkim ciężki ruch tranzytowy; trzecia, spełniająca te same zadania na Pradze, potoczy się odcinkiem ul. Zielenieckiej.

Do tych pięciu wielkich stołecznych rzek komunikacyjnych wleje się cała masa strumieni jezdni ulicznych. A raczej nie wleje, tylko doskoczy, krzyżując się z nimi na różnych poziomach i jedynie od czasu do czasu wpadając na nurt głównej trasy.

W ten sposób arterie spełnią swe zadania — jak najszybszego, — pozbawionego przeszłości rozprowadzania ruchu, zwłaszcza dalekobieźnego, i obsłużenia zespołu dzielnic centralnych, koncentrujących w sobie ośrodki dyspozycji państwowej i społecznej, dzielnic handlową, wielkie zespoły przemysłowe wreszcie gros mieszkań ludności warszawskiej.

W pierwszej fazie, noszącej raczej cechy tylko odbudowy dróg kołowych, aby jak najprędzej wypełnić palące zadania aktualne punkty węzłowe rozwiązywać się będzie jednorodnie. Zmiana kierunku ruchu odbywać się będzie na odcinkach łuków, z tym, że w przyszłości przebuduje się dwa lub więcej nawet poziomów.

Most Poniatowskiego jest pierwszym milowym etapem w dziele odbudowy nowoczesnej komunikacji kołowej w Polsce.

Ta wielka praca inżynierska, dokonywana właśnie teraz po kataklizmie prawie sześciu lat wojny, przy olbrzymich trudnościach komunikacyjnych, surowcowych i gospodarczych, jest dziełem niewątpliwie ponad miarę przeciętności. Jego planowe, szybkie dokonywanie się wzbija nóż prosto w serce polskiemu kompleksowi niższości, który tak chętnie lubimy pokrywać deklamacjami hurrapatriotycznymi i wiecowymi krzykami: „albośmy to jacy tacy“.

Te przeszło 2 000 ton stali i żelaza, które wkrótce zepną lewy z prawym brzegiem Wisły, mówią nam wyraźnie, że tylko praca mózgu łącznie z pracą mięśni może stworzyć warunki dla tworzenia dzieł naprawę wielkich.

Dowodzą, że dla zorganizowanej pracy społecznej nie ma zapór i przeszkód. Bo jakkolwiek przy montażu mostu pracuje wszystkiego około 400 ludzi, jest on przecież wynikiem wysiłku dziesiątków tysięcy robotników i inżynierów, kolejowców i hutników, drwali i wodniaków, monterów i betoniarzy.

Odbudowa mostu Poniatowskiego mówi nam, że znamiona wielkości leżą nie tylko gdzieś daleko poza Polską, lecz drzemają głęboko w nas samych.

Tylko trzeba tę wielkość wyzwolić. Uchwycić. Zorganizować.

Polacy mogą naprawdę tworzyć dzieła wielkie.

Jerzy Grabowski

ROMAN BRATNY

PLACYK W RUINACH

O jakieś bramy chobre wyszczerbiali miecze...
to historia. Ale na bramce gra ulicznik na placu.
O jakieś miecze wyszczerbiono bramy miejskie...
to Warszawa. Rok? — Zlicz prędko lata na brakującym palcu!

Ulicznicy grają. Na bramce beznogi — więc na kulach
(to znaczy jedną nogę ma), a piłka ich? — gazety w kulę zmieść,
sznurek je trzyma gordyjskim węzłem,
kióry tu często kopniak rozwiąże, gdy taką piłką dryblują.

Placyk, Ruiny. Z głośnika mówią:
proces zbrodniarzy wojennych...
O, znów ten mały strzelili — 1:1.
Kulawy nie obronił, choć zamierzył kulą!

Gołąb górą — część żywa upadłej katedry
— może spłoszona krzykiem boiska, goli?
Przez placyk mnich przechodzi, lecz wcale nie bosi
— U. N. R. R.-y pantofle widać pod habitu brzegiem.

O, gdyby więcej Polska chobrych miała synów,
to i więcej, bez modłów, miałaby trzewików,
i nóg by miała tyle, by bramkarz przenigdy
nie miał ich tylko jednej... i gorzkiego wstydu.

Chobrzy. Miasto. Poszczerbione bramy.
Gdyby spojrzeć na placyk zza szybki wprawionej
w jakiś kawałek ruin, to by się wydało,
że bramkarz nogi nie ma, bo szyba nie zdąży

przepuścić wszystkich ruchów młodzieńskich piłkarzy.
Papierowa ich piłka, bo uboga Polska
— w tych gazetach to też pewnie zbrodniarzy wojennych proces...
może mignie fotografia którejś twarzy...?!

Hej! Piegowały znów przy piłce — już kulawy leży,
coś mu migło pod kikutem ostro!
Gol. Już teraz jest 2:1.
Może dojrzał jakąś twarz, że rękę cofnął?

Przez szybki w bramie szczerbatej wśród ruin
widać ten placyk. Kulawy i piłkarska banda
poszli. Jest teraz cicho. Ale właśnie tutaj
Chobry by miecz swój złożył, parę minut zagrał

z kulawym, z tym beznogim, bo to dzielny chłop.
Więc niech się zbytnio nie przejmują naród,
że nóg brakuje i rąk,
bo ci, choć ich nie mają, kopią tu w zabawie

piłkę z papieru, w którym opisana zbrodnia:
tysięce nóg ściętych uśmiechem Kramerów.
Bo kraj został. I krwi, tej nieprzelanej, wiele,
co krąży teraz biegiem jak chobry wyrostek.

Najmilszy prezent na święta

to nowa książka

Wiecha

„WIADOMO — STOLICA!“

STEFAN PUTOWSKI

rysunki AUTORA

Zagadnienie przemysłu stołecznego

Przystępując do właściwego planowania należy zanalizować przyczyny umiejscawiania się przemysłu. Musimy poznać czynniki, które na to wpływają, zdać sobie sprawę z hierarchii ich ważności i stworzyć warunki najlepszego dalszego rozwoju. Czynniki niekorzystne, często tylko przypadkowe, należy przekształcać, a nawet likwidować.

Najpoważniejsze znaczenie dla rozmieszczenia przemysłu mają źródła surowców oraz źródła tworzące energię. Jest to szczególnie ważne dla przemysłu ciężkiego, gdzie tonaż transportu jest sprawą zasadniczej natury.

Również ważnym czynnikiem są ośrodki gromadzenia się sił technicznych i techniczno-naukowych, chociaż to bywa często zjawiskiem wtórnym.

Mniej istotnym powodem, będącym wypadkową różnych zjawisk, jest tradycyjność w lokowaniu się pewnych gałęzi przemysłu. W miarę możliwości należy i ten czynnik respektować.

Jesteśmy obecnie w okresie odbudowy kraju, po ciężkiej wojnie, która przyniosła wielkie zniszczenia na wszystkich odcinkach naszego życia. Zniszczyła także przemysł. Odbudowa przemysłu jest nie tylko konieczna dla odbudowy kraju, ale przede wszystkim daje podstawę gospodarczego życia Polski.

Musimy więc zdać sobie sprawę, jakie rola przemysłu powinny powstać i najbardziej się rozwijać.

Polska nie jest już krajem na wskroś rolniczym, nie posiada wielkich bogactw mineralnych. Należy co prawda liczyć się z intensywnym rozwojem przetwórstwa hodowlano-rolniczego, jak nie można również lekceważyć potencjału Śląska, ani jego roli dla wielkiego przemysłu metalowego.

Zasadniczo jednak przyszłość rozwojową państwa opieramy głównie na rozbudowę przemysłu precyzyjnego, a także artystycznego.

Powyższa teza ma poważne uzasadnienie nie tylko w potrzebie stworzenia mocnych i realnych podstaw gospodarczych naszego kraju, ale i w drzemających w nas jeszcze wielu różnych możliwościach. Możliwości te wynikają ze struktury i położenia kraju, a co ważniejsze — ze szczególnych uzdolnień i dużej inteligencji naszego robotnika. Mamy na to wiele dowodów. Jednym z nich to pochlebne opinie przemysłowców zagranicznych, wyrobione na podstawie kontaktów z zatrudnionymi przez nich Polakami. Ford np. w swoich pamiętnikach niejednokrotnie podkreśla zdolności, inteligencję i ambicję zawodową polskich rzemieślników. A w kraju, prawie w każdej wiosce, wegetuje analfabeta, kowal-wynalazca, majstrujący z zapalem jakieś dziwne maszyny, „perpetuum mobile“, marnując czas i siły. Odpowiednio kształcony i użyty miałby wielkie pole do popisu, byłby nareszcie potrzebny, czynny i twórczy, jako fachowiec, wśród wysoko specjalizowanych kadr pracowników nowego przemysłu.

Przemysł precyzyjny, przy postępującej w przyszłości elektryfikacji kraju, może być lokowany wszędzie i najwłaściwsze będzie de-centralizowanie go. Zaktywizuje się w ten sposób ludność zapadłych, prowincjonalnych osiedli i podniesie jej skalę życiową, wyrównując ogólny poziom kraju. W związku z tym muszą powstać ośrodki, które będą kształcić i stale specjalizować fachowców; produkować wzorcowe elementy dla dalszej, masowej wytwórczości, a także organizować i reprezentować życie zawodowe.

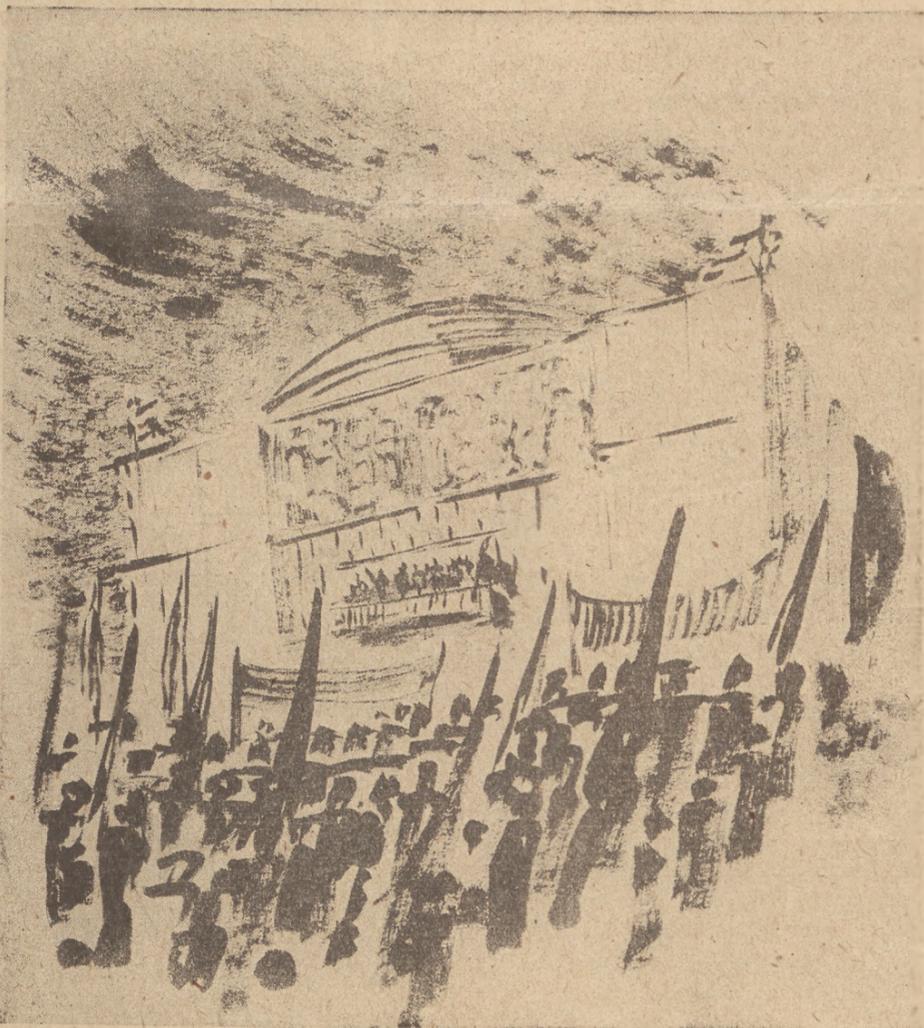
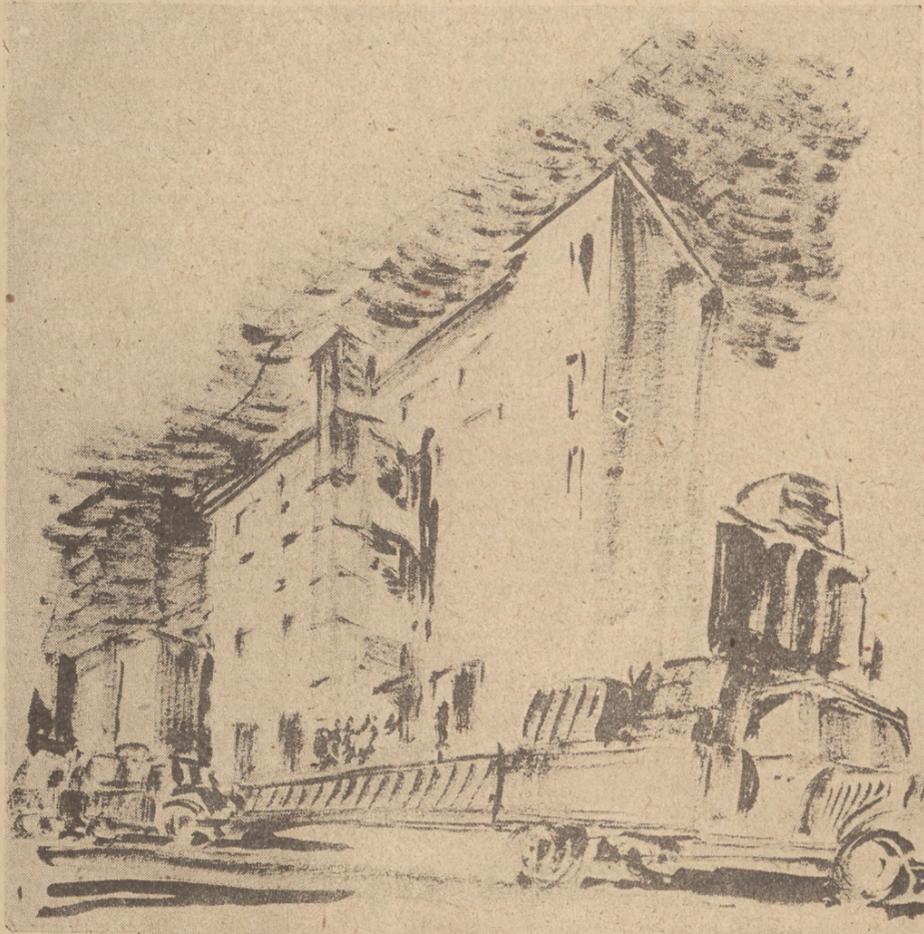
I tak np. dla przemysłu ciężkiego, metalowego, lokującego się najwłaściwiej na Śląsku — Katowice są i będą takim ośrodkiem dyspozycji, a dla przemysłu włókienniczego Łódź w dalszym ciągu pozostanie stolicą.

Z tych samych powodów wydaje się, że Warszawa, jako stolica państwa, powinna być jednym z ważniejszych ośrodków przemysłu precyzyjnego.

Przewidując planowe lokowanie przemysłu w Warszawie, z góry należy wyeliminować niektóre jego gałęzie. W mieście oddalonym od źródeł surowców nie ulokują się hutnictwo lub „ciężka metalurgia“.

Pozostaną tutaj przemysły lżejsze, które można by podzielić na kilka grup. Zaopatrzenie jest związane z dużym skupieniem ludności w milionowym mieście. Do tej grupy należy zaliczyć nie tylko zakłady i składy spożywcze jak młyny, piekarnie, mleczarnie, fabryki stoczek itp., oraz przemysłowe instytucje usługowe (elektrownie, gazownie), lecz i związane z zaopatrzeniem działy: włókiennicze, odzieżowe, skórzanie itp., które częściowo zahaczają o drugą poważną liczebnie grupę — przemysł precyzyjny.

W Warszawie ta grupa przemysłu posiada specjalny aspekt, inny niż w miastach prowincjonalnych, w związku z rolą stolicy, która skupia w sobie nie tylko dyspozycję i administrację kraju, lecz będzie również — także chcemy ją widzieć — centrum kulturalnym, naukowym i gospodarczym. Przemysł



ZBIGNIEW STOLAREK

FRAGMENT

Pokażcie gdzie szerzej odełchnąć w czterech ścianach pół roku?!
— Tu powietrze strumieniem pulsuje w tęgich płucach sosen.

Szeroko.

Tu życie mocniej niż śmierć w serca bije proszę.

Ta zima była ciężka; o plecy zziębnięty opierał się wiatr,
jak ciepłym kozuchem chałupy izbami wabiły.

Las ręce skostniałe w blask księżycy kładł

— nam wódka płomieniem rozpalila żyły.

Twardo dzień za dniem ciosały odmrożone dłonie.

Obcy jak mowa wroga był płacz nieznanymi wdów.

Strzały nieustepliwie jak mróz dławily kroki pogoni.

Jak lufy patrzyły nasze oczy groźnie.

— Nas w drogę pchała radość spęczniałych ładownic!

ulokowany w stolicy zajmie w wielu dziedzinach stanowisko przodujące i emanujące na cały kraj.

Dlatego więc można część grupy przemysłu lekkiego czy precyzyjnego wydzielić ze względu na jego szczególną rolę i określić mianem **przemysłu stołecznego** (np. poligrafia, działy mody konfekcyjnej itp.).

W myśl postawionej tezy, przewidując planowy rozwój przemysłu precyzyjnego zdecentralizowanego, należy przewidzieć potrzebę powstawania pewnych przemysłowych ośrodków. Tworzyć się one powinny w centrach skupień sił fachowych i naukowych, w sąsiedztwie politechnik, wymagają bowiem specyficznego klimatu w związku z ich charakterem i zadaniami. Będą to zakłady o charakterze raczej badawczym i naukowym niż przeznaczonym do masowej produkcji. Zadaniem ich będzie wypracowywać metody pracy i dokształcać fachowców z terenu, tworzyć wzorce.

W ten sposób powstanie, obok szeregu rodzajów lekkiego przemysłu stołecznego — **przemysł wzorcowy**.

Przemysł ten, ulokowany w stolicy, ma bardzo ważne zadania pionierskie dla podnoszenia poziomu przemysłu prowincjonalnego, co nie wyklucza powstawania takich ognisk wzorcowych wszędzie tam, gdzie je stworzy inicjatywa zdolniejszych zespołów ludzkich na tle szlachetnej tywalizacji. Zyska na tym, coraz wyższy, coraz bardziej doskonalący się poziom produkcji.

Taki przemysł wzorcowy, pracujący w warunkach specjalnych, będzie miał zadania inne niż tylko produkcję. Będzie to prawdziwy uniwersytet robotniczy, najlepiej pojęty. Powinien on korzystać z opieki i pomocy państwa, a może nawet być przez państwo prowadzony. Raczej to pierwsze. Inicjatywa i przeżność powinny iść od dołu.

Przewidując w Warszawie konieczność powstawania tego typu przemysłu, który nazwalimy wzorcowym, należy uwzględnić w nowym planowaniu przestrzennym odpowiednie tereny dla ulokowania go jak najwłaściwiej. Ze względu na jego rolę i warunki pracy, widzimy potrzebę skupiania go w mieście dość centralnie.

W nowym planie urbanistycznym Warszawy przewiduje się taką **śródmiejską dzielnicę przemysłową**, w której przemysł wzorcowy zajmie poważne miejsce.

Dzielnica ta powstanie w przedłużeniu części śródmieścia, przeznaczonej dla dyspozycji gospodarczej i handlowej. Obejmie ona tereny Czystego i Woli, pomiędzy ulicą Wolską a koleją średnicową — na zachód od ulicy Żelaznej. Dzielnica ta, rozplanowana jak najnowocześnie, z wyzyskaniem wszystkich najlepszych zdobyczy urbanistycznych i technicznych, poza samymi zakładami pracy mieścić w sobie będzie szereg elementów niezbędnych dla tak pomyślanej „wzorcowni“.

Powstanie więc tam ośrodek naukowy z biblioteką i dokształcającymi szkołami zawodowymi. Przy szkołach — bursy i pensjonaty dla przyjezdnych z terenu techników i robotników, wydelegowanych dla pogłębienia praktyki i wiedzy w zakładach stołecznych.

Powstanie ośrodek życia zawodowego i politycznego, z salami zebrania i agendami związków zawodowych. Tu będzie się skupiało życie zawodowe i polityczne świata pracy, w skali nie tylko Warszawy. Będzie to igielka sejsmografu i wytyczna dla poczynań rządu, skoro się mówi o wpływach robotników na te sprawy.

Powstanie wreszcie ośrodek propagandy z muzeami przemysłowymi i terenami wystaw, gdzie jakością eksponatów dawać się będzie dobrą — nie tyle propagandę, ile informację — o wynikach pracy. Ośrodek ten łączyć się ma z ośrodkiem życia kulturalnego i towarzyskiego, a także wczasów, poprzez teatry, kina, kluby, lokale rozrywkowe, kawiarnie i wreszcie sport. W samej dzielnicy przemysłowej będą one słabiej reprezentowane, w tej dziedzinie winno być słuszne ciążenie do śródmieścia i na Skarpę.

Zakłady pracy, w większości zelektryfikowane lub czerpiące energię z centralnej ciepłowni, a więc bez szpeczących i dymiących kominów, luźno zabudowane estetyczne pawilony, bogato otoczone zielenią, rozplanowane zostaną w ten sposób, ażeby właściwie rozgraniczyć dwie sprzeczne funkcje i dwie różne skale: maszyny i człowieka. Chodzi bowiem nie tylko o usprawnienie maszyny, ale i o stworzenie człowiekowi, związanemu z przemysłem najlepszym warunków pracy.

Nowe planowanie opierać się winno na idei socjalizmu humanistycznego, gdzie celem jest człowiek, a wszystko inne — środkiem do osiągnięcia jego pełnego rozwoju.

Stefan Putowski

BARBARA I EUGENIUSZ OLSZEWSKY

Dziesięć miesięcy odbudowy stolicy

W kronikach Warszawy rok 1945 będzie zapisany jako rok odbudowy zasadniczych funkcji dyspozycji stołecznej oraz odbudowy urządzeń użyteczności publicznej, które przywracają zburzonej stolicy charakter wielkomiejski. Normalne, zasadnicze funkcje miasta uległy przy tym przesunięciu na plan dalszy, co stwarza nieuniknione paradoksy. Warszawa jest dziś niezaprzeczalną stolicą państwa, mieszkańcy jej mają elektryczność, wodę i kanalizację, ale bardzo często nie mają całego, nie dziurawego dachu nad głową.

Pierwszy wysiłek odbudowy poświęcono urządzeniom użyteczności publicznej. Już w końcu kwietnia ruszyła elektrownia, w maju rozpoczęto pompowanie wody z Wisły, w czerwcu pojawił się na mieście pierwszy tramwaj, a w następnym miesiącu czynna już była gazownia. Rezultatem wyjątkowej pracy jest to, że poziom urządzeń użyteczności publicznej dorównywuje już w wielu wypadkach przedwojennemu. Ludność Warszawy stanowi dziś zaledwie 34% ludności z 1939 r. Tymczasem zdolność wytwórcza generatorów elektrowni wynosi 50% mocy przedwojennej, długość sieci wodociągowej sięga 52% itd.

Najgorzej przedstawia się zagadnienie komunikacji. Ciągłe jeszcze tysiące ludzi muszą kilometrami brnąć po gruzie i błocie do miejsc pracy. Ale jednak coraz mniej gruzu zalega ulice, ale już wkrótce nastąpi otwarcie największej inwestycji komunikacyjnej Warszawy — odbudowanego przy wydatnej pomocy Śląska mostu Poniatowskiego. Wkrótce odległe dzielnice miasta połączy trolleybus.

W ślad za postępującą odbudową urządzeń miejskich zaczęła się uwydatniać stołeczna rola miasta. Jeszcze w marcu Warszawa lewobrzeżna była słabo zaludnionym przedmieściem mieszkaniowym stolicy — Pragi. Dziś większość ministerstw i centralnych urzędów mieści się na brzegu warszawskim. Nie mamy jeszcze pełnej statystyki domów wyremontowanych na cele publiczne. Wiemy jednak, że w ramach prac Biura Odbudowy Stolicy oddano do użytku na te cele 1 160 000 m³ kubatury, a w toku remontu jest dalszych 2 710 000 m³. W przeliczeniu na ilość izb liczby te dają około 11 000 izb wyremontowanych i 27 000 izb w robocie.

W stosunku do tego nieznaczna jest ilość oddanej przez BOS do użytku kubatury mieszkaniowej. Wynosi ona zaledwie 330 000 m³, a więc około 3 300 izb. Dają one pomieszczenie — nawet przy warszawskiej ciasnocie mieszkaniowej — najwyżej dla kilkunastu tysięcy ludzi, co stanowi kilka procent ludności prawobrzeżnego miasta, przekraczającej dziś ćwierć miliona.

Cóż spowodowało, że pierwotny plan odbudowy czterech dzielnic mieszkaniowych (Mokotów, Saska Kępa, Żoliborz i Bielany) został wykonany tylko w drobnej części?

Ogólny zakres budownictwa był w roku bieżącym ograniczony przez dwie grupy czynników. Początkowo były to trudności organizacyjne, brak wykwalifikowanych sił roboczych i brak sprzętu. Gdy te pierwsze trudności zostały pokonane wystąpił czynnik inny — ograniczenia kredytowe i opóźnienia w do-

stawie materiałów budowlanych, przede wszystkim szkła i drzewa. Planowanie odbudowy liczyło się z tymi przeszkodami i przewidywania jego były zasadniczo realne. Świadczy o tym fakt, że na 1 listopada wykonanie planu remontów osiągnęło 70%. Planowanie nie przewidziało jednak rozmiarów naporu użyteczności i zamiast miliona m³ budynków użyteczności publicznej na warsztat musiało pójść prawie 4 razy więcej.

Tempo robót remontowych zwiększało się aż do listopada z miesiąca na miesiąc. Największe natężenie osiągnęło ono w październiku, gdy chciano wyzyskać kończący się sezon budowlany.

Na korzyść remontów zaniedbywano w ostatnich miesiącach rozbiórki. Ze wzrostem zatrudnienia przy remontach malało zatrudnienie przy robotach rozbiórkowych.

Pod nawalem bieżących zapotrzebowań zaniedbano też w pewnym stopniu planowe przygotowywanie robót zamierzonych na lata następne. Zbyt mało wysiłku poświęcono więc magazynom, bocznicom, warsztatom, garażom itp. Wykonano wprawdzie w dużym stopniu prace projektodawcze, należy się jednak liczyć z tym, że zadanie przygotowania się do szeroko zakrojonej akcji odbudowy spadnie na rok przyszły.

Stolica państwa została odbudowana dość niespodzianie już w roku bieżącym. Trzeba będzie przystąpić do budowy miasta Warszawy.

Barbara i Eugeniusz Olszewscy

JERZY WALDORFF

Dawna i przyszła opera

Gmach Opery Warszawskiej to — przeszło sto lat historii naszej muzyki. Jej wznoszące się od 1825-ego roku mury oglądał jeszcze dorastający w Warszawie Chopin. Gotowej, niestety, nie miał nigdy zobaczyć. Po rocznej przerwie w budowie, spowodowanej powstaniem listopadowym, została ukończona dopiero w 1833-im roku, w 3 lata po wyjeździe artysty za granicę. Lecz jedną z pierwszych śpiewaczek, które wystąpiły na jej deskach, była pierwsza miłość Chopina, — śliczna, a nieczuła na jego zalety Konstancja Gładkowska. Później na scenie opery miała ujrzyć światło kinkietów większość arcydzieł operowych Moniuszki z „Halką” i „Strasznym Dworem” na czele, a jeszcze później, już w naszych czasach, o planon ciałe tego samego teatru miały się obić po raz pierwszy dźwięki jakże innej muzyki dwóch oper Karola Szymanowskiego: „Króla Rogera” i „Hagith”.

Przyszła druga wojna światowa, zniszczenie Warszawy i okazało się przy tym, że los jest życzliwszy dla muzyki operowej niż dla symfonicznej. Gmach Filharmonii Warszawskiej, spalony w 1939-tym roku, podczas powstania warszawskiego został do fundamentów rozbitą bombami. Przeszedł istnieć. Gmach Opery, między zrównanymi z ziemią Pałacami Saskim i Brühlowskim, a zdruzgotanym Ratuszem, którego wygląda dziś jak trup człowieka o brzuchu rozszarpanym granatem — ocalał.

Słowo „ocalał” ma w Warszawie specyficzne, różne niż gdziekolwiek indziej zabarwienie. W Warszawie nie ma budynków, które by ocalały w potocznym tego słowa znaczeniu. Wszystkie są mniej lub więcej okaleczone, poharatane odłamkami. Jeśli się mówi w Warszawie o jakimś budynku, że „ocalał”, to znaczy tylko, iż ocalało w nim to, co było najcenniejsze, co może być podstawą do odbudowy. — Podobnie stało się i z Operą: w roku 39-ym spłonęło jej wnętrze, w 44-ym jej cenna biblioteka z rękopisami Kurpińskiego i Moniuszki, lecz ocalał jej fronton, najpiękniejszy z frontonów teatralnych świata i ocalały będące wynikiem żmudnej, kilkuletniej pracy architektów, plany jej odbudowy.

Podczas okupacji niemieckiej, w gmachu dawnego Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej przy Koszykowej, umieszcza się była jakowaś dozwolona przez „władze” szkoła techników budowlanych, czy rysowników, która miała kształcić młodzież polską odpowiednio nisko do jej niższości rasowej, aby mogła w nowej, niemieckiej Europie dostąpić zaszczytu pracowania pod kierunkiem niemieckich architektów. Szkoła ta była — rzecz jasna — pozorem tylko, jak wszystko podówczas w Warszawie, co miało charakter oficjalny. W rzeczywistości była nadal — tyle że konspiracyjnym — Wydziałem Architektury Politechniki Warszawskiej, a nadto w murach jej kryła się pracownia dwóch architektów: Lecha Niemojewskiego i Piotra Biegańskiego, którzy — nie zwyczajnie na okupację — dalej pracowali nad swym, rozpoczętym jeszcze przed wojną planem przebudowy, zmienionym później na plan odbudowy Teatru Wielkiego.

Tam to zostaliśmy któregoś z jesiennych dni 1943-go roku zaproszeni w małej grupie muzyków i pisarzy na szereg zebrań dyskusyjnych nad uwzględnieniem ściśle muzycznych postulatów przy odbudowie Opery. — Ile i jakich instytucji muzycznych pomieścić w jej gmachu? Jakże sale przeznaczyć na próby orkiestry, a jakie dla baletu? Gdzie pomieścić bibliotekę teatru? Jak duże zaprojektować wgłębienie dla orkiestry i ile i jakich zmieścić w nim instrumentów? — oto były, między innymi, problemy, które mieliśmy wspólnie rozstrzygnąć.

„Duchowy” przywódca naszej muzycznej konspiracji Piotr Perkowski, znany dyrygent Zygmunt Latoszewski, nieobecny teraz w kraju muzykolog dr Konstanty Regamey, poległy później w powstaniu, nieprzeciętnego talentu kompozytor, Roman Padlewski, zamordowany w rok potem przez Niemców śpiewak Edward Bender, pianista Jan Ekler i ja, tkwiliśmy godzinami nad porozkładanymi na stołach planami. Dobiegające nas z Koszykowej okrzyki przekupniów i sygnały aut pogotowia gestapo i obawa przed ewentualnym nakryciem — wszystko to usuwało się poza prógi naszej świadomości, a przed naszymi oczyma zaczynał piętrzyć się w wyobraźni, kondygnacja po kondygnacji, nowy, wspaniały, mający się odbudować po wojnie gmach Opery Warszawskiej, któremu nie będzie równego.

Niemojewski i Biegański byli szczęśliwymi wyjątkami wśród architektów Warszawy: byli zadowoleni, że gmach, którym interesowali się — spłonął. Została tylko fasada, a więc właśnie i tylko to, czego było potrzeba. Reszta — gdyby ocalała — stanowiłaby jedynie przeszkodę w projektach przebudowy, podniosłaby koszty rozbiórki. Nadto, i w tym Opatrzność posłała na rękę ich planom, spłonął i został zrównany z ziemią Hotel Angielski, wraz z przylegającą grupą domów. — Nowy gmach Opery można było projektować szeroko, bez krepowania się terenem, wygodnym klinem, aż do Placu Saskiego.

„Dawna Opera!... — Gdy bezpośrednio przed wojną zjechał do Warszawy znakomity balet łotewski i po przedstawieniu w tej Operze miałem się zobaczyć z jego kierownikiem, musiałem wędrować kulisami, labiryntem pasaży i zakamarków, między drewnianymi oszalowaniami, po drewnianych podłogach, pod niskimi, drewnianymi stropami, by dobrać wreszcie do czegoś w rodzaju sklecone z desek budki zwrotniczej na jakiejś prowincjonalnej stacyjce kolejowej, co było garderobą słynnego baletmistrza. Byłem szczęśliwy, że nie mam podkutych butów, gdyż miałem wrażenie, iż gdybym choćby tylko obcasem wykrzesał iskry o wystający gwóźdź z podłogi, cały ten stos spróchniałych desek objętyby w oka mgnieniu płomieniem. — Stosunkowo najlepiej przedstawiała się tam podówczas garderoba operowej primadonny. Była czystsza podobnym do mysiej dziurki, do której schodziło się ze sceny w dół krętymi schodami, aby się znaleźć w mikroskopijnym, okrągłym pomieszczeniu, całkowicie niemal zatarasowanym jedną szafą z lustrem, jedną kanapką i żelazną amywalnią na trzech nóżkach

W nowym, projektowanym teatrze Opery będą te rzeczy wyglądały inaczej.

Dawna mieściła teoretycznie 1256 osób, faktycznie 1100, praktycznie zaś około 800, gdyż z reszty miejsc nie było widać sceny, a mało co można była usłyszeć. — Nowa zawierać będzie około 2000 wygodnych foteli. Położony w lewym skrzydle gmachu Teatr Narodowy pozostanie w niezmiennym kształcie, tyle że ilość miejsc będzie w nim dla wygody widzów zmniejszona z 960 na, około 650 i że przywrócony mu zostanie dawny charakter „Teatru Rozmaitości”.

Całą przestrzeń szatni Opery zajmie ogromny westibul z szatniami i reprezentacyjnymi schodami na widownię. Na pierwszym piętrze, obok widowni, pomieszczą się sale reżutowe, oraz muzeum teatralne. Ściany widowni będą odwracalne na chłoningą dźwięk, lub odbijającą go stronę, scena zaś — zmniejszająca i zwiększająca się, aby w ten sposób mogły być wytwarzane zmienne warunki akustyczne, w zależności od tego, czy przedstawienie będzie miało charakter kameralny, czy wielkiego widowiska operowego.

Osobno kilka szpałt dźwięku trzeba było by poświęcić, chcąc opisać doskonałości samej projektowanej sceny i kulis, owe zapadnie, systemy szufladowe, pyszności oświetlenia, horyzonty akustyczne, sale do ćwiczeń chóru, baletu i orkiestry, garderoby, łazienki, natryski, sale wypoczynkowe i biblioteczne, hotel dla przejezdnych artystów, czy pomieszczenia dla szkół: dramatycznej i baletowej.

Istotnej i korzystnej przemianie ulegnie też zewnętrzny wygląd gmachu teatralnego. Fasada od strony placu zostanie nietykalna, lecz jest to fasada północna, niekorzystnie dla piękna swej architektury oświetlona, więc zostanie powtórzona, z drugiej, południowej strony, z tym, iż od tej strony skrzydła jej zostaną przygięte i — zamknięty klin między Wierzbową a przedłużeniem Focha — utworzą otoczoną kolumnadą dziedziniec na przedstawienia letnie, mogące pomieścić do 7000 osób.

Całość gmachu zostanie utrzymana w stylu neo-klasycznym, a odpowiadać mu będzie — jako pendant — przebudowany i przesunięty na ós teatr, gmach Ratusza.

Tak oto miała wyglądać Opera Warszawska według planów jej twórców, uzgodnionych z nami w 1943-im roku.

Niedawno spotkałem przypadkiem wśród ruin lewobrzeżnej Warszawy inżyniera Biegańskiego.

— No, jak tam będzie — zagadnąłem go — z Operą? Mieli ją nam panowie wybudować w trzy lata...

Nie. Nie będzie wystawiona w tym terminie. Inżynierowi przykro jest rozmawiać na ów temat. — Powstały świeżo cyrki państwowe i tresowane. Gęsi mają w nich kilkakrotnie wyższe pensje od profesorów uniwersytetów. Ma powstać również państwowa rewia w Łodzi i państwowa operetka w Sopocie. Lecz o pieniądzach na odbudowę Opery jakoś ani słychu.

Czyżby wspaniała wizja nowej Opery Warszawskiej, wizja która podtrzymała nas w wytrwaniu podczas długich miesięcy oku-

pacyjnej nocy, czyżby i ta — miała pozostać tylko wizją?...

Wiemy, że jest ciężko i że w naszym nieszczęsnym kraju nie jedna tylko Opera Warszawska jest do odbudowania i że Rząd nie wie, czego się najpierw imać, by podołać choćby tylko najbardziej pilnym potrzebom i pokonać tymczasem choćby tylko te trudności, które wysuwają się na pierwszy plan jako najistotniejsze. — Wiemy też, jak ogromny jest brak ludzi do załatwienia choćby tych najpilniejszych spraw, a cóż dopiero mówić o doskonałym opanowaniu wszystkich zagadnień i dziedzin naszego życia społecznego, tak żeby nie się w nim nie marnotrawiło i żeby gęsi, choćby najbardziej uczono poprzestały na gęsim wikcie, oddając nadmiar swych zarobków na rzecz profesorów uniwersytetów, a operetki i rewie, żeby nie panoszyły się po naszych miastach w miejsce oper i teatrów dramatycznych.

Każda rodzina polska, okryta żałobą po swych wymordowanych przez Niemców synach, ograbiona ze swego mienia, zniszczona, borykająca się w kręgu swych stosunkowo drobnych spraw i kłopotów, aby odbudować swe życie — jest jakby miniaturowym odbiciem Rzeczypospolitej i nie ma dziś w Polsce człowieka, który by — na podstawie własnych losów i doświadczeń — nie rozumiał trudności, z jakimi borykać się musi nasze państwo, jako całość.

Jest jednak pewna hierarchia potrzeb, na oko mało uzasadnionych, lecz w skali historycznej — ogromnego znaczenia, domagających się zaspokojenia na równi z pierwszymi potrzebami chleba i dachu nad głową.

Zabytki architektoniczne miast, to jakby żywa księga historii narodu, w której czytają pokolenia za pokoleniami. Uczą się z niej szacunku dla narodowej przeszłości i z niej czerpią zachętę do własnych poczynań. Nie jest przy tym rzeczą obojętną, czy dany gmach jest współczesną rekonstrukcją zabytku, czy zabytkiem oryginalnym. Między pierwszym a drugim jest taka różnica, jak między fotografią, a rzeczywistością. Inaczej patrzy człowiek na mury, o których wie, że w nich naprawdę mieszkali te czy inne historyczne postaci, czy też miały miejsce ważne historyczne wydarzenia, a zupełnie inaczej na świeżo wybudowane, choćby odwarzały tamte, autentyczne — wiernie co do cegły.

Opera Warszawska to przeszło sto lat historii naszej muzyki. Na jej stojący jeszcze dziś fronton patrzył Chopin, przez jej jeszcze dziś istniejący portal wchodził do wnętrza Moniuszko, a w pół wieku po nim — Szymanowski.

Lecz ten fronton i ten portal, wypalone przed sześciu laty i od sześciu lat obmywane deszczami, prażone słońcem i zleżone mrozem — murzejają, i jeśli w jak najszybszym czasie nie podejmie się prac odbudowy gmachu, jego istniejące resztki rozpadną się i będzie trzeba rekonstruować go od nowa. Zatraci na zawsze dla przyszłych pokoleń ów niepowtarzalny urok, właściwy tylko autentykowi.

Dlatego sprawa odbudowy Opery Warszawskiej jest tak pilna i dlatego wierzymy, iż — mimo wszelkie trudności — znajdzie się na nią czas i znajdą się pieniądze.

Jerzy Waldorff

NAKLADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
»CZYTELNIK«
OKAZA SIĘ NA OWIAZDCE

JERZY ANDRZEJEWSKI

NOC

OPOWIADANIA

CZESŁAW MIŁOŻ

OCALENIE

POEZJE

BOY-ŻELENSKI

ZNASZLI TEN KRAJ?

(CYGANERIA KRAKOWSKA)

JULIAN TUWIM

LUTNIA PUSZKINA



DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

Most na Bugu

Dzisiaj, kiedy już każdy posiada nazwisko i imię, a jeśli nie posiada, sam sobie winien, to, co się odnosi do czasów, kiedy nie wszyscy mieli swoją ustaloną godność i często na zapytanie o nią z małych lub średnich robili wielkie oczy, wydaje się bajką.

Kto, oprócz ludzi już naprawdę dobrej woli, uwierzy, że aby się porozumieć z jegomościem, z którym się niejednokrotnie witało i żegnało kordialnym uściskiem ręki, trzeba było obcisnąć trzykrotnie całe miasto z karteczką ukrytą starannie w skarpetce, chociaż jegomość ten mieszkał o jedno piętro niżej w tej samej kamienicy?

Chociaż potem zrobiono wiele w celu ułatwienia wzajemnego porozumienia i wymyślono przeróżne i przedziwne przyrządy do noszenia tej karteczki służące, to jednak system nie uległ zasadniczej zmianie. Powstał nawet cały szereg instytucji, które wyspecjalizowały się w jego utrwalaniu.

W jednych fabrykowano konie na biegunach, wałki do ciasta i stojące wieszaki, w innych tary do prania i banki do mleka, w innych jeszcze — strzyżono i golono sztuczne uwłosienie. Co to miało za związek ze zwykłym porozumiewaniem się ludzi w sprawach tak prostych lub uchodzących za takie, jak cement, gips czy karbid, wiedzą najlepiej owe biedne panienki, które nie miały zbyt wiele czasu na miłość, to normalne, ich wiekowi i urodzie odpowiadające zajęcia. Od rana do nocy chodziły jak automaty, każda z jakimś charakterystycznym przedmiotem, żyjąc od jednej pomyłki do drugiej.

Mysząc o latach wojny, bo to o nich tak zawile mowa, trzeba się przygotować z góry na nieoczekiwane i wydające się nie na miejscu osiągnięcie śmiechu, które wzbudzi nawet w najbardziej skrupulatnym sumieniu wyobrażenie wyglądu sakramentalnie poważnego faceta, trzymającego się klozetowej deski w celu bynajmniej nie osobistym, albo wyraz frytacji na twarzy osoby obsługującej tak zwaną skrzynkę, której młody człowiek lub młoda panienka proponuje kupno, biustonoszy zamiast sprzedaży karbidu.

A przecież zawsze chodziło o sprawy najważniejsze. Pod ową deską, biustonoszem czy karbidem tańczyła się tajemnica, dla wykrycia których działał skomplikowany aparat przy ulicy Szucha. Dzisiejsze nieopanowane pragnienie śmiechu ma zawsze jakiś związek z minioną sprawą wielkiej wagi, rzadko z lekomyślnością.

Tak samo i w tym wypadku.

Nie chodziło przecież wcale ani o Brodackiego, który miał nie mniejsze od wielu Niebrodackich prawo do sobowtóra, ani o mężczyznę o wyglądzie starosty, który nazwał się Kiepski w tym samym celu, w jakim inny mężczyzna wcale się nie nazwał i był wystarczająco dobrze znany jako posiadacz szczytki do szorowania z bardzo długim kijem.

Chodź do o rzecz najzupełniej niebiałą. Wagi jej wcale nie pomniejszają okoliczności towarzyszące wykonaniu.

Po prostu wysadzenie mostu na Bugu wtedy nie mogło się odbyć inaczej, niż się odbyło. A odbyło się tak:

W Warszawie w jednym z domów przy ulicy, której każdy z uczestników miał obowiązek nie pamiętać, zebrało się kilku mężczyzn i jedna kobieta. Zebrani zachowywali się poważnie i jedynie przedmioty, które ze sobą przynieśli, nie wzbudzały nadmiernego szacunku. Jak to zwykle bywa, to nieposzanowanie udzielało się również ich posiadaczom. Najzupełniej niesłusznie! Czyż naprawdę dzisiaj z ręką na sercu odmówimy szacunku Brodackiemu za to, że kłęcząc manipulował przy lewej tylnej nodze konia na biegunach? Albo innemu, o nieznanym nazwisku mężczyźnie, który czynił podobnie, gdyż identycznie było by niemożliwością, z wałkiem do ciasta? Przecież już po chwili, gdy tylko z przedmiotów swoich wyjęli owe karteczki, które prawdopodobnie tam im przechowywać nakazano i które zawierały treść im tylko wiadomą, zachowywali się w sposób wzbudzający nawet zaufanie. Mówili wprost, jak dzisiaj się mówi o drożynach i bombie atomowej, bez asocjacji żenujących. Treść ich rozmowy była w skrócie taka:

Wysadzenie mostu na Bugu było postanowione w porozumieniu z wywiadem zagranicznym w celu utrudnienia Niemcom łączności i umożliwienia swobody ruchów partyzantce. Po wielu zdaniach sprzecznych ustalono, że wykonanie zamachu nastąpi dwudziestego piątego bieżącego wówczas miesiąca. Sprawa najtrudniejszą było dostarczenie na miejsce materiałów, wybuchowych. Była to tak trudna sprawa, że pogląd na nią podzielili zebranych na dwie sobie przeciwne grupy. Jedna grupa opowiedziała się za przewiezieniem materiałów na miejsce w specjalnie sporządzonych skrytkach meblowych. Członkowie natomiast drugiej grupy twierdzili, że najlepszym sposobem jest transport w opakowaniu firmowym jako cement, gips czy nawóz sztuczny.

Mężczyzna o wyglądzie starosty, który przewodniczył zebraniu, jakoś się nie mógł zdecydować i wyznaczony Brodackiego na głównego wykonawcę oraz poradzony mu, by zmienił swój wygląd określony w nazwisku, postanowił, iż o swojej decyzji powiadomi go w najbliższym czasie.

Ze sposobem powiadomienia go miała związek owa jedyna kobieta, świadczył fakt, iż po wyjściu zebranych z domu przy niepaamiętanej z obowiązku ulicy, pozostała i pisała na maszynie pod dyktando Kiepskiego listy o treści lapidarnej.

Ze również to, co się następnego dnia rano, kiedy działo na ulicach Warszawy, było następstwem owego zebrania, świadczy udział w tym dzianiu się tej samej niewiasty.

Rankiem następnego dnia różnymi ulicami miasta idą, biegną, wsiadają do tramwaju, wysiadają — kobiety wysokie, niskie, w okularach, garbate i zwyczajne. Każda niesie jakiś przedmiot ostentacyjny. Ta sama niewiasta, obecnie, w świetle ulicznym blondyna i wysoka, jest bardziej od innych ruchliwa i bardziej od innych ostentacyjnie obciążona. Wsiada do tramwaju, wysiada, wchodzi do bramy, wychodzi. W trakcie swojej ruchliwości spostrzegła idącego właśnie drugą stroną ulicy jegomością brodatego, który poruszał się tak, jakby przed chwilą wypuścił z rąk konia na biegunach. Blondyna zruca się w jego stronę, a gdy jegomość na zawołanie: „panie Brodacki, panie Brodacki” zdziwiony zatrzymuje się, powiada: „Świetnie że pana spotykam, list zaniósł na pańską skrzynkę, lecz sprawa pilna, bardzo pilna. O godzinie 12,30 oczekują pana w domu na rogu Brackiej i Nowogrodzkiej. Trzecie piętro. W bramie stoi facet rozpoznawczy, a przed drzwiami słomiana wycieraczka. Proszę pytać o panią domu i wejść do pokoju na prawo”. Brodaty facet zapytał ze śmiechem: „a jest?” Blondyna odpowiedziała: „nie ma”.

Potem nastąpiło owo zdarzenie na Brackiej. W tym miejscu akcja wybitnie zwalnia swoje tempo jak zwykle, gdy w grę wchodzi ciekawość osób trzecich. A jak potem się okazało, osobą równie ciekawą jak wszystkie drugie był ów trzeci, dozorca domu nr 9 przy ul. Brackiej. Zdarzenie na Brackiej jest tak różne od zdarzeń, jakie możemy sobie na ogół wyobrazić, iż wyobraźmy je sobie również w sposób inny niż te zdarzenia, które sobie możemy łatwo wyobrazić.

Mieszkańcy domu nr 9 przy ulicy Brackiej nie mogli nie zwrócić uwagi na ożywienie, jakie od godziny 12-iej do 12-iej 30 panowało na klatce schodowej. W odstępach kilkuminutowych wchodził do bramy ludzie budzący zainteresowanie nie tyle swoim wyglądem, gdyż byli dostatecznie podobni do swoich towarzyszy w gatunku, jadących o tej samej porze tramwajem lub chroniących się przed budami policyjnymi, ile obciążeniem. Dla nikogo z mieszkańców domu nr 9 przy ulicy Brackiej nie było tajemnicą, że w dniu tym ani pan Kopczyński, który miał na imię Adam, ani jego małżonka Agnieszka nie obchodzili swoich imiennin. Nie obchodzili ich również na pewno syn obojga Zygmunta, ani jego siostra Magdalena, przemiła szatynka, trochę piegowata, lecz przede wszystkim gwałtownie niebieskooka. Mógł co prawda być ośrodkiem familijnej uroczystości najmłodszy synek państwa Kopczyńskich, który nie przeżył dotąd więcej niż 20 dni i którego imię nie było, przynajmniej w świadomości lokatorów, ustalone. Ta jednak ewentualność nie mogła być brana poważnie pod uwagę, gdyż prezenty, jakie co kilka minut do mieszkania pp. Kopczyńskich wnoszono, nie odpowiadały ani jego wiekowi ani zainteresowaniom. Jeżeli ktośkolwiek byłby skłonny przypisać najmłodszej latorośli Kopczyńskich właściwość towarzyskiego magnetyzmu na widok ogromnego konia na biegunach niesionego z wielkim wysiłkiem przez starszego jegomością, to jednak przed i potem niesione przedmioty przeczyły tej jedynej zresztą prawdopodobnej koncepcji. Wyżymaczka, deska klozetowa, wieszak stojący, średniej wielkości balia i tara do prania, szczytko do szorowania na długim kijku, a wreszcie stół dębowy. Przedmioty te nieśli wysocy i nisey, starsi i młodszy. Czynili to bez zażenowania, raczej ostentacyjnie, nie zadawszy sobie nawet trudu opakowania niektórych wstydlivych przedmiotów, jakby im zależało specjalnie na bliźnich ciekawości. Mieszkańcy domu nr 9 przy ulicy Brackiej byli zaintrygowani w tak wysokim stopniu, że nie z mniejszym podnieceniem, a można powiedzieć, że niektórymi z nich jak np. dozorca, nawet z większym niż na toaletę z marmurowym blatem niesioną z zauważanym wysiłkiem przez chudego, średnich lat mężczyznę, zareagowali na widok długiej rudawej brody, jaką nie mniej ostentacyjnie niż inni swoje przedmioty obnosił przed sobą, wyróżniający się jegomość. Dozorca przyglądał mu się z takim zdumieniem, jakby rozpoznawał w nim kogoś, kogo przed godziną widział bez tego przedmiotu uwagi.

Zainteresowanie mieszkańców wiadomego domu wzmogłoby się jeszcze bardziej i mogłoby przybrać horendalne objawy, z których jednym i kto wie czy nie najdalszym w skut-

kach stałaby się epidemia zainteresowania w domu vis-à-vis, a więc powiadamy, wzmogłoby się ono, gdyby mieszkańcom wiadomą była reakcja pana Kopczyńskiego na fakt odwiedzenia go prawie jednocześnie przez tylu gości. Na szczęście nikt z mieszkańców domu nr 9 nie miał możliwości widzieć tegoż, gdyż mieszkanie Kopczyńskich znajdowało się na trzecim, ostatnim piętrze, a w dodatku mina jego gospodarza układała się na twarzy w dość ciemnym przedpokoju. Słowa zaś jego, które ewentualnie mogłaby usłyszeć najbliższa sąsiadka, zajmująca lokal naprzeciw, były raczej wstrzemięźliwe, aniżeli oddające stan jego umysłu.



rys. ADAM MARCZYŃSKI

Gdy pierwszy z przybyłych dźwigający przypadkowo właśnie konia na biegunach, a więc przedmiot, który wzbudzał raczej sympatię gospodarza, zadzwonił trzykrotnie, a po otworzeniu drzwi zapytał: „Czy zastałem panią domu?”, p. Kopczyński z miłym uśmiechem i gestem pełnym gościnności odpowiedział: „nie”. Przybyły zachował się w sposób jakby słowa p. Kopczyńskiego nie były wiążące i właśnie ów gest tylko był odpowiedzią na jego pytanie. Postawił konia na podłodze, podał p. Kopczyńskiemu rękę bez słowa, zdjął płaszcz, powiesił go na wieszaku, ujął konia pod pachę i skierował się do pokoju na prawo, którego drzwi były akurat uchylone. Wszystko właśnie w tej kolejności. P. Kopczyński z pewną, nie nadzwyczajną zresztą ciekawością, odprowadził go wzrokiem, widział jak zajął miejsce przy stole, poglądził konia po lewej tylnej nodze i zajął się bebnieniem palcami po blacie stołu. Jako mąż nieobecnej pani domu p. Kopczyński pomyślał z sympatią: dziwak i skierował się do drugiego pokoju na lewo, by nie żenować gościa, który pewnie i tak jest zakłopotany nieobecnością osoby, do której przyszedł. Zainteresowanie, które dla ścisłości należało by nazwać zdumieniem, wymalowało się od razu wszystkimi kolorami psychologii na obliczu p. Kopczyńskiego, gdy po trzykrotnym dzwonku otworzył drzwi drugiemu mężczyźnie, który nie żenując się wcale trzymaną pod pachą klozetową deską zapytał identycznie, może tylko głosem nieco grubszym niż poprzedni. P. Kopczyński odpowiedział: „nie” i gestem nie nadał żadnego wyrazu. Ta treść, powiedzmy ni-jaka, nie wpłynęła jednak na decyzję gościa, który zachował się bardzo podobnie do swego poprzednika, nawet kolejności czynów swoich nie zmodyfikował i wszedł do pokoju na prawo. P. Kopczyński nie miał nawet tej satysfakcji, by śledzić dalszy tryb jego postępowania, gdyż ów drzwi za sobą zamknął.

A potem to już odbywał się film, którego taśma obracała się szybko, bardzo szybko, nawet bardziej niż bardzo szybko. Wchodzili jedni po drugich ludzie różni, którzy nieśli lub dźwigali przedmioty nieidentyczne. W szybkim kalejdoskopie zmieniał się stan umysłu p. Kopczyńskiego, który był zdumiony, zły, poważny, odstręczający i coraz inny, coraz inny, aż mina na jego twarzy wyczerpała się i umiał je tylko powtarzać. Ale nie pomagały ani mina, ani gesty. Działo się chyba coś niepojętego. Zawsze trzykrotny dzwonek, to samo pytanie i ta sama kolejność czynności po słowach, które powinny wręcz odmienny skutek wywołać. Gdy wpakował się, bo tylko tak można to przedstawić, facet z toaletą, p. Kopczyński nie wytrzymał i stanął

w drzwiach pokoju na prawo z decyzją stanowczą, tak stanowczą, że aż niesprecyzowaną.

Lecz to co ujrzał sprawiło go w stan nowego podniecenia, tym razem nawet zakłopotania. Wszyscy siedzieli, a było ich dwunastu, z wyrazem twarzy, który oznaczał, iż oczekują na trzynastego. Wyraz ich twarzy nie musiał trwać tak zbyt długo, gdyż po nowym trzykrotnym dzwonku, zjawił się jegomość z przedmiotem, na którego widok najwrażliwiej zareagował dozorca. Ów zachował się nieco inaczej, gdyż przedmiotu swego nie postawił na ziemi i witał się z gospodarzem powiedział głośno, nawet bardzo głośno: „Brodacki”.

P. Kopczyński, mimo że przeszedł już przez wszystkie możliwe stany wrażliwości, zdumiał się jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przez te minione pół godziny, gdy usłyszał przez zamknięte drzwi pokoju na prawo głosy wyrażające ulgę, zadowolenie i inne w tym typie mieszane uczucia tak, jakby słowami, które wypowiedział jegomość z brodą były: „wreszcie przyszedł Adasiu”, które to słowa dla znajdujących się w tamtym pokoju znaczyłyby: jest już pani domu. P. Kopczyński słyszał bowiem: „Nareszcie”, „Możemy zaczynać”, „Świetnie” itp.

Gdy Brodacki zamknął za sobą drzwi do pokoju na prawo, p. Kopczyński stał dobrą chwilę bezmyślnie, wreszcie otworzył do tegoż na prawo pokoju drzwi i powiedział: „moi panowie”. Dalej nic nie powiedział, tak zaintrygowany go ich gesty, wszystkie jakoś jednoznaczne. Może nie wszystkie, lecz tych innych nie zauważył. Tego np., że przybyły z toaletą obcierał pot z czoła, a właściciele wyżymaczki i średniej wielkości balii brali się do kręcenia papierosów. A więc wszystkie, prócz tych wymienionych wyżej, ruchy rąk były jednoznaczne. Były takie, jakby zostały złapane in flagranti i usiłowały gwałtownie odwrócić sens wykonywanych przed chwilą manewrów. Wszystkie ręce jak jeden mąż gładziły przyniesione przedmioty poustawiane obok ich właścicieli (jedne na stole, inne jak np. toaletę na podłodze obok) w miejscach równie dziwnych jak same gesty. Jegomość, który przybył pierwszy, gładził swego konia po lewej tylnej nodze, następny — klozetową deskę po stronie przeciwnej niż ta, która się styka z ludzkim ciałem w innych okolicznościach itd. Tylko Brodacki niczego nie gładził i miał przesadnie zamknięte usta, jakby zamierzał zamaskować ich dźwiękową przed chwilą odbyta czynność. P. Kopczyński nie więcej nie powiedział, bo Brodacki wyrzucił go w przerwanym milczeniu: „więc co?” Na co tamci poprosili p. Kopczyńskiego, by wyszedł do drugiego pokoju, zajął stanowisko przy oknie i patrzył, czy coś ciekawego nie dzieje się na ulicy. Potem obiecali go zawołać.

Rozmowa, jaka rozpoczęła się w pokoju na prawo po wyjściu p. Kopczyńskiego, miała przebieg następujący:

— Panie Brodacki, — pyta jegomość z wieszakiem — więc kiedy i jak ostatecznie?

Widząc, że ten nie odpowiada przez dłuższą chwilę, jakby chciał się lepiej namyśleć, właściciel szczytki do szorowania z bardzo długim kijem wyręcza go.

— Część w workach, część w meblach.

Mówiąc to podszedł do stojącej toalety z marmurowym blatem i zaczął ją obstukiwać ze wszystkich stron. Kłękął nawet na podłodze i zaglądał pod spód.

— Dobry mebel, panie szanowny — powiedział na to właściciel toalety — nigdzie nie ma szpary!

— Tak, doskonały — odpowiedział na to oglądający. — Mógłby pan zrobić z dziesięć takich, a także ze dwadzieścia tapczanów i z piętnaście szaf? Tylko tak samo bez szpary!

— Czemu nie, robi się.

— Dobra. Dostarczy je pan do tego pana — wskazał na Brodackiego, a gdy tamten chciał coś dodać od siebie, powiedział jeszcze: „Tak, tak będzie najcieplej”.

Potem właściciel szczytki do szorowania z bardzo długim kijem nie przestawał już być czynnym inicjatywnym zgromadzenia. U tych, którzy przynieśli wyżymaczkę i średniej wielkości balie, zamówił po sto takich przedmiotów, co wywołało na ich twarzach widome uczucie zadowolenia. Po czym przywołał p. Kopczyńskiego.

— Pan załmiesz się cementem. Odniesiesz pan ten wałek (tu wziął ze stołu leżący tam wałek do ciasta) i zaniesiesz go pan do składu materiałów budowlanych na Marszałkowskiej, a tam panu powiedzą co dalej.

Gdy pan Kopczyński chciał protestować i tłumaczyć się brakiem gotówki, właściciel szczytki do szorowania przerwał mu zamysł: „o forszę się pan nie martw, to nasza sprawa, a cement to najpewniejszy interes”.

Na tym się zebranie skończyło. Przed rozstaniem się Brodacki długo porozumiewał się z właścicielem toalety co do tych tapczanów, szaf, a p. Kopczyński nie był jeszcze zbyt pewien owego interesu z cementem. Chociaż handlował już różnymi rzeczami, to jednak cement? „Czy to aby pewny interes?” — do-

rzucił jeszcze „Panie, ten gips musi się udać”. — „A tamten mówił, że cement”. — „Cement czy gips, to taki sam gips”.

Jeszcze wtedy jak p. Kopczyński zajmował swoje stanowisko przy oknie w pokoju na lewo i wpatrywał się, czy się coś na ulicy ciekawego nie dzieje, tam ani wtedy, ani potem nic ciekawego się nie działo. Tylko jakaś pani najspokojniej w świecie prowadziła psa, który zatrzymał się na chwilę i obsiadał słup latarniany. I nic więcej. Trudno było również za dzianie się uważać średniego wzrostu mężczyznę, stojącego nieruchomo po przeciwnej stronie ulicy i patrzącego w górę tak, jakby wpatrywał czegoś, co się miało dziać nad nim. Pan Kopczyński, nie widząc nic innego, co by mogło przykuć jego uwagę, wpatrywał się w owego stojącego nieruchomo mężczyznę, a tamten, czy to zasugerowany jego wzrokiem, czy też z innego powodu, wpatrywał się w górę, jakby patrzył w okno, przez które p. Kopczyński wyglądał.

Tymczasem, i tego nie mógł widzieć ani p. Kopczyński, gdyż cały czas wpatrywał się w chodnik, ani ów mężczyzna, gdyż patrzył w okno mieszkania Kopczyńskich, działy się pewne rzeczy poza zasięgiem wzroku ich obu. Po przeciwnej stronie ulicy w oknie na trzecim piętrze vis-à-vis okien Kopczyńskich stał jegomość dający widocznie znaki komuś, kto na nie winien oczekiwać. Znaki te wyrażały się gwałtownymi poruszeniami rąk w dół i w górę. Ale nikt na nie nie zwracał uwagi.

Nie widział p. Kopczyński również tego, czego po prostu fizycznie nie mógł widzieć. Na chodniku bowiem ulicy Brackiej, chodniku przylegającym do domu nr 9 (p. Kopczyński mógłby go obserwować, gdyby się wychylił przez parapet, czego jednak nie uczynił, gdyż mówiono mu tylko o zajęciu stanowiska, a nie o potożeniu się na nim) spacerował wysoki, posunięty w latach jegomość z dużym koniem na bieżniach pod pachą. Przypatrywał się oknom dokładnie i znów chodził, aż wzbudził ponowne zainteresowanie dozorczy domu nr 9 sprawami, jakie się w tym domu dzisiaj działy. Dozorca, który zdążył już powrócić do swoich dozorczych zainteresowań, porzucił je znów i wrócił do zdumienia, jakie uczuł po raz pierwszy, gdy zobaczył jegomością z broda. Zdumienie to osiągnął swój szczyt, gdy ujrzał wychodzącego od Kopczyńskich Brodackiego. „Najpierw bez brody a potem z brodą” powiedział do dozorcowej. Ona mu na to: „głupiś, tylko odwrotnie można”.

Mężczyzna o powierzchowności starosty był wielce rad z obrotu sprawy. Gdy zdecydował się już ostatecznie na sposób przewiezienia materiałów wybuchowych w miejsce przeznaczenia i wysłał polecenie wykonania swoich decyzji, był jak najlepszych myśli. Chodził po pokoju (tym samym) i dumał trochę do siebie, trochę do obecnej wysokiej blondyny (tej samej): „Brodacki część przewozi w meblach, a tamten dzielny człowiek z Brackiej resztę w cement”. „Chyba zdąży. Jeszcze mamy dwa tygodnie do dwudziestego piątego”. — „Na pewno!”. „Tymczasem można się zająć innymi ważnymi sprawami. Panno Ireno, piszemy”.

— „Proszę przygotować na dwudziestego dziewiątego w lokalu przy ul.

Zycie toczyło się swoim trybem. Na to nie trzeba zbyt wiele opisów. Wiadomo jak było. W nocy nalot, w dzień łapanka siekiera, motyka, piłka szklanka. W sprawie obchodzącej najżywiej Kiepskiego też wszystko było jak należy. Do dużego przedsiębiorstwa budowlanego w myśl dyspozycji Kiepskiego zgłosił się jegomość z wałkiem do ciasta, któremu na widok tego przedmiotu bez słowa (tak się mówi, bo w rzeczywistości słowa były) wydano dwie tony cementu i dwudziestu ludzi, którzy mu przy tym cemente, a raczej gipsie, jak się sami wyrażali, mieli być pomocni. Choć właściciel wałka sprawiał wrażenie niezadowolonego i jak się wyraził, wolałby ten interes załatwić bez współników, to jednak jego słowa poczytano ku jego zdziwieniu za nadmiar odwagi. Po perswazji ustąpił. Transport pojechał statkiem do Puław, a potem dalej miał się odbyć furmankami. I w ogóle wszystko działo się jak należy. Biedne łączniczki chodziły od rana do wieczora, śpieszyły się, jeździły tramwajem, wsiadały, wysiadały, chodziły...

Aż wychodziły głęboką brudę na czole panna Kiepskiego.

— Coś podobnego, to niemożliwe, — zawołała do nieodstępującej go wysokiej blondyny podniecony pismem, które właśnie otrzymał. — Nie mają żadnych wskazówek! Niesłychane!

— Kto?
— No któż? Ten Brodacki i ten z Brackiej. A myślałem i sam o nim mówiłem: chwacki człowiek z Brackiej. Niech pani patrzy co napisali.

Istotnie tak napisali.

Było to dwudziestego czwartego, w przeddzień planowanego zamachu na most na Bugu, dwudziestego czwartego po południu. Tego samego dnia na zapytanie Kiepskiego skierowane do magazynu głównego o los materiałów wybuchowych, przyszła lakoniczna odpowiedź: transport odszedł piętnastego.

Stało się coś niesłychanego. Brodacki i były dzielny człowiek z Brackiej powierzonych im zadań nie wykonali, a tymczasem transport materiałów wybuchowych przeznaczonych do wysadzenia mostu na Bugu przepadł. Kiepski załamał nieprzyzwyczajone do załamywania ręce.

Brudza na czole Kiepskiego pogłębiła się jeszcze bardziej, gdy dwudziestego piątego wieczorem przyniesiono zniekanemu codzienny biuletyn radiowy. Biuletyn donosił wiadomość nadaną przez radiostację zagraniczną, że grupa polskich patriotów wysadziła most na Bugu, przez co uniemożliwiona została na czas dłuższy regularna łączność wojsk niemieckich.

W lokalu Kiepskiego odbywa się nowe zebranie. Jest dwudziesty szósty rankiem. Nastrój podniosły. Wszyscy obecni, a jest wielu właścicieli przedmiotów, które już nudno wymieniać, gratulują gospodarzowi wspaniałego sukcesu. Kiepski co chwila do kogoś mówi: „a no nic, panie kolego” i serdecznie ścisną serdecznie wyciągane doń ręce. Nie mniejsze owacje, chociaż jednak mniejsze czynione są Brodackiemu, który na pamiętane zlecenie Kiepskiego brody już nie nosił i człowiekowi z Brackiej, o którym Kiepski znów się wyrażał: „dzielny człowiek z Brackiej”. I wszyst-

ko działo się jak najlepiej. Właściwie działo się najlepiej.

Uroczysty nastrój w lokalu Kiepskiego popsuły został pojawieniem się znanego nam właściciela szczotki do szorowania z bardzo długim kijem. Ów również promieniał, lecz jak się okazało z innego powodu. Wszedł do pokoju i zaczął wznosić okrzyki: „Niech żyje Kopczyński!” A gdy mu robiono wymówki, że mać nastrój uroczysty i nie przyłącza się do owacji czynionej Brodackiemu i człowiekowi z Brackiej powiedział: „za co?” A na wyjaśnienia odrzekł: „Wiwat Kopczyński!”

Dom przy ul. Brackiej nr 9 znów był widownią zdarzeń dla jego lokatorów. Przyszło jeszcze więcej osób niż pamiętnego dnia, o którym była mowa. Przyszedł Kiepski, Brodacki i wszyscy właściciele znanych nam ruchomości. Tym razem pani Kopczyńska była w domu, a i pan Kopczyński zjawił się niebawem. Rozmowę zrazu chaotyczną usystematyzował, jak zwykle w takich wypadkach, właściciel szczotki do szorowania z bardzo długim kijem. I dowiedzieliśmy się od wszystkich po trosze, co następuje:

Brodacki za poradą Kiepskiego zgolił brodę zaraz po wyjściu z jego lokalu i to nie on był tym brodatym jegomościem z koniem na bieżniach pod pachą, z którego spotkania tak się panna Irena ucieszyła. On natomiast chodził wzdłuż domu nr 9 na Brackiej, gdyż, jak w otrzymanym piśmie „stało”, miał mu uczynić znak człowiek stojący przed bramą. Człowieka tego Brodacki nie widział, gdyż za umówionego nie uważał faceta vis-à-vis, który mu zresztą żadnych znaków nie czynił. Facet ten, który też w mieszkaniu Kopczyńskich się obecnie znajdował, odpowiedział, że stał tam, gdzie go postawili. Młody dzielny człowiek z Brackiej powiedział dokładnie jak dwie godziny czekał, stał w oknie, robił znaki do idących, których rozpoznawał po niesionych przedmiotach, lecz nikt na niego uwagi nie zwracał. Jak irytowała go niespostrzegawczość Brodackiego, który stanął z koniem przed domem vis-à-vis. Oczywiście jak zawsze w takich wypadkach wzywający orzekli zgodnie, że kobieta jest winna. Biedna panna Irena.

Pan Kopczyński był najwymowniejszy. Okazało się zresztą, że miał o czym opowiadać. Chociaż Kiepski gestem uroczystym usiłował hamować jego elokwencję, on swoje czynił dokładnie. Od wałka do ciasta do tego gipsu, którym się okazał cement. Nie mógł tylko wyjść z podziwu i wkrzykiwania się w jego monolog małżonki ze zdumienia go dopiero powoli wyprowadzały, jakim cudem takiej rzeczy dokonał. I chociaż je często powtarzał, słowa jego nie miały tonu przekonania z jakim je wymawiał: „Ja się od razu wszystkiego domyśliłem, wiadomo, most na Bugu!”.

Pani Kopczyńska tłumaczyła jak umiała, że ani wałka do ciasta, ani konia na bieżniach u nikogo nie zamawiała. Ze skromną toaletą i stolik dębowy obstałowała na Bagnie, żeby było taniej i że małżonkowi chciała zrobić miłą niespodziankę utrzymaniem swoich zakupów w tajemnicy.

Gdy po niemałym wysiłku umysłowym pan Kopczyński to wszystko i tamto wszystko zrozumiał, wybuchnął śmiechem głośniejszym,

niż tego sytuacja wymagała. Ostatecznie zbiegi okoliczności były możliwe wszędzie, nawet w konspiracji. Tym bardziej, że słomiane wycieraczki nie nadawały się nigdy na znaki orientujące. A czy w czasach, kiedy każdy njesiony przedmiot miał swój sens, widok gościa taszczącego stół dębowy nie był dostatecznym upewnieniem dla idącego za nim posiadacza wałka do ciasta, że to właśnie tu? A zresztą pomyłka mogła się zdarzyć zawsze, a tym bardziej wtedy, kiedy ludzie porozumiewali się systemem pomyłki wykluczających. Dlatego może pan Kopczyński przesadził, gdy na pożegnanie oświadczył Kiepskiemu: „naród, panie, wie co ma robić i niepotrzebnie się tak przed nim konspiruje!”.

Chociaż zdarzenie to tutaj ma swój epilog i zbyteczne jest dopinanie wszystkich guzików w trosce o compne il faut, tak samo jak nie na miejscu byłoby rozwodzenie się nad losem Zygmunta, albo powątpiewanie czy Magdalena jest wciąż jeszcze tak gwałtownie niebieskooka, to jednak nie będzie chyba uważane za nadmierne gadulstwo stwierdzenie, że pan Kopczyński, ilekroć spotka na ulicy faceta ze znajomym mu lub nieznanym, lecz którego zastosowania może się domyślić, przedmiotem, burmocznie pod nosem coś, co przechodnie mijający go z lewej strony rozumieją jako gips, a z prawej jako cement.

Natomiast może być słusznie poczytane za brak wstrzeźliwości szczegółowe tłumaczenie pobudek działania owego brodatego jegomości, którego panna Irena zwabiła na Marszałkowskiej zachętą, że na Brackiej w mieszkaniu, pod którego drzwiami leży słomiana wycieraczka, jest nieobecna pani domu. Przecież z zachowania jego można wywnioskować bez trudu, że w całym rozmaitym towarzystwie był to jedyny człowiek, który postępował bez wyrachowania. Przyszedł, gdzie go proszono, mówił tylko to, czego od niego oczekiwano i nie kwapił się z zabieraniem głosu w sprawach, o których nie miał pojęcia. Nie należy sądzić jednak, by był przesadnie naiwny. Stolarzowi, który miał mu dostarczyć tak wiele mebli bez szpary, wypisał swój adres pismem bardzo czytelnym: Warszawa, plac Napoleona 1, Poczta główna, poste restante. To, że reagował z sympatią na każde przezwanie a nawet posługiwał się nim zamiast nazwiska własnego, wcale nie świadczy, by był człowiekiem bez ambicji. Najlepszy dowód, że to on jest właśnie autorem powyższego opowiadania. **Zbigniew Bienkowski**

STANISŁAW WYGODZKI

ŚWIT

Nie Atlantykiem szumi rozległym
ani Śródziemnym szumi mi Morzem.
Mnie wzywa tamten śpiew niepodległy
wonnego lanu polskiego zboża.

Nie przewala się Narvik wichury
Alpami wiatrów co niebo podrą.
Słyszę cierpliwie gdakanie kury
ponad zieloną, spokojną Odrą.

I nie Wezuwiusz groźny wykwiła
ławą wieczoru w dębach i cisach.
Noc już odchodzi. Na czole świtu
szarłę błękitną związała Nysa.

URNA

Urna ta będzie z gliny palonej
ziemi ojczyściej, z Polski, z kraju.
Prochy rodziców we wnętrzu trwają
i moich braci, córki i żony.

Urna ta będzie zwykła jak dzbanek,
z małą pokrywą, a nie jak wazon,
aby w niej trwała gęsta mgła gazu
jak noc bolesna, sina jak ranek.

* * *

W bardzo licznych miastach
były takie okna,
w bardzo licznych miastach
były takie drzwi,
na których ludzie wieszali siebie
jak sztandar,
którego żaden wiatr nie rozwiewał,
a dotem
grzmocąc o bruk
przechodził niemiecki batalion
i śpiewał.

Niejeden ojca zostawił,
niejeden zostawił matkę,
a każdy mocno zaciskał pięść
na gardle —
niektórzy w Paryżu,
niektórzy w Brukseli,
niektórzy w Warszawie,
aby pomimo i wbrew
za gardło nie chwytał, nie dławiał
łamten
niemiecki
śpiew.

I kiedy za szybą wieczorną
noc się czarna rozwija,
pieśń ta należy tamtym —
moja
i więcej niczyja.



TADEUSZ KULISIEWICZ

Warszawa 1945. Domy na Rybakach (rysunek: pióro i tusz)

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Kiedy opadły liście

Po szalacie latał zimny wiatr. Przy stole siedział Adiutant i bębnił na maszynie do pisania. Puszczal palcami serię po serli, jak z automatu. Nagle przestał...

— Szlag tu może trafić! Cholerne Angliki trzymają człowieka w tym lesie i obiecują „kiedy opadną liście z drzew”. No i co! Opadły, zgnili, błoto, zima idzie, wiatr w tyłek zagłada — a ty człowieku siedź! Czekać z „bronią u nogi” na rozkaz! Z „bronią”, szlag na nich. Człowiek już z pół roku nie miał w rękę żadnej Broni! Pieskie życie, pieska śmierć. A tu jeszcze pisz meldunki i sprawozdania o działalności sztabu. Działalność! Tyle byków, tyle świń, tyle owiec. Pisać na tej usranej maszynie, robota dla partyzanta!

Wstał od stołu i zaczął chodzić: dwa kroki naprzód, dwa kroki w tył. Zacieral skostniałe dłonie jakby kogoś w nich łamał i kruszył. Wreszcie kopnął blaszankę z amunicją, aż zadzwoniło metalicznie w jej wnętrzu i wypadł na dwór. Maszyna szczyrzyła lśniąco, niklowe zęby. Zająłem miejsce Adiutanta i zabrałem się do pisania. Nawinałem na walek arkusz cieniotki „służbowej” bibułka i pi-szę list do domu: „Moi kochani! Chciałbym się z wami zobaczyć, bo to już minęło pół roku jak wyjechałem z domu. Na leśniczów-ce czuję się dobrze, mój szef to dobry chłop. Jedzenie mam bardzo dobre i często myślę jak tam u was. Może na święta przyjadę do domu. Teraz padają ciągle deszcze...” przeczytałem te puste zdania i wyrzuciłem kartę. Znów piszę: „Moi kochani! Tak dawno się z wami nie widziałem! U mnie wszystko w porządku. Jestem zdrow i dobrze się czuję. Ciekaw jestem, jak wy tam żyjecie...” I znów przeczytałem. Same puste słowa. Piszę jak-bym nie miał duszy i serca. Zawinałem te listy w pięść, podparłem głowę i zamysliłem się o domu. Ale nie przychodziła ta fala smutku, tęsknoty i czułości, która dawniej nad-pływała z każdym wspomnieniem o rodzinie, o „tamnym życiu”.

Maks leżał w głębi mrocznego szałas i czo-chrał się, aż trzeszczała pryzca. Stękając, wygramolił się z góry koców i wszedł w ru-dy, chwiejny obłok światła. Na tle „ścian” skleconych z gałęzi, mchu i ściółki, mię-dzy karabinami, pasami, kaburami, tor-bami i plecakami wyglądał w swym dłu-gim flanelowym szlafroku, zdobnym w fan-tastyczne, purpurowe kwiaty, jak podtatu-siały, lisy urzędniczyna, który został tu prze-niesiony złośliwą ręką spod ciepłej, miesz-czańskiej pierzyny. Stał koło stołu i za-czął się drapać.

— Nie mogę zasnąć — mruknął, jakby się usprawdliwiał i usiadł przy mnie. Wyciąg-nął z portek pomietę, zatłuszczoną koperciną i wydobyl z niej kwadratowy arkusik papie-ru, zapisany kopyślawymi literami. Założył na nos okulary w czarnej oprawie, zdjął je, chuchnął i zaczął przecierać szkła; posie-dział chwilę z opuszczonymi powiekami a po-tem wyciągnął do mnie rękę z listem, takim gestem, jakby prosił o jałmużnę.

— Przeczytaj, bracie, toż domu od żony list. Miesiąc już będzie, jak go Szarotka przy-wiozła.

Wzruszyłem ramionami.

— A co mi tam! Będę czytał cudze listy... — Przeczytaj, no przeczytaj, Gustaw! — nalegał — bo już wytrzymać nie mogę jak oni tam...

— No dawaj, i nie brzęcz już — mrukną-łem znudzony.

— „Mój Teosiu Ukochany!” — czytałem — „Jak tylko wyjechałem na nową posesadę, ludzie zaczęli gadać o Tobie niestworzone rzeczy. Ja nikomu ani słowa. Tyle co Broni opowie-działam całe nasze nieszczeście, ale ona to grób. Ja tu myślę o Tobie...” — ziewnąłem i przestaję czytać, ale Maks tak pilnie wpa-trywał się w moje oczy, że poruszałem dalej wargami i przesuwalem w palcach list, po dłuższej chwili, westchnąwszy ze współczu-ciem, oddałem mu niebieską, wygniecioną ko-perciną. Podniósł na mnie oczy i otworzył usta, jakby na coś czekał.

— A co? — odezwał się po chwili — mam żonę i dzieci. Domek... ciepło w domu. Trze-ba mi tu było przyjsć, ano co robić, nieszcze-ście! Na stare lata ciągle rozwolnienie i roz-wolnienie. A może masz gdzie, Guciu, suszo-ne jagódki, dałbyś trochę... Wtem zza ścia-ny doleciał głos Adiutanta: — Rozwolnienie bracie masz, bo żesz za tłuścio, bebech ci tu rośnie, Maks, żołnierzu królowej Jadwigi. Nogi sobie w marszu obrywasz, świński cy-cku. Gustaw, chodź no tu galopem!

Podbiegłem do okienka. W lesie było wid-no. Na niebie stał jasny jesienny księżyc, przezrystym ostrzem rozcinał natrętne chmu-ry, sphywał po smukłych brzozech, jak bia-ły strumień, w czarną ziemię. Adiutant stał przed szalaszem, niecierpliwym gestem przy-wolywał mnie do siebie. Kiedy stanąłem obok, chwycił mnie za rękę...

— Słyszysz?

Nic nie słyszałem.

— Słuchaj! Scisnął mnie mocniej. Przez szczelinę ciszy, między jedną i drugą falą

wiatru przenikała brzęcząca, natrętna nuta. Cichła, tonała w monotonnym poszumie, aby znów zabrzączć głośniejszą i wyraźniejszą. Motory.

— Słuchaj! — mówił Adiutant — weźmiesz Maksu i Sosnę i pojedziesz przez trzeci posterunek, duktem przez mostek na Leszczyne. Szkozy nigdy się nie wypuszczają na noc! Ale diabli wiedzą. Siedzimy tu już ładny ka-watek czasu, mogli nas już dobrze rozłożyć, bo i chłopaki szwendają się po wsiach, za-wszeni miłośnicy! Patrząc dobrze, słuchać czy psy we wsi szcękają. Mogli na noc zjechać do wsi, a o świcie podejść pod obóz... ich sposób. Zadanie wykonać i wracać, do cha-lupy nie wchodzić, pod pierzyną babom nie zagładać. No, jazda, bracie, na szóstą mu-sicie być w obozie — popchnął mnie lekko w kierunku szałas i zniknął między drzewa-mi. Uniosłem worek i wlałem do środka.

— Proszę zamykać drzwi — odezwał się Maks, który klęczał nad świecą i ślipiał przy-tykając do szkła jakieś białe trykoty; wi-dać dogryzło mu dobrze, kiedy tak obnaża się po nocy.

— Maks, ubieraj się, idziemy na patrolkę! — Jaką patrolkę? — spojrzał na mnie spode łba, a właściwie znad gaci — jaką patrolkę?

— Ubieraj się, nie ma czasu, pięć godzin marszu — mówiłem kładąc chlebak i gra-naty do chlebaka — Sosna! — trąciłem leżące-go na pryczy kaprala. Z tym nie było kłopo-tu, spał zawsze w pełnym oporządzeniu. Na noc nie zdejmował nigdy butów ani spodni, rozluźniał tylko pas i rozpinął pod szyją mundur. Czy był na wartowni, czy wypoczy-wał, zawsze wszystko na sobie i przy sobie. Ciągłe jeszcze pamiętał Święta Bożego Naro-dzenia, kiedy to żandarmi pogonili oddział z ziemianek. Wyrwał wtedy każdy jak mógł, a Sosna w gaciach na bosaka, owinięty w koc — tyle, że karabin i amunicję złapał. Star-czyło go teraz tylko tknąć, wyskakiwał z naj-głębszego snu ubrany i gotowy jak jakaś figurka z czarodziejkiej skrzynki — łapał za karabin i już w drogę! Nie pytał gdzie i co. Adiutant wskazywał nowoprzybyłym do obozu Sosnę, jako przykład „czujności partyzanckiej”.

— Tak, boże krówki — mawiał — oto czło-wiek, któremu pogorili kota, który lubiał się „rozdziawać do snu” i sypiał w kimono czyli kimał. I ty, jak będziesz się negliżował, leś-ny bohaterze, skończysz źle!

Maks jeszcze marudził, kręcił machorkę i przeglądał się w lusterku... Wściekił się, czy co, u diabła! Szlafrok podciągnął do góry i wsadził rogi za pas.

— A co? Trzeba dbać o zdrowie. Flanela utrzymuje temperaturę ciała. Idziemy, idzie-my, — proszę pana! Niech obywatel się nie gniewał!

Wysiliśmy z szałas. Wiatr przeciągnął po nas ostrym, zimnym smykiem, zaszumił w głębi leśnej. Na niebo zaczęły się nagle wy-walać czarne, skłębione chmury. Słizmy w zupełnej ciemności. Nogi zaczęły się o krzenie i pnie, plątały się w krzewach, w pod-stępnych wnykach i jamach. Czasem mokra klująca łapa świerka albo wilgotna miotła jakiegoś krzewu uderzyła po czapce, czasem zaczęła o łufę i sypnęła za kołnierz chłod-ny rozpryskiem. Czarna ziemia świeciła tu i ówdzie matowym, nikłym, błękitnym światłem; to próchniejące szczątki drzew i korzeni rozświetlały jej zgasłe oblicze. Po jakimś czasie dobrnęliśmy do duktu. Maks szedł na końcu, stękał i kłął. Był zły, zzięb-nięty i niewyspany. Pełna dziur, dołów, ko-rzeni i powalonych pni droga zdawała się w ciemności gładka i równa. Minęliśmy wiel-ki las, debinę i porębą doszliśmy do skraju lasu. Przed nami, w rozwartej łagodnie ko-łynie leżała podlesna wioska. Przycupnęła w ciemności, wkleśła w mrok, była jak kształt odwieczny tej ziemi. Oderwalimy się od bez-piecznego lasu; płaskimi polami, ostionieci tyl-ko nocą, zbliżaliśmy się do pierwszej zagro-dy. Zaczęły ujadać psy, szczenie przeno-siło się z jednego końca wsi na drugi; pode-śliśmy pod niską, wrośniętą w ziemię cha-lupinę. Sęk załomotał kulakiem we drzewa. Z tytu dopadał ze zduszonym, złym charko-tem kundel. W grubo ogaconej ściółka ścia-nie chałupy było małe, jakby olśniete okien-ko. Sęk zabębnił niecierpliwie po szybkach. Dopiero po chwili rozległy się kroki w sion-ce i zaskrzypiała zdejmowana zawoła. Na pro-gu stanął w gaciach i koszuli rozdygotany, wystraszony chłop.

— Niemców we wsi niema? — pytał Sęk służbowo.

— Nie — mamrotał szcękając zębami chłop.

— A kiedy byli?

— O, dawno, będzie, panowie, rok, jak byli za świniami...

Sęk zaświecił chłopu w oczy. — Jazda, chłopcy, do chałupy! Weszliśmy z brzękiem, łomocząc podkutymi buciorami. Sęk błyskał po źbie. Smuga słabego, czerwonego światła objaśniała na moment ciemne kąty i tonace w mroku spręty. Chłop stał na środku izby

i wciągał pośpiesznie portki i buty. Drżący-mi jeszcze rękami, łamiąc zapalki, zapalił małą okopconą naftową lampkę i ustawił ją na stole; ciemne światło napełniło izbę.

Na łóżku w kącie, leżały dwie kobiety pod wielką kraciastą pierzyną. Jedna, odwrócona tyłem do izby, miała siwe skoltunione włosy, obwiązane jakąś czerwona chustką; obok niej leżała młoda kobieta, przytrzymywała lewą ręką pościel białym, silnym ramieniem i przyglą-dała się nam w milczeniu. Koło łóżka, w ko-lebce zbitej z białych desek, płakało dziecko. Mrużyło w świetle wielkie oczy, marszczyło śmieśniesznie perkaty nos, pokazując bezzębne, różowe dziąsła.

Maks kręcił się chwilę koło komina, wresz-cie rozsiadł się wygodnie na stołku; cmił machorkę i zacierał dłonie. Zagadywał żywo do chłopca; to znów do leżącej młodej kobiety. Zrobił sobie na poczekaniu swój ką, jakby się zadowolił. Zdjął szlafrok i powiesił go na sznurze z pieluchami, buty i mokre onuce ustawił blisko komina. Czuję się dobrze, przy tym „ognisku domowym”, między kominem, pachnącą sianką kołyską i rozkopanym łóż-kiem. Między czterema ścianami czuję się czło-wikiem, osobą, która zajmuje jakieś miej-sce, nie tak jak w lesie — tam człowiek jest albo go'niema, a las zawsze ten sam. Oddy-chał z lubością gęstym „rodzinnym” powie-trzem ciasnej izdebki.

Dziecko znów zabezowało i zaniósł się prze-ciągłym krzykiem. Matka wyjęła je z koleb-ki i przygarnęła do siebie; małe przywarło do pełnej białej piersi, wytłuskanej z kaftani-ka. Gospodarz wyciągnął z szafy butelkę i szklanki. Cieniotki, srebrno-różowy strumy-czek spływał z szyjki do jasnych jak rosa „szkiełek”. Trąciliśmy — siup! Brynda była jak siekiera, tegi lyk poczułem od razu w żo-łądki jak kamień, ale zaraz zaczęło z wnętr-ności rozchodzić się po cieple. —

No Józia, napij się z polskimi żołnierzami. Kobieta wzięła z rąk męża szklankę, otrząsała się, umoczyła ostrożnie usta i odstawiła ją na krzesło.

Spojrzałem na zegarek, czas był w drogę. Poprawiłem pas.

— No, chłopcy, idziemy! Maks, zbieraj ciu-chy!

Gospodarz wyprowadził nas do sieni. Wy-szliśmy na dwór. Noc mijąca powoli, ale świt jeszcze nie nadszedł, przesyłały się cienie z zimnym światłem, idącym z ciemnego, olśnietego nieba. Na dachach, płotach, drze-wach, na rudych sztywnych trawach srebrzył się matowo szron. Nad ziemią unosiła się lek-ka mgła, jeszcze przejrzysta i zwiewna, ale gęstniejąca coraz bardziej.

— No, chłopcy, wyrrywamy, bo „opeer” wi-si już w powietrzu! — zawołałem. Szliśmy tegim krokiem. Minęły szybko niebezpieczne, rozwarłe jak dłoń pola, i weszliśmy w niską sosnową porębę; byliśmy u siebie „w domu”, ostionieci i bezpieczni. Mgła gęstniała i wid-nokrąg skłębził się dokoła nas mleczną, wiel-ką chmurą. Las zniknął, sosny wynurzały się przed samym nosem nagle i rude. Maks wy-minał nas i szedł ostro naprzód; we mgle przy-gasały purpurowe kwiaty na jego szlafroku; śpieszył się pewnie do obozu, ogniska i gorącej czarnej kawy. Roztopił się we mgle, jak kropla malinowego soku w białej ge-stej pianie. Wyszliśmy na dukt, już teraz droga jak strzeżli, prosto do obozu. Nogi cia-pały w zawieszanej, rozklejonej ziemi, ślizga-ły się niemrawo po mchu, topiły w płytkich, błękitnych kałużach. Mgła kłębiła się wko-ło, płynęła nad ziemią, topiła w sobie kształty i tłumila głosy, opadała na nas miękkim, wil-gotnym tumanem; miały kilometry, zmie-niała się pod nogami ziemia, ale wkoło nas była mgła; poruszaliśmy się w mlecznym, ślepym otoku. Sęk przystanął, zakrył się od wiatru poją płaszczą i zapalił zapalkę, nacy-lił się...

Huknął bliski strzał...

Skoczyłem w bok i przywarłem do zie-mi, odbezpieczyłem karabin. Echo rozplynęło się we mgle. Była cisza. Przemknęła myśl. — Zasadzka. Cisza trwała. Czołgałem się rowem do przodu, czułem siekącą w ubranie i w ciało wilgoć, splątane, klujące gałązki jeżyn cze-piały się pasa i ładownic, jakby mnie chciały zatrzymać, za mną pelzał Sosna. Było cicho. Podniosłem się i pochyłony do ziemi posu-wałem się dalej, przystanąłem. Staliśmy chwi-łę w milczeniu. Sosna zapalił papierosa.

— Pewnie Maksowi znów „samo wystrze-żenie” — powiedziałem — idziemy... Dwadzie-ścia kroków dalej... na mostku leżał człowiek, pochyliłem się nad nim; Maks leżał na brzu-chu, z rozłożonymi rękami, z rozłupanej gło-wy spomniętych jasnych włosów wywalila się wielka różowo-biała gruda mózgu. Jedną no-gę miał podwinętą pod siebie, a druga jakby przytrzaśnięta w żelazach dziwnie wykreco-ną, tkwiła w dziurze, między palikami. Obró-ciliśmy go twarzą do nieba, pod brodą skrze-pła już czarna krew, spłynęła szeroka falą na piersi, kwiaty-na szlafroku rozlały się w bez-kształtne, krwawe plamy. Oczy zasnuła mu

ta sama martwa, mleczna mgła, która napeł-niała las i niebo.

— Nie zabezpieczył Stena, upadł i gotów — Sosna pokiwiał głową.

— Idź Sosna do obozu, niech przyślą wóz, ja tu z nim zostanę.

— ...Takie gówno, Sten, wystarczy stuknąć...sam strzela... mrucał Sosna kiwając gło-wą, wreszcie odwrócił się i zniknął między drzewami we mgle.

Uliczki miasteczka złościły się jesiennym słońcem, kiedy szedłem do domu Maksu. Nio-stem jego drobiazgi, te drobiazgi, które nosi każdy człowiek, a które zostają choć on ginie; jakiś wytarty, żółty portfel, notesik zapisany fioletowym ołówkiem i zielonym atramentem, kalendarzyk, lusterko, dwie fotografie, zega-rek i ów niebieski pomietę liścik, na który jak ostatnie słowo, padła ruda już kropla krwi. Leciały liście tak złote, tak jasne, jak małe je-sienne słońca; szeleściły pod nogami. Oto je-stem już przed jego domem. Domek jak na obrazkach kolorowych dla dzieci. Zielony par-kanik, za którym płoną złote i purpurowe da-lie, niżej płyną astry fioletową falą. Domek biały, ukryty w rudych kudłatych lipach, w pomarańczowych kasztanach. Stukam we drzwi, w pustym korytarzyku rozlega się echo. Jakoś nikł nie otwiera. Stoję przed ty-mi drzwiami, przez które muszę wejść i po-wiedzieć, że „mąż nie żyje”. Albo urzędzę to inaczej. Wejść milcząco, popatrzeć w te oczy, czy jego żony... Potem wyjmę te dro-biazgi i wyjdę bez słowa.

Za drzwiami była cisza. Patrzałem na me-talową tabliczkę, na której lśniły litery jego prawdziwego imienia i nazwiska i świecił ni-kłowy krążek dzwonka „Proszę kręcić”. Prze-kręciłem skrzydełko, tam w mieszkaniu roz-legł się turkotliwy, srebrny dźwięk. I kroki. Jakież to były kroki? Ciche, lekkie, drobne i poplątane; tak chodzą tylko małe dzieci. Ode-zwał się za zamkniętymi drzwiami jasny, ci-chy głos. Potem zabrzączał zdejmowany łań-cuch, w mrocznym przedpokoju patrzyły na mnie uważnie ciekawe i spokojne oczy.

— Mamusia przyjdzie wieczorem, proszę pana, ja jestem sam...

— A, tak? Widzisz ja mam od... urwałem. Przeszliśmy do kuchni, usiadłem na krześle i milczałem. Przyglądałem się bezmyślnie ko-lorowemu oleodrukowi który wisiał nad ku-chnią. Był na tym obrazie las bardzo zielony i gęsty. Między jodłami stał myśliwy w ka-pelusiku z piórkiem w czerwonych butach; ze strzby snuł się po wystrzale błękitny dym. Obok w jałowcach leżał brązowy jelen z wiel-kimi jak konary rozłożystymi rogami, obsko-czyły go psy i szarpaly białymi, ostrymi kła-mi; w zamglony daleki zagańnik uciekały spło-szone różowo-żółte sarny; nad tym rozciąga-ło się nieruchome niebo koloru farbki, po-kryte srebrnymi obłokami.

Chłopiec siedział na krześle z podwiniętymi nogami i zajęty swoją pracą nie zwracał na mnie uwagi. Na stole, na krześle i podło-dze leżały liście; podnosił je suche, sztywne, jakby wycięte z cieniułnej blaszki i wkle-jał do kwadratowego, wielkiego zeszytu: złote dłonie kasztanów, różowe jęczyczki czeresni, czerwone gruszy i, wiśni, krwawo rude pło-mienie dębu, okrągłe, dzierzgane po brzegach liście leszczyny, lipy i brzozy, żółtawe nikle smugi-wierzby; uwieczone na szarych kartach kształty jesieni... W jakiejś chwili, za białymi drzwiami zapłakało nagle dziecko. Chłopiec podniósł się i wstał od stołu. Wstałem i ja.

— Jak mamusia przyjdzie, powiesz, że był tu pan, kolega tatusia... tatuś przysłał ten ze-garek, bo mu jest niepotrzebny, tak... tatuś nie może pisać, jest bardzo daleko i nie wie kiedy przyjdzie... może jak się skończy woj-na... jak się skończy. Będiesz pamiętał po-wtórzyć?

— Tak, proszę pana.

Wyszliśmy na korytarz. Mały stał w smudze światła, w błękitnym ubranku i białych poń-czochach; w przezroczyściej dłoniach trzymał pęk jesiennych liści, wybuchały jak plomień, od którego zajmowało się chłodne światło mrocznego korytarza i białe, jakby z kru-chego alabastru dłonie.

Zamknąłem powoli drzwi.

Tadeusz Różewicz

NAKŁADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
»KSIĄŻKA«

ŁÓDŹ, UL. PIOTRKOWSKA 86
ukaze się w najbliższych dniach książka
W. Lenina

DZIECIĘCA CHOROBA
„LEWICOWOŚCI”
W KOMUNIZMIE

HELENA BLUMÓWNA

KSAWERY DUNIKOWSKI



Z cyklu głów wawelskich. Autoportret

Życiu i dziełu Ksawerego Dunikowskiego towarzyszy legenda. Sam dźwięk jego nazwiska elektryzował jego przyjaciół i kolegów i mówił wiele nawet ludziom stojącym z dala od spraw sztuki. Każdy miał coś o nim do powiedzenia, czy to zniewolony jego dziełami czy zafascynowany niezwykłymi kolejami jego życia. Ksawery Dunikowski, mocny duch w wątłym ciele, przeżył wojnę w Oświęcimiu. Artysta nie wdaje się w szczegóły okrutnych przeżyć. Gdy dostał się w ręce gestapo, dla jego ratowania przedstawiono fotografię z wystaw polskiej sztuki za granicą, gdzie przed jego dziełami umieszczonymi na pierwszym miejscu stoi Führer, dodano również pełne entuzjazmu słowa krytyki niemieckiej. Może być, że to przypomnienie uratowało wielkiego artystę od gwałtownej zagłady, lecz pięć lat trwania w obozie koncentracyjnym, w niepewności o własne życie, pięć lat patrzania jak zabierano na śmierć towarzyszy niedoli pozostawiło ślady. Jemu samemu kazano rzeźbić. Lecz „nie tylko że nie chciałem, ale nie mogłem rzeźbić” — powiada Dunikowski. I dla ratowania życia zozłaził się nad wykonaniem modelu obozu w drzewie dłubiąc długie dni aby wyźłobić jakiś szczegół. Ten sam Dunikowski, który w przeciągu kilku godzin, dwóch lub trzech rzeźbił swe słynne głowy wawelskie.

Dunikowski wyszedł z obozu zmęczony, udrczony i ciężko chory, lecz duchem silny jak nigdy. Obecnie opuścił szpital po ciężkiej operacji, lecz w miarę powrotu sił budzi się w nim i chęć do pracy.

Twórczość Dunikowskiego ująć można w trzy okresy. Lata krystalizowania się indywidualności Dunikowskiego wypadają na okres, nad którym ciąży sztuka Rodina. Z nazwiskiem Rodina wiążą się początki impresjonizmu w rzeźbie. La sculpture est l'art du trou et de la bosse (rzeźba jest sztuką, polegającą na wypukłościach i wklęsłościach). W myśl takiej koncepcji rzeźba nie trwa obojętnie i nietknięta w swym trójwymiarze w przestrzeni, lecz ulega grze światła i barw, stąd „poruszona” powierzchnia rzeźb, co w rezultacie wzbogaca je o nowy współczynnik kształtowania. Młody Dunikowski nie mógł zrazu nie ulec sugestii Rodina. Świadczy o tym *Portret matki* (1902), a zwłaszcza *portrety architekta Mączyńskiego* (1902) i *artyście Szczyglińskiego*. W portrecie tym Dunikowski osiąga maestrnię i po prostu igra z poruszoną powierzchnią, by stworzyć grę światła i cieni. Rzeźba nie tkwi nieruchomo w przestrzeni, lecz łączy się z nią odbijając nierównomiernie promienie świetlne. Rzeźba, obdarzona nowymi walorami, nabiera ciepła życia nie poprzez namacalną jego dotykłość, lecz poprzez jego wibrującą impresję. Formie tej odpowiada i uchwycenie charakteru portretowanego i uchwycenie modelu w momentalnym wyrazie zadumy: portret art. dram. *Kazimierza Kamińskiego* czy najsilniejszy może w wyrazie portret *Ludwika Solskiego*.

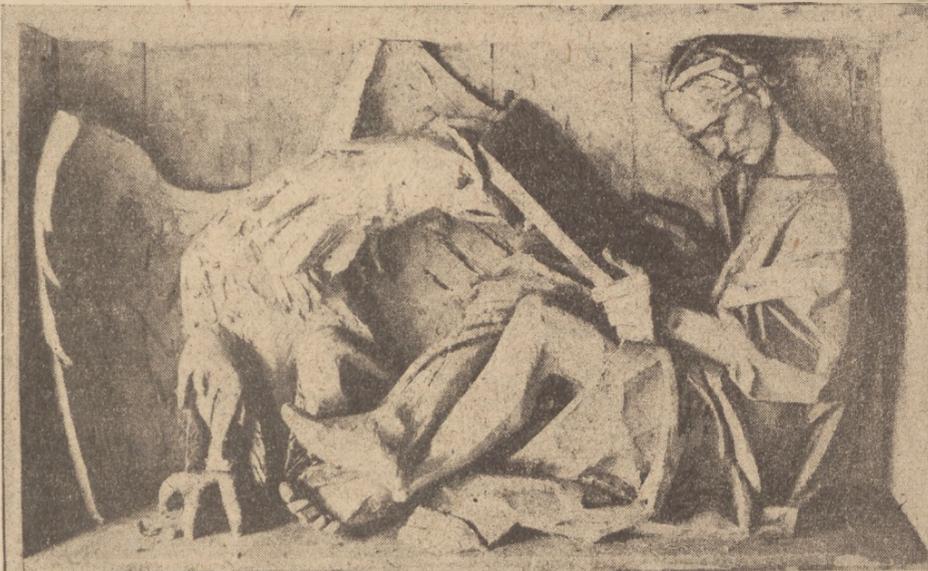
Lecz to nie wystarcza artyście, gnębą go problemy filozoficzne. W ustawicznym niepokoju twórczym nie jest Dunikowski w tym czasie odosobniony. Problemy te spotykamy w sztuce Rodina, a przede wszystkim we współczesnej literaturze. Dunikowski ulega w tym duchowi czasu i stwarza szereg kompozycji o treści symbolicznej. Dziś interesują nas te rzeźby przede wszystkim jako ciekawe ujęcia formalne o dużej oryginalności: na tle ówczesnej sztuki europejskiej.

Z powodu przewagi pierwiastków ekspresyjnych łączono niekiedy imię Dunikowskiego z niemieckim ekspresjonizmem, jako określonym prądem artystycznym. Najwnikliwsza analiza nie może jednak wykazać żadnych

bezpośrednich związków, ekspresjonista niemiecki dążył świadomie do deformacji brutalizując i przekształcając formy zjawiskowe. Inaczej polski artysta. Dla wyrażenia swych idei brał ze świata zewnętrznego potrzebne mu formy, którym odbierał jednak wszelkie cechy materialnego istnienia, upraszczał je i syntetyzował. *Fatum* (1904), forma jak najbardziej zespolona z treścią, nie ma nużącego czy zbędnego wątku „tematowego”, lecz samo ciężenie mas, ustosunkowanie dwóch członów kompozycyjnych wyraża ową siłę fatalną, której ulec musi to, co słabsze i wątlesze. Zbliży się tu artysta, mimo całego symbolizmu do sztuki abstrakcyjnej, od której dzieli go już bardzo niewiele (zwłaszcza w *Tchnieniu*). Staje tu już w zupełności na drodze rzeźby nowoczesnej, pozbawionej wszelkich reminiscencji, zmierzającej do stworzenia własnej formy. Piękno tej formy, zarys nieskazitelny bryły o wyrazistej sylwecie, o harmonijnie spływających płaszczyznach występuje zwłaszcza wtedy, gdy ustawimy te rzeźby na tle nowoczesnej architektury.

Trudno ująć dzieło Dunikowskiego tego okresu w jednolity obraz. Artysta trawiony jest istną pasją twórczą. Jego potężna osobowość zmagą się ze światem własnych uczuć i wyobrażeń, wyciskając na wszystkim swoje własne piętno i to zarówno w zakresie formy jak i treści.

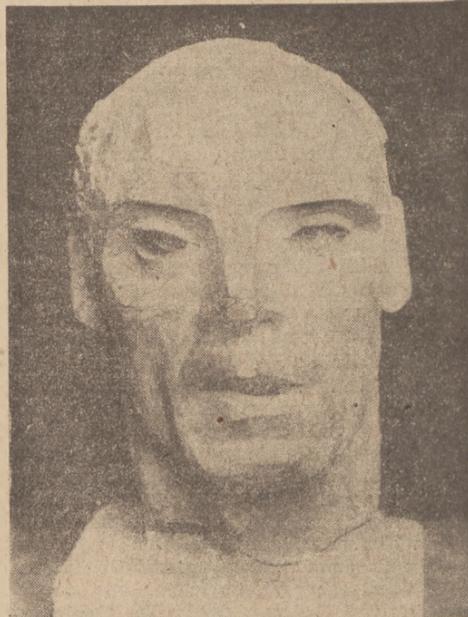
W twórczości jego musi się też pojawić kobieta, gdyż artysta ogarnia całość życia, a dotrzeć pragnie, jak wtedy mawiano, do kresu bytu. *Kobieta* Dunikowskiego to człowiek, który spełnia w tym świecie specjalną misję. Nie wspaniała, tryumfująca, ośniewająca pięknymi swych kształtów, świadoma swej siły, lecz wątła, słabe stworzenie, o nikłych kształtach, zatopiona w myślach i rozpamiętująca swą misję *Ewa* (1908) — w rękę swym trzyma embrión jako skarb najcenniejszy. *Macierzyństwo* (1908), w którym z wędrującego ciała wylania się nowe bujne życie, a wreszcie cykl *Kobiet brzemiennych* (1906—1908). Pisano wiele na temat kobiety w twórczości Dunikowskiego. Dziś z perspektywy tych lat, które nas dzielą od ich powstania, interesuje przede wszystkim forma



Św. Jan Ewangelista. Plaskorzeźba



Portret Amerykanki



Głowa Jana Rubczaka

plastyczna. *Ewa I* i *Ewa II*, warianty na ten sam temat, wykonane później w drzewie, to rzeźby, które na tle porównawczym współczesnej rzeźby francuskiej zachowują swój odrębny wyraz. Dunikowski odwraca się od impresjonizmu; wprawdzie postać częściowo pozostaje jeszcze związana z masą bryły, łączącej się z podstawą, lecz ciało zarysowuje się z całą wyrazistością silnym konturem, a płaszczyzny spływają modelując formę. W rzeźbie tej daje Dunikowski antytezę rzeźby Maillola i pozwala na skonfrontowanie go z dość licznymi kompozycjami Despiau z tych lat, jak *Bachantka* (1911), *Faun* (1912), i *Akt* (1913). Despiau równie oddalony jest od sztuki Maillola jak Dunikowski, wiąże też swe postacie z bryłą, w *Akcie* (1913) postać wylania się z niej, a *Faun* (1912) opiera się o umieszczoną podstawę. Zgodnie z duchem rzeźby francuskiej, proporcje w tych rzeźbach przepojone są tradycją klasyczną, zespół linii jest bardziej harmonijny, miarowy i rytmiczny. Dunikowski zaś, pełen wewnętrznego niepokoju, nie szuka harmonii, u niego linia również jest współczynnikiem rzeźby, lecz poruszona, nierówna, miejscami oschła, służy prawdziwie wyrazu. W rzeźbach tych manifestuje się zdecydowanie odrębna indywidualność twórcza Dunikowskiego.

Już w tym okresie twórczości zdradza Dunikowski jeszcze jeden rys: jest nim silne dążenie do monumentalności. Właśnie w *Kobietach brzemiennych* forma staje się wręcz monumentalna, zapewne temat przez swą powagę i dostojność narzuca tu artyście takie właśnie ujęcie. Postacie te jak i *Rodina Mieszczanie z Calais* stoją wprost na ziemi, nie wymagają cokołów, lecz większe nieco od naturalnych, przez spokój i formę uproszczoną, syntetyczną — stają się monumentalne. Szerokie i duże płaszczyzny określają formę. Jeszcze bardziej potęguje się to wrażenie w postaci *Madonny*, ujętej bardzo oryginalnie, w której uderza uproszczenie i syntetyzowanie kształtów. *Madonna* ta była w rzeźbie polskiej praworem wielu późniejszych stylizacji.

W r. 1912 Dunikowski otrzymuje pierwsze oficjalne zamówienie: zdobienie portalu kościoła OO. Jezuitów w Krakowie. Zadanie artysty było tu wcale niełatwe z uwagi na niezdecydowany charakter architektury kościoła. Trudności te przezwyciężył artysta dążąc do formy możliwie prostej, spokojnej i poważnej. Duże szerokie płaszczyzny określają poszczególne kształty i formy, które przez umiejętny układ nie wyodrębniają się zbyt mocno z płaszczyzny ściennej portalu, lecz zachowując odrębność — mimo całej swej wyrazistości i plastyki — są z nią związane. Zdecydowany kontur określa nie tylko kształty, ale wprowadza pewnego rodzaju wglębne rozczłonkowanie formy.

Na tym monumentalnym dziele zamknąć należy pierwszy okres twórczości Dunikowskiego, który — pełen dynamicznego rozmachu, — przeszedł w tych dziesięciu latach od r. 1902 wszystkie problemy rzeźby nowoczesnej. Dunikowski staje się bardziej świadomy i zdaje się opanowywać trawiący go niepokój.

Okres paryski daje nam pełnię dojrzałości sztuki Dunikowskiego. Odnajdujemy w niej elementy, które decydowały o ogólnym rozwoju współczesnej sztuki, lecz jakże inaczej kształtuje formę polski artysta.

Coraz to dobitniej występuje odtąd w rzeźbie Dunikowskiego uspokojenie i dążenie do stabilizacji formy i do jej konstrukcji. Rzeźba jego posiada odtąd mocną sylwetkę z wyrazistym konturem, harmonijnie spływające płaszczyzny określają bryłę. W *Głowie malarza Rubczaka* płaszczyzny przecinają się je-

szcze ostro, ale tym bardziej występuje konstrukcja formy, podobnie jak w **Portrecie Polki**. Jednak w **Portrecie śpiewaka greckiego** płaszczyzny wiążą się już silniej z bryłą. Harmonijne współistnienie formy i treści wykazuje **Portret Zygmunta Zaleskiego**, a do utajenia życia wewnętrznego dochodzi artysta w **Głowach kobiecych**, w których przynika ono formę subtelnie i łagodnie, by tym bardziej przejmująco oddziaływać na widza. Nie jest to bez sugestii greckiego antyku, w innym **Portrecie Polki** występuje nawet pewne archaizowanie w układzie włosów, lecz w całości ujęcie formy jest zupełnie nowoczesne.

Dojrzałość stylu Dunikowskiego występuje zwłaszcza w jego rzeźbach postaci kobiecych jak: **Amerykanka I i II**, **Portret Francuzki** i **Portret kobiety z lokami**. Potrafił też artysta strój modny kobiety przetłumaczyć na walory plastyczne i związać z formą. Artysta określił swe dzieła mianem portretu Amerykanki, Polki i Francuzki, nie chodziło mu więc o zindywidualizowanie postaci, ale o wydobycie głębszych rysów istotnych. To też unikał wszelkich przypadkowych cech, forma więc jego jest idealna, wysublimowana mimo całej swej materialnej dotykliwości.

Ulubionym tworzywem artysty staje się w tym czasie drzewo, aczkolwiek wykonuje on pierwotnie swoje pomysły w glinie. Jakkolwiek styl Dunikowskiego wiąże się specjalnie z drzewem, — nikt tak, jak on nie umie bowiem operować ostro stykającymi się płaszczyznami czy też ich konstrukcyjnie układać, — to jednak artysta nigdy nie pozwolił na podporządkowanie swej idei materiałowi, w którym tworzył. W tym przeciwstawia się ogólnym tendencjom rzeźby nowoczesnej.

W kraju artysta wykonuje na zamówienie kilkadziesiąt głów do dekoracji stropu wawelskiego. Niewątpliwie charakter zamówienia wpływał na ukształtowanie rzeźb Dunikowskiego, który świadomie chciał je dostosować do istniejących zabytków, ale mimo to noszą głowy Dunikowskiego wszystkie znamiona jego stylu i należą do najlepszych jego dzieł.

Dla dopełnienia obrazu twórczości artysty musi się wspomnieć dwie niezmiernie ciekawe próby z czasów jeszcze paryskich. **Autoportret** i **Grobowiec Bolesława Śmiałego**. Zapewne są to w sztuce Dunikowskiego próby odosobnione, należą one jednak niewątpliwie do najbardziej interesujących zjawisk nowoczesnej rzeźby monumentalnej, zwłaszcza **Grobowiec Bolesława Śmiałego**. Na podłożu dawnych tendencji abstrakcyjnych przejął tu artysta z kubizmu sposób piętrzenia brył dla wyrażenia swej idei o Bolesławie Śmiałym, którą chciał przenieść w sferę „astralną”, jak się sam wyraża. Przy tym forma całości nosi na sobie niewątpliwie cechy monumentalne; szkoda tylko, że dzieło to dotychczas nie zostało wykonane w trwałym materiale i ustawione na tle nowoczesnej architektury.

Monumentalność, która już w pierwszych dziełach Dunikowskiego decyduje o rozwoju jego sztuki, nabiera coraz to większego znaczenia, określa nawet ostatnią obecną jej fazę. W r. 1927 wykonuje cztery duże płaskorzeźby dla dekoracji Seminarium Duchownego Śląskiego w Krakowie z przedstawieniem postaci czterech Ewangelistów. Płaskorzeźba, zwłaszcza monumentalna, należy w sztuce nowoczesnej do wyjątków; we Francji mamy Bourdelle'a dekorację teatru des Champs Elysées w Paryżu. Jakże inna jest surowa powaga rzeźb Dunikowskiego, który nie daje się porwać — jak Bourdelle — niecałej igraszce linii, jak najbardziej nawet rytmicznej i harmonijnej. Dunikowski piętrzy bryle, konstruuje ją i tworzy całość bardzo monumentalną, co silnie podkreśla materiał dolomitu, w jakim rzeźby te są wykonane. Przybywa jednak nowy element, który ostatnio poczyna dominować w wszystkich dziełach Dunikowskiego, z wyjątkiem może **Pomnika Dieła**. Bryła, którą artysta operuje, w swych formach jednostkowych jest przeważnie w kształcie swym podłużna, a w całości konstrukcji dominuje pion. Może u podłoża tej dążności tkwi ekspresjonizm lub nawet gotyk utajony. Wrażenie takie sprawia również widok dwóch grup figuralnych przeznaczonych na ustawienie przed Seminarium Duchownym w Krakowie, zwłaszcza grupa ze **św. Barbarą** wykazuje te tendencje. Jest to również dzieło o założeniu monumentalnym. Nad dziełami tymi jak i dwiema grupami przeznaczonymi na fronton katedry w Katowicach pracował artysta w chwili wybuchu wojny. W pełni sił twórczych, — jego **Kopernik** związany również stylistycznie z tą fazą jego sztuki został wystawiony w Ameryce — został brutalnie wyrwany z życia swej pracowni. Obecnie po pięciu latach Oświecienia powraca do życia i do swej sztuki.

Helena Blumówna

JÓZEF KORPAŁA

Nowe zadania bibliotek publicznych

Przez całe dwudziestolecie międzywojenne toczyła się w Polsce cicha, czasami niepozobawiona momentów dramatycznego napięcia (jak np. w okresie zabiegów o ustawę biblioteczną w r. 1934) walka o uznanie sprawy książki i czytelnictwa za sprawę publiczną wielkiej wagi.

Już w r. 1922, na zjeździe Związku Miast Polskich podnoszono, że „zacołanie szerokich mas w miastach przedstawia dość groźne niebezpieczeństwo narodowe, konieczna jest tu” — jak mówiono — „akcja prowadzona systematycznie i planowo w ciągu dziesiątków lat, w szerokim zakresie i oparta na mocnych podstawach finansowych. Nie wystarczą tu żadne wysiłki prywatnych filantropów. Zarządy miast powinny umożliwić każdemu obywatelowi dostęp do książki przez umiejętne prowadzenie bibliotek powszechnych i czytelnictwa”. Prawda, były takie głosy, ale nie miały one poważniejszego wpływu na sytuację w dziedzinie bibliotekarstwa oświatowego, które aż do ostatnich lat przed wojną było niemal wyłączną domeną działalności trzech organizacji społeczno-oświatowych: Polskiej Macierzy Szkolnej, Towarzystwa Czyteln Ludowych i Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Sprawa biblioteczna w Polsce jest „kopciuszkim” przede wszystkim z powodu nieuświadomienia społeczeństwa o jej doniosłości. Ogół społeczeństwa, zwłaszcza t. zw. inteligencji, korzystającej z wypożyczalni handlowych, nie orientuje się w sytuacji i stanie bibliotek publicznych w Polsce, a tym mniej w rozwoju bibliotekarstwa publicznego za granicą. Zawinił tu i sami bibliotekarze, którzy za mało mówili i pisali o potrzebach bibliotek i czytelnictwa polskiego. Z tego względu warto przypomnieć, że pionierską rolę w historii bibliotek oświatowych i ustawodawstwa bibliotecznego odegrały Stany Zjednoczone. Ustawy biblioteczne sprawiły, że „żaden ruch w historii świata nie rozwinął się tak gwałtownie i nie uzyskał tak powszechnego poparcia, jak ruch biblioteczny w Ameryce” (M. Dewey). Na gruncie europejskim pionierką ustawodawstwa bibliotecznego była Anglia, której ekskluzywne ustawy biblioteczne obejmowały przez 70 lat (1849—1919) wyłącznie ośrodki miejskie z zupełnym zaniedbaniem ludności wiejskiej. Wielki wpływ na rozwój bibliotekarstwa w Anglii wywarła fundacja A. Carnegiego, która w ciągu 16 lat (1897—1913) wyłożyła 2 miliony funtów szterlingów na cele budowy i rozbudowy bibliotek publicznych.

Po wprowadzeniu nowej ustawy (1919 r.) wydajność bibliotek w Anglii wzrosła tak poważnie, że co 9 mieszkańców miasta, a co 14 wsi korzystało z bibliotek publicznych. Ogromny wzrost czytelnictwa w Anglii, osiągnięty na skutek zmiany ustawy dawnej w duchu nowoczesnych potrzeb, świadczy — co trafnie podnosi W. Dąbrowska — o znaczeniu i praktycznej wartości ustawy bibliotecznej nawet w krajach o wysokiej kulturze przeciętnej. Ustawa „przełamuje skutecznie bierność, stanowiącą nagminny nałóg wszystkich prawie społeczeństw, pobudza inicjatywę, ugruntuje podłoże prawidłowej organizacji czytelnictwa”.

Po wojnie światowej, która posunęła ludzką świadomość w kierunku postępu i demokracji, doszło w praktyce w wielu państwach do równouprawnienia bibliotek ze szkołą. W szeregu państw, zwłaszcza państw młodych, biblioteki publiczne, pojęte jako „najlepsze uniwersytety dla wszystkich” stały się hasłem pracy oświatowej i polityki kulturalnej, zmierzającej do tworzenia podstaw „oświeconej demokracji”. Pierwszy krok w tej sprawie zrobiła Czechosłowacja (1919), a za jej przykładem poszły: Bułgaria (1920), Dania (1920), Rosja (1920), Belgia (1921), a wreszcie Finlandia (1927). Ustawa czechosłowacka odegrała przełomową rolę w dziejach ustawodawstwa bibliotecznego, gdyż skierowała politykę biblioteczną na zupełnie nowe tory, wprowadzając bezwarunkowy obowiązek zakładania i utrzymywania bibliotek przez gminy. Naczelne kierownictwo i nadzór nad bibliotekami — ustawa powierzyła Ministerstwu Oświaty, dając mu zarazem prawo czynnej ingerencji w stosunku do gminy, nie wypełniającej obowiązków nałożonych przez ustawę. Dzięki tej ustawie Czechosłowacja osiągnęła wspaniałe rezultaty w zakresie upowszechnienia czytelnictwa. Kraje takie jak: Szwecja, Dania i Finlandia, które mają sprawny i rozbudowany organizację biblioteczną, opartą na samopomocy społecznej, nie należy wprowadzić na samorząd obowiązek zakładania bibliotek, lecz — dzięki zwiększeniu i ustawowemu zagwarantowaniu stałej i określonej pomocy finansowej państwa dla bibliotek — pobudziły samorząd i stworzyły dla bibliotek lepsze warunki pracy i oddziaływały oświatowo.

Wspominając o państwach, które ustawowo uregulowały sprawę bibliotek publicznych, nie możemy pominąć Związku Radzieckiego, gdyż w zakresie organizacji pracy wewnętrznej w bibliotekach i techniki bibliotecznej, nie ograniczającej się do przejmowania wzorów amerykańskich, osiągnął on poważne

sukcesy. Bibliotekarze sowieccy, poszukujący własnych, nowych dróg, budzą żywe zainteresowanie wśród oświatowców za granicą, właśnie dlatego, że baczną uwagę zwrócili na pedagogikę biblioteczną, t. zn. na oddziaływanie wychowawcze biblioteki przez pozyskiwanie czytelników dla biblioteki, zbliżanie ich do książki, poznawanie upodobań czytelników, doradzanie lektury, wdrażanie w technikę pracy umysłowej, a wreszcie na współpracę z czytelnikami.

U nas bibliotekarstwo publiczne i projekty ustawy bibliotecznej przechodziły na równi z oświatą dorosłych smętne koleje losu. Wprawdzie już w roku 1921 koła bibliotekarskie złożyły władzom oświatowym pierwszy projekt ustawy bibliotecznej, ale po 6 latach projekt ten został wycofany i zmieniony. Wpłynął on na forum publiczne jeszcze kilkakrotnie (1929, 1934, 1939), ale zawsze w decydującym momencie spotykał się z opozycją i wędrował „ad acta”. W grudniu 1934 r. Minister Oświaty złożył nawet w komisji sejmowej wiążące oświadczenie w sprawie ustawowego uregulowania kwestii bibliotecznej, lecz kampania prasowa, podjęta przez Maurycego Jaroszyńskiego i Ign. Matuszewskiego, przesądziła o losach ustawy. Na nic zdały się próby przekonania opinii, że ustawa biblioteczna jest jednym z niezbędnych warunków podniesienia niskiego poziomu kultury mas.

W obecnym momencie dziejowym, po niszczycielskiej i barbarzyńskiej wojnie, która spowodowała niepowetowane straty w stanie naszych księgozbiorów i wszelkich zasobów książek — sprawa książki przedstawia się tak katastrofalnie, że tylko planowa gospodarka, oparta o racjonalną ustawę biblioteczną może przynajmniej złagodzić katastrofę książki polskiej i upadek czytelnictwa. Nie wiemy jeszcze, co nam pozostało z ogólnej liczby ponad 35 tysięcy księgozbiorów naukowych, szkolnych, publicznych i społecznych na terenie Rzeczypospolitej; ale z bezpośredniego doświadczenia wie każdy z nas, że nawet w tych wypadkach, kiedy udało się pewne księgozbiory zabezpieczyć, niszczały one w nieodpowiednich warunkach. Cały szereg wielkich księgozbiorów z ogromnym zasobem Biblioteki Publicznej w Warszawie (około 400 tys.) na czele, uległ całkowitemu zniszczeniu. Pozostały biblioteki nieliczne, z okaleczonymi zasobami. Zresztą i o tym trzeba pamiętać, że z ogólnej liczby 8526 bibliotek oświatowych, wykazanych przez pierwszy spis bibliotek z 1929 r., więcej niż połowa nie osiągała 200 tomów, a 3/4 nie osiągało 500 tomów. Były to więc — jak słusznie pisze W. Dąbrowska — „drobnoustrojnie biblioteczne na bardzo niskim na ogół poziomie organizacji i aktywności społecznej. Z punktu widzenia gatunku ich zbiorów można śmiało uznać co najmniej 50% wykazanych liczbowo tomów za fikcję pod względem kulturalnego ich znaczenia”. Znamienne dla naszych stosunków bibliotecznych było choćby to zjawisko, że organy samorządu lokalnego rozporządzały w/g danych rejestracji z r. 1929 — liczbą 233 bibliotek (2,7%), podczas gdy 7513 (88,3%) bibliotek było własnością organizacji społecznych (z tej liczby około 1500 bibliotek należało do T. C. L., T. S. L. i P. M. S.). Warto przypomnieć, że na ogólną liczbę 3143 gmin wiejskich było (31. XII. 1935) tylko 243 gminnych bibliotek samorządowych z ogólną ilością 88 738 tomów i 17 345 czytelników; zastanawiając się nad tymi liczbami — Józef Janiczek (dzisiejszy naczelnik Wydziału Bibliotek w Ministerstwie Oświaty) doszedł do wniosku, że korzystało z tych bibliotek niespełna 1% mieszkańców, a mogło z powodzeniem korzystać (biorąc pod uwagę nawet małą zasobność tych bibliotek) przynajmniej 3% ludności wiejskiej.

Nie możemy tutaj szczegółowo rozpatrywać tego zjawiska, które świadczy o nienależytym wyzyskaniu księgozbiorów gminnych przez wieś. Ale na pewno nie popełnimy błędów, jeśli zauważymy, że przyczyna tego stanu tkwiła również w braku ustawy bibliotecznej i w wynikającym stąd braku propagandy książki i biblioteki, wreszcie w nieodpowiednim doborze książek (przygodne, okazjonalne czasem od wędrownych agentów firm wydawniczych kupno luksusowych wydawnictw zdobywających biuro sekretarza lub wójta). Faktem jest, że wobec bezczynności samorządu (nawet takich miast jak Kraków, który dopiero obecnie uchwalił założenie miejskiej biblioteki publicznej) akcja biblioteczna prowadzona była przez rozliczne i różnorodne towarzystwa, instytucje, związki i zrzeszenia, z pełną dobrą wolą, nawet ofiarnością ich pracowników, lecz bez należytych podstaw finansowych i fachowo-organizacyjnych. Rezultat był ten, że Polska wykazywała (1929 r.) niespełna 4% czytelników, gdy Anglia notowała 11% wśród ludności miejskiej i ponad 7% na wsi, a Belgia i Czechosłowacja średnio 7%. Natomiast liczba wypożyczeń w Polsce była bardzo poważna i świadczyła o tym, że w Polsce istnieje niejako potencjalna po-

trzeba czytelnictwa, lecz zbyt mało książek i bibliotek.

W ostatnich latach przed wojną zaznaczył się pewien ruch w kierunku samorządnego organizowania samorządowych bibliotek gminnych (w jednym tylko roku 1935 zorganizowano 63 nowe biblioteki), ale nawet wówczas, gdyby się przyjęło, że w latach następnych powstawać będzie dwa razy więcej bibliotek (tj. 126) według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wcześniej niż dopiero po 25 latach doszłyby wszystkie gminy do posiadania swoich własnych bibliotek. A przecież nie brak będzie i takich gmin, które bez ustawy (obowiązkowo) nigdy by się na utworzenie biblioteki nie zdecydowały, bo mają zasadniczo negatywny stosunek do obarczania swego budżetu wydatkami na „luksus” w postaci dobrej książki.

Jeśli dzisiaj nie popierają nawet gminnych szkół rolniczych tłumacząc się brakiem podstaw prawnych, to tym bardziej ociągać się będą ze świadczeniami na oświatę nie popartymi przymusem.

Jakież z tych rozważań wnioski?

Czy mamy znowu, jak to było w pierwszych latach niepodległości, czekać na inicjatywę społeczną (ponad 72% bibliotek stowarzyszeń i związków powstało w okresie od 1918—29), która wówczas zdała egzamin ofiarności, czy też liczyć na samorządną akcję samorządu? Wojna i wszystkie wyniki z jej skutków konsekwencje (materiałne, kulturalne, polityczne) wykluczają takie rozwiązania. Musimy na tym niestety zdewastowanym odcinku życia i mienia narodowego pracować planowo i ratować co rychlej wszystko, co się jeszcze da, z rąk szabrowników i niepowołanych bukinistów.

Musimy sobie otwarcie powiedzieć, że wojna zniszczyła sieć bibliotek w Polsce, pozbawiła nas wielkich zasobów książek, magazynów księgarskich i wielkiej ilości księgozbiorów prywatnych (szczęśliwie ich znaleźć można jeszcze na wózkach ulicznych w Warszawie), a ponadto bardzo poważnie nadwyrężyła drukarstwo. Z tego katastrofalnego stanu rzeczy trzeba wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Pierwsi zrobili to bibliotekarze i dlatego opracowali nowy projekt ustawy bibliotecznej, dostosowanej do nowych problemów życia i nowych zadań, stojących przed bibliotekarzami i bibliotekami.

Nowa ustawa biblioteczna uznaje biblioteki i zbiory biblioteczne za narodowe mienie kulturalne, powołane do służenia dobru ogólnemu. Z tego postanowienia wynikają doniosłe konsekwencje, m. in. uprawnienie przyznane Ministrowi Oświaty włączenia do sieci bibliotecznej (za zgodą właścicieli) również bibliotek społecznych i prywatnych. W tych wypadkach, gdy chodzi o udostępnienie materiałów bibliotecznych jedynych lub rzadkich — może Minister Oświaty zarządzić ich włączenie do sieci bibliotek naukowych nawet bez zgody właścicieli. Tak więc nowa ustawa stoi na jedynie słusznym stanowisku **uspołecznienia książki i oddania jej w służbę nauce i społeczeństwu**.

Polska ustawa biblioteczna powierza naczelny nadzór i opiekę nad bibliotekami Ministrowi Oświaty, który organizuje ogólnokrajową sieć publicznych bibliotek powszechnych, obejmującą biblioteki powszechne (oświatowe), szkolne i naukowe. Sieć publicznych bibliotek powszechnych mają tworzyć biblioteki gminne (miejskie i wiejskie), powiatowe i wojewódzkie. Obowiązek zakładania i utrzymywania bibliotek nakłada ustawa na samorząd terytorialny, z tym jednak, że wysokość świadczeń na biblioteki określi corocznie Rada Ministrów. Świadczenia państwa na rzecz samorządowych bibliotek mają wynosić co najmniej 25% łącznych świadczeń wszystkich związków samorządowych. Projekt ustawy przewiduje, że w początkowym okresie organizacji sieci bibliotek świadczenia na zakładanie i utrzymywanie tych bibliotek pokrywać będzie za samorząd — skarb państwa. Inaczej mówiąc, kto się pośpieszy ten wygra, bo przy pomocy subwencji państwowej może dojść łatwiej do uruchomienia biblioteki publicznej.

Nie wchodząc w rozbiór tej ustawy poprzestaniemy na razie na stwierdzeniu, że — dostosowana do nowych powojennych warunków i potrzeb — stanowi ona poważny postęp, gdyż przeświadcza „organizację bibliotekarstwa polskiego z amatorskiego sobiepaństwa na tor skoordynowanej gospodarki planowej” (choć połowicznie reguluje sprawy finansowe), a zarazem otwiera nowe możliwości zorganizowania czytelnictwa powszechnego w razie scalenia bibliotek, które jest wprost nakazem chwili. Rozwiązanie wielu trudnych zagadnień, wobec których stoi bibliotekarstwo i cała oświata w Polsce, może ułatwić tylko ustawa biblioteczna. Rychle jej przyjęcie i wprowadzenie w życie jest pilną koniecznością. Podjęcie zaś i wykonanie ogromu zadań z niej wynikających zależeć będzie od racjonalnej organizacji władz bibliotekarskich, ofiarności i warunków pracy tak bardzo przerzedzonych kadr bibliotekarzy.

Józef Korpała

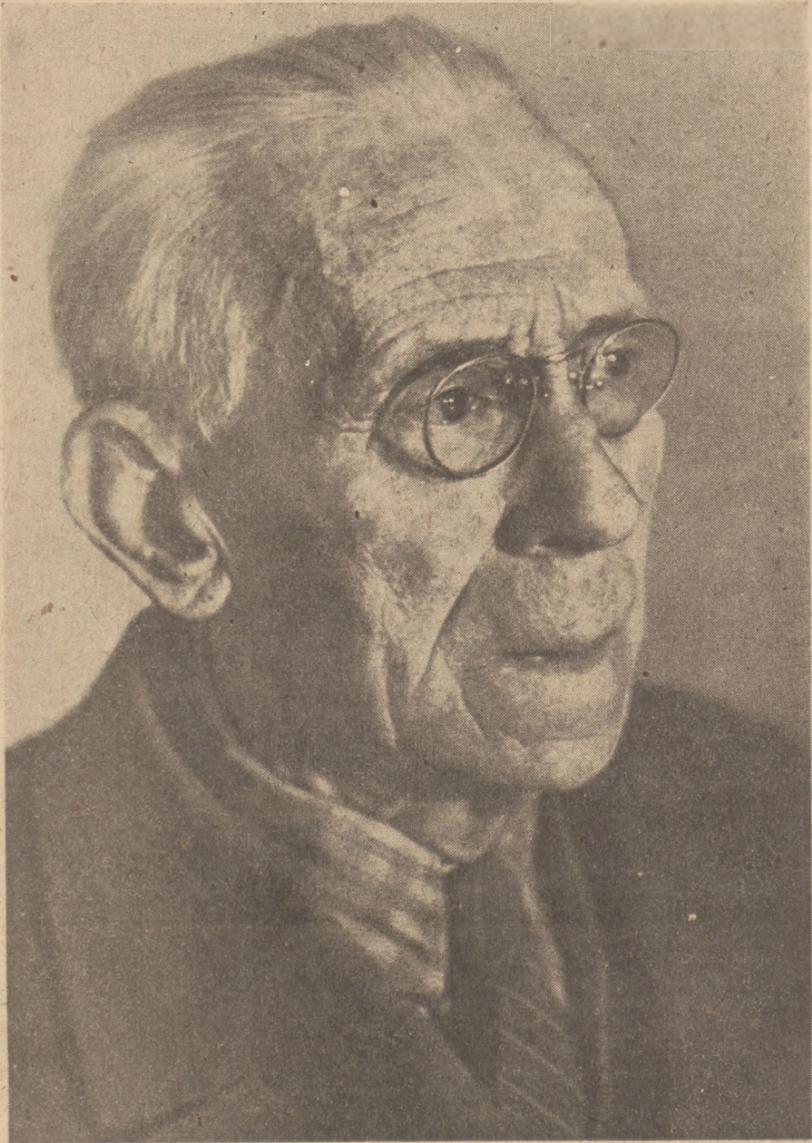
Najbliższy, noworoczny
12-stronicowy numer

ODRODZENIA
ukaze się z datą
6 stycznia 1946 r.

JUBILEUSZ SOLSKIEGO

JULIAN PRZYBOS

NA LINII POETYCKIEJ



Dnia 11-go stycznia 1946 r. odbędzie się w Teatrze Miejskim im. Juliusza Słowackiego w Krakowie obchód siedemdziesięciolecia pracy scenicznej Ludwika Solskiego. Jubilat wystąpi w niegranej przez siebie dotąd roli

działka Onufrego Ciaputkiewicza w „Grubych rybach” Bałuckiego. Powyżej zamieszczamy najnowsze zdjęcie Ludwika Solskiego, wykonane specjalnie dla „Odrodzenia” przez Jana Kurkiewicza.

OCALENIE

Pod tym tytułem ukaze się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, tom poezji

Czesława Miłosza. Z tomu tego wyjmujemy wiersz wstępny.

Ty, którego nie mogłem ocalić,
Wysłuchaj mnie.
Zrozum tę mowę prostą, bo wstydę się innej.
Przysięgam, nie ma we mnie czarodziejstwa słów.
Mówię do ciebie milcząc, jak obłok czy drzewo.

To, co wzmacniało mnie dla ciebie, było śmiertelne.
Zegnanie epoki brałeś za początek nowej.
Natchnienie nienawiści za piękno liryczne,
Siłę ślepa do dokonany kształt.

Oto dolina płytkich polskich rzek. I most ogromny
Idący w białą mgłę. Oto miasto złamane
I wiatr skwirami mew obrzuca twój grób.
Kiedy rozmawiam z tobą.

Czym jest poezja, która nie ocala
Narodów ani ludzi?
Wspólnictwem urzędowych kłamstw.
Piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardła.
Czytanka z panińskiego pokoju.

To, że chciałem dobrej poezji, nie umięjąc,
To, że późno, pojąłem jej wybawczy cel,
To jest i tylko to jest ocalenie.

Sypano na mogiły proso albo mak,
Zywiąc zlatujących się umarłych — ptaki.
Tę książkę kładę tutaj dla ciebie, o dawny.
Abyś nas odtąd nie nawiedzał więcej.

Czesław Miłosz

„Szpilkom” po raz ostatni

Kłótnia przekupek nie jest rodzajem literackim, jaki by mi odpowiadał. Dlatego dyskusja ze „Szpilkami”, sprowadzająca się do stopniowania przymiotnika „głupi”, nie jest dla mnie pociągająca. Nie mając zamiaru polemizować z nimi, chciałbym im jedynie wyjaśnić: 1) Nie każdy, komu się „Szpilki” nie podobają, tym samym jest reakcjonistą. Ja np., choć zgola nie mam sympatyj NSZ-owskich, na próżno zmuszam się do uśmiechu przy ich lekturze. 2) Nie wszystko należy sprowadzać do osobistych rozgrywek. Nie miałem zgoła zamiaru sprawić przykrości zacnemu, choć nieuczonemu Leonowi Pasternakowi ową notatką o „Szpillkach”, która wywołała lawinę obelg. Zarzuciłem im, że zbyt wiele miejsca poświęcają błędom drukarskim, sprawom domowym literatów (por. olbrzymi, jednostronicowy rysunek, poświęcony praktyce lekarskiej literata Mikułki) i tym podobnym sprawom, które nikogo

prócz bezpośrednio zainteresowanych nie obchodzi; że satyra, jaką uprawiają, jest dość często nietaktowna i niezręczna.

Zarzuty te — słuszne lub niesłuszne — dotyczyły spraw, nie ludzi. „Szpilki”, pogrążone po uszy w rozgrywkach osobistych, nie rozumieją — niestety! — takiego ujęcia. Chwała tego, kto ich pochwali; „wykańczając” tego, kto ich zgani. Słowa „wykańczając” używają z lubością. Leon Pasternak zastosował je nawet w niefortunnym cytacie łacińskim: „Ceterum censeo Sandaueram delendam esse”. (Należy wykończyć Sandauera.) Atmosfera plotki i intrygi kawiarnianej, w jakiej się nurzają, nie pozwala im dojrzeć niczego prócz osobistych rozgrywek. Nie rozumieją, że można czasem pochwalić wroga, zganić przyjaciela. Brak im nie tylko poczucia humoru, ale i poczucia obiektywizmu.

Artur Sandauer

— Poezja dla wszystkich! Poezja winna zejść w tłum, stać się pokarmem mas, liryka musi się upowszechnić!

W takich nawoływaniach wygłaszanych już to gromko i apodyktycznie, już też szeptanych z życzliwą doradą, rzadko tylko brzmi szlachetny i nienasycony głód piękna; bardzo często huczy w nich demagogia ludzi obojętnych dla sprawy poezji, a potrzebujących jedynie materiału propagandowego. Doraźnym działaczom i płytkim publicystom chodzi o agitacyjną przydatność poezji. Propaganda bywa pasożytem sztuki.

Zastanówmy się. Hasło „poezja dla wszystkich” jest hiperbolą, przesadną, podobnie jak na przykład hasło „wszyscy do szeregów wojska polskiego!” Nie wzywa się do szeregów dzieci, starców, kalek, — nie pisze się poezji dla analfabetów. Ilu w Polsce jest tych, dla których żadne słowo drukowane nie jest dostępne? Siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt procent ludności? A jakie wiersze mogłyby być zrozumiałe dla wszystkich w Polsce, umiających czytać? Chyba częstochowskie pieśni działowskie.

— Wpierw nim siądzie do pisania, poeta winien się zastanowić, kto będzie jego czytelnikiem, po czym powinien pisać z myślą o tym czytelniku, t. j. dobierać treść i formę do pojemności myślowej i przypuszczalnej wrażliwości estetycznej odbiorcy!

Kto stawia takie wymagania poecie, nigdy nie pojmie ani poezji ani poety. „Zniżenie się” do gustu czytelnika jest dla poety zgrabą; kompromis może przynieść chwilowy sukces, nawet sławę dożgonną, lecz korektorka-przyszłość wypomni takiemu autorowi fałsz i grzech najcięższy przeciwko duchowi sztuki: niewierność. Najpierwszym obowiązkiem społecznym artysty jest obowiązek wobec sztuki, powinność osiągnięcia najwyższego poziomu artystycznego. Sztuce trzeba oddać całego siebie, nie zbuduje się dzieła, jeśli oddaje się tylko połowę serca i pół głowy.

Zresztą dla rzetelnego artysty jest to psychologicznie niemożliwe. Jakżeż można tworzyć, zadając sobie co słowo pytanie, czy to aby spodoba się temu lub owemu? Akt twórczy wymaga absolutnej wiary w siebie t. j. w to co się czyni, natchnienia nie można przy mierzać i przykrawać do wymogów klienteli.

Owszem, jest taki gatunek poezji stosowanej do smaku najszerszego: kabaret. Ale skeczów i piosenek nie pisze się w rejestr, choć to było i jest nieraz uważane za poezję, nie pisze się w rejestr historii poezji. Nie ma poezji trudnej ani łatwej, tak jak nie ma lekkiej i poważnej muzyki — istnieje tylko dobra poezja i dobra muzyka, czyli po prostu: poezja i muzyka.

— Piszcie więc tak, żeby was mogli czytać i rozumieć ci wszyscy, którzy czytać umieją, lub co najmniej ci, którzy się poezją interesują. Jesteście poetami dla dziesięciu, nikt was, poza wtajemniczonymi, nie rozumie. Poezja wasza nie spełnia więc swojej roli społecznej; w dobie demokracji ten jest lepszym poetą, kto jest dostępniejszy!

Zarzutem takim, jeśli tylko nie są wyrazem złośliwej i zarozumiałej ignorancji, należy się jeszcze raz odpowiedzieć. Czy może być poezja niezrozumiała? Nie, może być tylko wiersz niedokształcony, niewykończony, a więc półfabrykat niejasny wskutek tego, że autor nie potrafił swojej wizji dać wyrazu doskonałego. Utwory istotnie niezrozumiałe to po prostu nieudane, złe wiersze, i zadaniem krytyka jest wskazać ich niedorozwój. Natomiast, jak w każdej prężnej epoce, istnieje i teraz poezja nowatorska, poezja świadomie gardząca szablonami i odkrywająca nowe zasady poetyckie piękna. Zrozumiałe jest, że takiej poezji nowatorskiej nie można mierzyć kryteriami starej poetyki, którą ona odrzuca, trzeba ją mierzyć jej kanonami, t. j. tym, z czego te kanony się rodzą: trzeba ją mierzyć nową wrażliwością, trzeba ją cenić wzruszeniem, które ona odkryła. Trzeba dorosnąć psychicznie do jej wymiaru, trzeba poszerzyć swoją duchowość o jej zakres wzruszeń, trzeba ją przyjąć tak, jak się przyjmuje nową muzykę. Jeśli się do niej nie rozkwita i nie wznosi — nie ma się prawa o niej mówić. Laik muzyczny, czuły tylko na sentymentalną piosenkę Harrisa, nie poważyłby się wyrokować o koncercie skrzypcowym Szymanowskiego, ale każdy zuchwał zarozumialec nie wstydzi się ba chełpi się jeszcze i jest pełen pretensji, że nowej poezji nie rozumie. I liczy na poklask ubogich duchem. Krytyk ma prawo mówić o jakimś utworze, że jest niezrozumiałą, tylko wtedy, jeśli przytoczywszy go i zanalizowawszy w całości, dowiedzie, że utwór ten pozbawiony jest poetyckiego sensu, czyli że jest źle napisany, chybiony artystycznie.

Nieprawdą jest, jakoby współcześni poeci świadomie pisali tylko dla wtajemniczonych i wybranych. Jeśli pominiemy dekadentów i snobów zeszlowieczonych — nie było w historii literatury pisarzy, którzy by nie marzyli

o tym, by byli czytani: przez wszystkich ludzi wszystkich czasów. Chyba każdy piszący wierzy, że wznosi pomnik trwalszy od spiżu i każdy śni o zbliżeniu pod strzechy. Ale jak w nauce istnieją odkrywcy i specjaliści, z których pracy korzystają praktyczni realizatorzy, a potem ogół — tak i w sztuce: są odkrywcy i wynalazcy i są popularyzatorzy.

Warto przypomnieć, jak Majakowski odpowiedział na zarzut niezrozumiałstwa. Atakowali go demagodzy, wołający o sztukę jak najbardziej popularną i przystępną dla mas. Posłużył się porównaniem. Istnieją centrale energii elektrycznej, z takich nielicznych centrali płynie prąd do wielu mniejszych stacji elektrycznych, z tych stacji do jeszcze liczniejszych stacyjek, a z nich dopiero do miasteczek i wsi, do poszczególnego domu i chaty. Podobnie z energią poetycką. Są poeci-centrale, od których płynie prąd na wielu mniej odkrywczych, ale bardziej popularnych, „łatwiejszych” autorów. Taka jest rola społeczna poezji nowatorskiej, bez jej odkryć poezja popularna wyschłaby w łożysku oklepanych form i banałów.

Miałem przed wojną odczyt w Warszawie o poezji awangardowej. W dyskusji przedstawiciel inteligencji wiejskiej wystąpił nieoczekiwanie z twierdzeniem, że na wsi jest lepiej rozumiana poezja nowatorów (był to czas kiedy Czuchnowski redagował „Nową Wieś”), niż dawna poezja nastrojowców. Wiersz Staffa o dzwoniącym o szyby deszczu jesiennym — dowodził ów ludowiec — jest niepojęty dla chłopca przez swój cieplarniany sztuczny nastrój. „No i cóż z tego, że ten deszcz pada?” — pytają parobcy — „wiadomo pada i nie ma o czym tak długo i w kółko gadać!” Poezja nowatorów jest bardziej rzeczowa — dowodził entuzjasta ruchu Czuchnowskiego — i bardziej przystępna rozumieniu i odczuciu młodzieży chłopskiej. Pamiętam, jak zachnął się na to Irzykowski, jak ze mną powątpiewał inni.

A jednak. To, że nowego utworu nie rozumie profesor, nie znaczy, że nie rozumie go robotnik i chłop. Może być tak, że odbiorczość profesora uschematyzowana przez szablonowe wzory nie umie zmieścić nowego dzieła w żadnej ze znanych szufladek; człowiek prosty przyjmie je wprost, a nie, jak inteligent, poprzez reminiscencje dawnych, znanych utworów.

Najoporniejszy do przyjęcia nowej sztuki jest zarozumiały półinteligent, który coś ze sztuki liźnawszy jest przekonany, że posiada dostateczne kryteria do sądzenia o wszystkim, co przerasta jego zdolność rozumienia. Człowiek prosty jest pełen dobrej woli, ma świeżą wrażliwość nie ograniczoną przesadami szkolnej estetyki. Ukazanie mu na przykładzie paru prostych tajemnic technicznych sztuki — wystarczy, by mógł coraz pełniej przyjmować wzruszenia płynące z poważnej literatury. Preparowanie specjalnie strawnej papki z przeżutej, banalnej sztuki — jest moim zdaniem, szkodliwe dla wychowania estetycznego mas. Obawiam się, że te liczne drukowane „Świeclice” zepsują smak ludu i wychowają podobnie zarozumiałych i tępych półinteligentów, jak ci w miescie, którzy „nie rozumieją” i nie chcą rozumieć niczego poza sentymentalną i kabarelową piosenką.

Zagadnienie „niezrozumiałości”, czy małej dostępności czyjejsz sztuki może powstać wtedy, gdy mamy do czynienia z twórcą szczególnych i rzadko spotykanych wzruszeń. Jaki jest sprawdzian, czy taki poeta śpiewa tylko sobie a muzom czy też jest prekursorem, na którego powoła się przyszłe pokolenie literackie? Sądz współczesności nie jest ostateczny, dopiero przyszłość rozstrzyga, ile w autorze niepopularnym było trwałych osiągnięć, a ile w popularnym nietrwałej aktualności. Obawa, że będzie się nierozumianym, ponieważ daje się nowe, przez siebie tylko sprawdzone wzruszenia, — byłaby samobójczą małodusznością. Warto przypomnieć zdanie Goethego: W przyrodzie zjawiska się powtarzają i nie ma nic tak szczególnego, co by nie znalazło pokrewnego sobie odpowiednika. Artysta odkrywca dla siebie nowy świat piękna, może być pewny, że znajdzie ludzi podobnie czujących. Czy ludzi tych będzie legion, wzrastający z każdym pokoleniem, czy tylko garstka osobliwych smakoszy — wszystko zależy od pojemności jego człowieczeństwa, od ostrości widzenia, od szerokości umysłu, wszystko zależy od uspołecznionego „ja” artysty.

Wszystko to zależy tylko od artysty — w przyszłości. W tej szczęśliwej przyszłości, w której nie będzie ani analfabetów ani półinteligentów, w której zniknie rozdział kulturalny między człowiekiem a człowiekiem, kiedy każdy człowiek będzie mógł korzystać ze wszystkich dóbr kulturalnych. Ale dziś — wiele, bardzo wiele zależy także od światłej krytyki, od umiejętności uprzedzenia masom „trudnej” sztuki. Dzisiaj prawie wszystko zależy od oświaty.

Julian Przybos

Felieton na święta

Nasza publicystyka rozwija się coraz lepiej. Skala rośnie. Jest już pism literacko-społecznych więcej chyba niż przed wojną i światopogląd tych pism rysuje się wyraźnie. Specjalnie aktywne stają się młodzi katolicy. Do niedawna odnajmowali sobie miejsce u starców — obecnie mają swoje własne pismo. Z zaciekawieniem czytałem to „Dziś i Wczoraj”. Kętrzyński, Dobraczyński przeprowadzili się już chyba na dobre od księdza Piwowarczyka, a zachłanny Kisielewski, nie honorując wskazań Urzędu Mieszkaniego, zajmując miejsce i w starym i nowym mieszkaniu.

Zwłaszcza Kisielewski mówi dużo. Jakie będą rezultaty tego mówienia jeszcze nie wiadomo. Ale i ja jestem tego zdania, że lepiej mówić, aniżeli prawdy, nawet największe, trzymać pod korcem. Jestem zwolennikiem mówienia trochę ze względu na zasady dziś niepopularne: psychologiczne, jak i ze względu na zasady dziś popularne: dialektyczne. Pisząc o mówieniu, mam na myśli pisanie. I tu zgadzam się znowu z panem Kętrzyńskim — choć tak bardzo się kiedyś z nim nie zgadzałem — „pisać prawdę”. Naturalnie. Właśnie o tej swojej prawdzie chciałbym i teraz, ale nie od razu. Pisząc, będę myślał. Jak pisać prawdę? Oto jej pierwsza zasada: przyczyniać się pisaniem do rzeczy jeszcze niezrealizowanych. Wiara ostrożna, przekonanie sceptyczne, ale przekonanie.

Poza tym chciałbym się pokazać Kisielewskiemu. Żeby nie zapominał, że jestem i gdzie jestem. Przy tej okazji poruszę przede wszystkim sprawę niezupełnie własną, ale bliską. Chcę przyjść w sukurs Andrzejewskiemu i bronić trochę negatywnej strony jego wyznania. Nigdy nie byłem aktywnym katolikiem, ale przyznaję, że był czas, zwłaszcza w czasie gestego mroku okupacji, kiedy spodziewałem się ponownego zejścia Syna Bożego na ziemię. Nie zszedł. Potem inaczej. Zdawało mi się, że Hitler, jeśli nie jest antychrystem, to przynajmniej delegowany został jego natchnieniem. Może i tak było rzeczywiście. Ale nie o to chodzi. Zwalczając go i temu podobnych wiarą w przeciwny kontrakt nadprzyrodzony? Nie mając chwilami możliwości innego działania wierzyłem i w to. Przyznaję. W końcu jednak — po wielu próbach i doświadczeniach — jestem wreszcie przekonany, że kontaktu z działaniem praktycznym tracić nigdy nie wolno. Że moc, zwalczająca zło, jest właśnie w tym działaniu permanentnym. A świadomość wtedy zwalcza zło, kiedy jest jasna, czynna i tylko w działaniu — dogmatyczna. Ostatecznie szataństwo Hitlera rozkładane zostało sposobami nawskróś praktycznymi. Nie siłą nadprzyrodzoną, lecz cyklem świadomych, konsekwentnie połączonych posunięć. Działaniem ludzi, którzy nawet przez chwilę nie pozwolili sobie na zamroczenie podobne mojemu.

Jeśli chodzi o Andrzejewskiego, to przypuszczam, że odszedł od katolicyzmu z jeszcze innych przyczyn, aniżeli ja, do niego nie doszedłem. Ale odszedł.

Zresztą katolicyzm to nie tylko objawienie i przyjęcie, to także taktyka, cywilizacja i etyka. Nowy katolicyzm francuski rozwija akcje tych czynników w sposób naprawczy żywotny. Ale w Polsce kultury katolickiej w pełnym tego słowa znaczeniu nie ma jeszcze i nie było i zdaje się, że nie będzie. Pisarzy katolickich w Polsce na ogół nie ma i trudno liczyć na Zawiejskiego, bo i w jego filozofii kryje się herezja: metafizyczny humanizm. Trudno będzie zbudować w Polsce kulturę katolicką. Bo elementy dawnych przekonań trzeba by komponować z nowymi, czerpanymi z zasad zupełnie innego katolicyzmu, obcego Polsce. Bo myślimy z punktu widzenia zachodu byli zawsze swoistą herezją. W natchnieniu wielkich myślicieli, poetów, jak i prostego ludu, Boga tworzyliśmy na podobieństwo człowieka, a nie człowieka na podobieństwo Boga. Chcieliśmy, żeby świat był przede wszystkim ludzki. Dobry dla nas, albo kiedy indziej: tylko wygodny dla nas. Nigdy w imię krzyża nie chcieliśmy walczyć. Polskie lokalne krucjaty nie miały żadnej filozofii i robione były pod naciskiem papieżstwa. W czasie klęski zastanawialiśmy się umęczonym Chrystusem. Nasza walka pozytywna przysłużyła się raczej cywilizacji humanistycznej. Socjalnym rewolucjom innych narodów. Już dawno — demokracji. Kościół papieski nie był nigdy demokratyczny. Polityka papieża też nią nie jest. Nikt, kto obserwował działalność papieża w czasie tej wojny, nie może mieć co do tego żadnych wątpliwości. Owszem, może mieć podziw dla jego dyplomacji.

Kościół francuski przeżywa dziś decydujące przemiany. Coś się i u nas pod tym względem dzieje. Ale dynamizm marksizmu jest w Polsce znacznie silniejszy — przede wszystkim pod względem kulturalnym. Rozumiem zaś młodych katolików z powodu odejścia Andrzejewskiego, bo tracą w nim właściwie jedynego na pewną miarę pisarza i myśliciela. Kisielewskiemu chodzi także o co innego: boleje, że nie ma wśród nas — nie to: wiel-

kich pisarzy katolickich, ale wielkości w ogóle. Zastanówmy się.

Wiadomo, że w sztuce, czy literaturze — bliżej nawet tego określać nie potrzeba — są dzieła wielkie i doskonałe. Każdy odczuwa wielkość Dostojewskiego, ale wielu godzi się łatwo na to, że Proust nie jest pisarzem wielkim. Ale trudno odmówić doskonałości jego prozie. Podobnie wśród nas trudno by było szukać pisarza idącego śladami prawdziwej wielkości. Mimo całą nieudolność dzieła — Żeromski miał coś z wielkości. Po nim już chyba nikt w Polsce. Bo i Dąbrowska, bo i Kruczkowski — mimo że ich postawa imponuje nam wszystkim — w dziełach swoich realizują program analizy i rewizjonizmu. Żadna zaś, — powiadają — żadna rewizja nie może być wielka. Musi być użyteczna. Dopiero dyskusja — mówią, dopiero wizja — mówią, dopiero synteza — mówią, może mieć cechy naprawdę i jedynie budujące. Wszyszcymy poza tym — jeden Wiktor stanowi trochę dziwaczny wyjątek — zrezygnowali z patosu i godności proroków. Może to i nie dobrze. Może by i przydał się specjalnie silny wyraz wielkiej osobowości. Naturalnie, bardzo by nam się przydał teraz jakiś polski Majakowski. Przypuszczaliśmy nawet, że Jerzy Putrament, poeta — twierdzić można — o wielkiej bezpośredniości i — stwierdzić trzeba — aktywnym temperamencie, odegra właśnie trochę taką rolę. Niestety Putrament został ministrem pełnomocnym. Oto jeszcze jeden dowód — rzeczywiście trochę z boku — jak ważna dla okresu jest sprawa realizacji technicznej życia. Zaraz o tym — szerzej i zasadniczo. Już Żeromski był trochę anachronizmem w epoce, która także i od literatury chciała taktyki, metody i instrumentalizacji. Epoka nasza — śmiałybym się przeciwstawić gromkowiednej wymowie także Polewki — nie jest wielka — wierzy w możliwość wydoskonalenia współżycia. Burzy, rewiduje, doskonali. Dąży do powszechnej szczęśliwości społecznej także przez taktyczne zbieranie dowodów winy świata, który

w starości i starczym egoizmie bełkoce. U nas bełkot jest szczególnie silny. Kultura szlachecka, jedynie aktywne do niedawna, rozprzeczła się po dalekich środowiskach, które widziały w niej jedyne możliwy fason. Objawiało się to przede wszystkim w języku, a i co za tym idzie, w filozofii życia towarzyskiego. Niedorzeczna groteskowość tego pokazuje świetnie zarówno Stefan Wiechecki, jak i ostatnio jeszcze głębiej Zygmunt Fijas. I przez to obaj są bardzo pożytecznymi pisarzami społecznymi. Ale Fijas nie jest specjalnie nowy w swej pracowitej, ważnej dla okresu analizie dialektu. Robiliśmy to już i my jeszcze w progę tej rewolucji. Rewolucji łagodnej. Gombrowicz nie jest — jak chce Wyka — pisarzem drwiącym. Dał właśnie wzór sposobów, a także sprawiedliwą ocenę swego zdegradowanego środowiska. To samo w inny sposób robił Breza, ostatnio w złudnym zresztą przekonaniu, że tworzy prawdziwą epikę. Ale epiki prawdziwie syntetycznej nie będzie jeszcze długo i nikt jej od nas nie może wymagać. Polska znajduje się w okresie rewolucji stórków powszechniejszej niż się zdaje naszym bliższym życiu oczom. Każdy pisarz — chce, czy nie chce — jeśli jest żywotny i prawdziwy, wspomaga dialektykę dziejową. Służy socjalizacji, która jest w obecnej fazie w Polsce przede wszystkim ruchem. Burzy nieprawdziwy spokój przekonania także czasami ekwilibrystyczną satyrą.

Realizm, czy formalizm? W sztuce raczej formalizm. Pomógł mi w tym już Brandys, który, mówiąc o realizmie, próbował przeciwstawnie sztywnić na przykład z moich porównań, od których wali się świat, ale sam praktycznie pomaga w tym i mnie i światu. I dobrze robi. Właśnie taki świat, jak w jego książkach, musi się zwać. Świadomością swoją daliśmy się sałafską chyba nawet Żeromskiemu. Ale nie martwy się — ten nasz formalizm jest też złuda. Jesteśmy w znacznej większości po raz pierwszy — intelektualistami. I właściwie czas od nas tego przede wszystkim wymaga. Chwalić by należało ma-

terializm dziejowy za to, że jest przede wszystkim metodą, postępowaniem i taktyką, nie absolutnym dogmatem. Humanista znajduje w marksizmie zawsze swoje miejsce.

A dalej Kisielewski martwi się o pokolenie najmłodsze, że nie jest też — „wielkie”. Ale skąd ma być wielkie? Po co, czy nie lepiej, żeby było dobre, intelektualne, techniczne? Czy to wołanie o wielkość pisarzy nie jest wołaniem niewczesnym, romantycznym. Tym bardziej, że wiemy, o jaką to wielkość chodzi. Cywilizacja nasza — czy się to komu podoba, czy nie — jest cywilizacją techniczną. Pisarz, żeby być w zgodzie z nią, musi być przede wszystkim w zgodzie z własnymi możliwościami, w zgodzie z warunkami. Jeśli nie można siłą, trzeba sposobem. Filozofii swojej uczyłem się obserwując na przykład woźniców, tragarzy warszawskich. Jeśli nie mogli dać sobie rady z ciężarem, tak właśnie krzyknęli: „Nie siłą, panowie, sposobem...”. A więc pisarz musi być sprawny technicznie. Prawdziwym powszechnym dowodem krytyki. Przekonywający trafiającą formą. Doświadczalny. Polskie pisarstwo jest w okresie — ważnego dla przyszłości — doświadczenia.

A może to wołanie o wielkość jest jednak wołaniem o konkretnego człowieka w pisarstwie katolickim? Chyba. Rzeczywiście trzeba się zgodzić, że nie widać go nawet na jaką taką miarę. Dobrych, potwierdzających swą, na przykład, prozą postulat doskonałości instrumentu i uczciwości psychologicznej społecznej pisarzy jest nawet dosyć dużo. Nie są, to pisarze katolicki. Wzrastali zresztą wtedy, kiedy trzeba było: albo zostać prorokiem, albo praktycznie broniącym się przed szaleństwem anarchizującego idealizmu à rebours. Albo zginąć. Prorocy się skompromitowali — zostali praktycy warszawski. Miałem się — powtarzam — wszyscy. Wszyscy, którym zależało na obronie dobrej tradycji, jak i na przyszłości narodu i kultury.

W końcu, żeby naprawdę nie zwariować, kazałem Stasiowi Dygatomu pisać po prostu i tak mniej więcej, jak my wszyscy — podobno psychologicznie — przed wybuchem wojny. Te spotkania z nim, dyskusje, korekty dawały mi pewność, że czynię słuszną rewizję, jak i dały mi wreszcie przekonanie, że przedłużam żywot jakiejś sprawy. Kontynuować — słowo w Polsce specjalnie niepopularne. Kontynuować i właśnie to, co się przed wojną na małą i specjalną miarę zaczynało burzyć. Inny przyjaciel mój, K. Brandys, odwiedzał mnie codziennie przez dwa lata. Broniliśmy się wspólnie. Przede wszystkim przed samotnością, potwierdzając akty socjalizmu psychologicznego. Bardzo późno zorientowałem się, że i ja temu chodzę o to, żeby przekonać się: nie święci garnki lepią. I że bez poczucia wielkości można być dobrym pisarzem, albo i lepszym, wypełniać pozytywną rolę w skomplikowanym układzie rozwoju wartości. Po przyjeździe do Krakowa spotkałem trzeciego obiecującego młodego człowieka, Tadeusza Kwiatkowskiego. Światopoglądowo — w rozmowie — okazywał się zupełnie inny niż tamci. I nawet po prostu praktykujący katolik. Poza tym — uzdolniony, uświadamiający się — z piękną postawą etyczną. Gdy mi pokazał wreszcie swoje teksty literackie, zobaczymy w nich wszystko — bliskie mi kiedyś bardzo: perfidną technikę artystyczną, zdania chwytające godnością ludzką, — cały ruchomy, względny świat zjawisk z dogmatem bardzo odległym, bardzo intelektualnej konstrukcji. Jak przysłużyć się „Lunaparkiem” dogmatycznemu katolicyzmowi? Ale i to nie jest wykluczone. Jak przysłużyć się „Lunaparkiem” wielkości, o którą chodzi Kisielewskiemu? Zupełnie wykluczone... Od marca przylądzam się młodziemu literackiej Krakowa. Jest wśród nich wielu kandydatów na pisarzy „doskonałych”, jest wśród nich, zwłaszcza wśród poetów, sporo użytecznych praktyków przebudowy stylu myślenia i życia, ale nie ma wśród nich ani autentycznego, ani wyrozumowanego patosu. Poeci kontynuują szczęśliwie odkrywczy sposób Przybosa, mają formę Czechowicza, nowy, choć skromny liryzm Piętaka. Nie, na pewno nie ma wśród nich kandydata na wielkość — to zło, a może dobrze — ale jest już w Polsce od dwudziestu lat wielka uczciwa praca oddająca usługi jako tako przemianom w imię dogmatu prawdy absolutnej, ale w imię porzukiwania prawdy, doskonałości form współżycia i porozumienia.

Ano: jak nie siłą panowie, to sposobem. Jesteśmy tutaj.

A więc, kiedy nagle formy zawiodły, kiedy Bóg, mimo żeśmy się spodziewali, nie przysłał swego proroka, który by odrodził sposób wielkości, co nam zostaje? Zgodzić się z postępowaniem istniejącym, związać z dialektyką istotną, składać sobie samemu powoli doskonałość zawsze niezupełną, ale zawsze zgodną z warunkami i wierzyć, że postęp nie jest przeciwny zapanowaniu Królestwa Bożego na świecie.

Z okazji Bożego Narodzenia życzyć panu Kętrzyńskiemu, panu Kisielewskiemu i panu Dobraczyńskiemu, choć go osobicie nie znam — Wesołych Świąt. Stefan Otwinowski

Poza dymną zasłoną

Trzy są organy prasowe katolicyzmu w Polsce: „Tygodnik Powszechny”, „Tygodnik Warszawski” oraz „Dziś i Jutro”. Dwa pierwsze reprezentują starsze pokolenie, trzeci młodszy, ale za to obciążony niesławianą tradycją ONRU, od którego polityczni konwertyci odwracają się („obecnie jesteśmy przeciwnikami monopolu i wszystkich pokrewnych im systemów”).

Przemiany polityczne stanowią jedną z cech naszego przedmowego czasu i zależnie od szczerości i wysiłku zmiany poglądy mogą być zjawiskiem zarówno zrozumiałym, jak nawet pożytecznym u jednostek i u grup.

Nie można tego powiedzieć o „Tygodniku Warszawskim”. W tym tygodniku, poświęconym zagadnieniom życia narodowego, odnalazły się i zostały znane osobistości i plóra. Ks. Zygmunt Kaczyński, ks. biskup Michał Godlewski, Marian Grzegorzczak, Bolesław Szczepkowski, Wł. J. Grabowski, Stanisław Rymar, z literatów Adam Grzymała Siedlecki i Zuzanna Rabska. Wśród autorów pierwszych pięciu numerów tygodnika jest spory zastęp współpracowników „Prosto z Mostu”. Przypomnijmy Zygmunta Wasilewskiego. Wspomina się J. L. Poptawskiego i Zygmunta Balleckiego. Roman Dmowski jest gloryfikowany.

Ideowe przedpole katolicyzmu, któremu przypisywana jest rola siły porządkującej, nadzornej organizacji moralnej, jedynie zdolnej zapewnić zbawienie umęczonej ludzkości tu, na ziemi. Ks. kardynał prymas August Hlond w tym upatrzył główny dylemat „czy przyszłość oprócz na zasadach i wartościach chrześcijańskich, czy światopoglądzie materialistycznym”. Rzecz zrozumiała, że obrońcy spirytualizmu skrzykują się na krucjatę przeciwko dialektycznemu materializmowi. Obiecują renesans katolicyzmu, wskazują na czesłowe powodzenie wyborcze de Gadiłłstów we Francji i rzekoma regenerację katolicyzmu wśród polskiej inteligencji. W tym wszakże zachowują poczucie rzeczywistości („Jeśli jednak porównamy nasze stosunki z zagranicą... musimy stwierdzić, że bardzo jeszcze wiele pracy przed nami...”).

Aspekt społeczno-polityczny nasycony jest radykalizmem. „Myślenie i marzyć o powrocie do przeszłości to znaczy podać się zwodniczym złudom, wykreślić się dobrowolnie z liczby tych, którzy rozpoczęli budowę gmachu nowej przyszłości” (ks. Kaczyński). Zatem przez z marzeniami! Zresztą: „Nie lekamy się ani nowoczesności, ani przemian społecznych ani ludowej formy rządów... (ks. kardynał Hlond). Kościół już towarzyszył w drodze wielu systemom i składał dowody zdolności w dostosowywaniu się. „Umiał zawsze dostrzec, co nowe prądy ludzkości przyniosą i — ku zgorzzeniu wielu — razem z nimi na nowe zapuszczać się szlaki dziejowe” (Zofia Starowiejska-Morsztynowa). Tak i obecnie zbiera się do nowej historycznej krucjaty.

Zagadnienie współżycia narodów mieści się w ramach uniwersalizmu i znów mocno akcentowanych zasad równości bez względu na rasę i pochodzenie. Nawet ks. biskup Godlewski staje na tym gruncie i powołując się na Jeffersona, Wilsona i Roosevelta, oraz „honor prawdziwej demokracji”, gromi „płytke enuncjacje różnych zdawkowych demokratów” („Wolność a dyktatura”).

Krajem szczególnej doniosłości dla katolicyzmu jest Polska. W poglądzie na jej przeszłość, proponowanym nacjonalizmem dawnego, klasycznego gatunku, miejsce pesymizmu zajmuje bezbrzydły optymizm, Antoniego Chołojewskiego „duch dziejów Polski”. „Nasza hipoteza moralna jest najczystsza”. „Zadnych nie mamy w stosunku do innych narodów przewinień”. „Rycerskość jest najbardziej wybitną cechą naszego narodu”. Dołącza się do tego „majestat duszy polskiej”, „krzepa w kościach” i „żywa wiera w duszach”. I naturalnie postulat, które polega na związku z Bogiem i kościołem. „Tak długo jest Polska, jak długo kościół” (Andrzej Ziomek). Ten nieco prymitywny wykład znajduje wzmocnienie w artykułach M. Grzegorzczaka („Kościół i lud”) i Ludwika Kowalczyka („Demokracja a przemiany społeczne”), miarodajnie zaś z ręki ks. kardynała Hlonda. „Nie myślę się chyba, twierdząc, że Polska jest przez Opatrzność zastrzeżony przywilej chrześcijaństwa w czasach”. Rodzaj neomesjanizmu.

Spoza tej zastony wyglądają jednak miejscami inne, bardziej realne sprawy. Główny publicysta ks. Kaczyński „Po powrocie” do kraju z emigracji zastał w nim „mało troski, aby odpowiedziano ludziom zajmującym odpowiednio stanowiska” („Czy wracać do Polski?”). Byli ministrowie wyznali religijnych i oświecenia publicznego w rządzie londyń-

skim zainicjował w czasie wojny akcje wydawniczą podziemnych drukarni w Londynie i Jerolimie oraz opracowanie projektu reformy szkolnictwa. „Niestety, tym cennym materiałem obecnie Ministerstwo Oświaty niewiele się interesuje” („Oświata i nauka na obczyźnie”). Tworzywo „Tygodnika Warszawskiego” nie jest zatem czysto teoretyczne tylko. Nie jest też ono całkowicie „ideologicznym sporom” ani w znaczeniu przeszłościowym, skoro na piszących ciąży tyle balastu przeszłości, ani też w sensie aktualnym.

Oto pismo stopniowo i systematycznie zawiera do Romana Dmowskiego. Zaczyna się od wspomnienia, po czym rośnie potrzeba „zajrzeć do dzieła Romana Dmowskiego i posłuchać jego ostrzeżeń”. Kończy się zaś na tworzeniu legendy. Bolesław Szczepkowski („To i owo o Romanie Dmowskim”) daje pean na cześć „twórcy polskiej myśli politycznej”, postaci „meza, który...”. Niezaprzeczalne są pewne zalety rozumu Dmowskiego, którego dowody złożył w swej książce „Niemcy, Rosja i kwestia polska”. Nie da się jednak zamazać, że był jednostronnym nacjonalistą i że głosił hasła podobne do tych, jakimi żyły Niemcy Trzeciej Rzeszy, a nawet dopuszczał się pochwały faszyzmu:

„Płytkością byłoby twierdzić, że jest on próbą chybioną. Dokonał on ogromnego dzieła nie tylko dla Włoch, ale dla całego świata naszej cywilizacji!”

A * Hitlerze:

„Hitlerzyście chce uratować Niemcy gospodarczo i politycznie, nade wszystko zaś chce ocenić naród niemiecki od rozkładu, chce wzmożenie wpływy narodowe i uchronić państwo od niszczylińskiego wpływu sił przeciwnarodowych”. I jeszcze:

„Nie można odmówić ruchowi hitlerowskiemu dodatniego wpływu moralnego na swych ludzi, zwłaszcza na tych, których szereguje do czynnej walki, koszarując i utrzymując.”

Te fatalne oceny Dmowskiego uchodzą uwagi Szczepkowskiego, u którego jest wprawdzie „to”, ale nie ma „owego”. Zmistyfikowany rewizjonizm prowadzi do humorystycznej rewelacji: „Zbyt zakorzeniło się, że Dmowski był wrogiem Żydów. Otóż niech się dowiedzą (ludzie), że Dmowski nie był antysemitą”. Taka koniunkturalna poprawka jest potrzebna w bieżącej chwili (zachód patrzy!), aby „bit od tej postaci majestat jakiegosi dostojęstwa myśli, prawdziwa wielkość”.

Skąd i po co gorliwość we wskrzeszaniu Dmowskiego, odczytanie go z brunatnych plan, niepamięć nawet dla wielu zastrzeżeń, jakie budził u czytelników kościelnych onego czasu? Wydaje się, że w inwentarzu, który mieści się poza gloryfikacją Romana Dmowskiego, jest komi trojański. Gdyby został wmanewrowany, z brucha jego wyszłyby w życie publiczne wątpliwe dary ideowe i pomysły polityczne.

Będzie dla nich lepiej, jeżeli zastosują poważniejszą metodę. Przede wszystkim jeżeli dowiodą, że w katolicyzmie istotnie tkwią wielkie, porządkujące siły, wartości światopoglądowe. Dowodów nie zastąpią polityczne i ideowe zapożyczenia u przestarzałych, zdyskredytowanych pisarzy i statystów. Nie starczy też za nie anegdota o żarliwych praktykach religijnych Jakuba Maritaina i Emilia Breitera, który w ostatnich, ciężkich miesiącach swego życia klepał podobno zdrową duszę Stanisława Piaseckiego. Na samo tylko oponowanie krzyżu spodwodowanego w kościele niedostateczną odpornością Stolej Apostolskiej wobec faszyzmu w okresie wielkiej trwogi, przyjdzie tożyc wiele trudu, szczególnie w Polsce.

Poważna próba rewizji w tonie katolicyzmu u nas odbyła się przed kilkunastu laty. Kącęta, które ją podjęły, popłynęły z bystrym prądem przemian duchowych, z nurtem istotnych przemian społecznych i wyładowały w obozie prawdziwej demokracji. Książki, który im patronował, został sam na brzegu. Był nim ksiądz Walerian Meyszynowicz. Młodziży przewodził jeden z najzdolniejszych umysłowo młodego pokolenia, Henryk Dembiński.

Byli młodzi, konsekwentni i poszukiwali żarliwie prawdy.

Józef Sieradzki

W teatrach krakowskich



WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
znany poeta powrócił do kraju

Podróż w świat, który przeminał

Andrzej Nowicki. Podróż do świętej ziemi. (Kraków), „Czytelnik”, 1945; str. 46 i 2 nl.

Ze wszystkich gatunków literackich formą najbardziej osobistą jest bez wątpienia poezja, a w szczególności jej odmianą liryczną. W przeciwieństwie do powieści i dramatu — liryka jest tego rodzaju artystycznym kształtowaniem świata wyobraźniowego, w którym ściśle subiektywne odczucie i ocena elementów tego świata odgrywa przy jego budowie rolę pierwszorzędną. Nie oznacza to jednak, aby prawdziwy poeta — jak chciałby go niektórzy nazwać — czysty liryzm stanowił zerwanie z powszechnością, wyodrębnienie jednostkowych, osobistych wrażeń poety z rytmu wspólnego większymi całociami społecznymi. Nawet Leon Chmirowski — krytyk o metodzie badawczej dość chaotycznej i wątpliwej — rozumie, że mówiąc o wartościach subiektywnych liryki chodzi o te, które by „posiadały taką pojemność, głębię i moc, aby mogły stać się społecznymi, aby w rytmie indywidualnego przeżycia poety i publiczności czytającej rozpoznała, czy przeżycia swój rytm wewnętrzny — bez względu na to, czy temat poematu jest jej bliski czy obcy” („Nowa literatura w nowej Polsce”). Principium individualitatis liryki leży przeto w jej subiektywizmie, ale subiektywizm ten nie może być oderwany od łożyska zbiorowości, która mu nadaje kierunek i rezonans.

Powyższe uwagi aktualne są w związku z wydanym obecnie tomikiem poezji Andrzeja Nowickiego „Podróż do świętej ziemi”. Tu właśnie zachodzi przypadek, gdy subiektywizm poety nie łączy się z jakimś, choćby najdyskretniejszym, ale nieodwrotnym przewodem z rezerwuałem powszechnych uczuć, wrażeń jego uwiecznionych w najbardziej osobistym i intymnym miejscu osobowości, w wewnętrznej samotności, w samotności, a jak światło osamotnionego ptaka zamkniętego w klatce, który nigdy z innymi ptakami nie fruwał na wolności. Dominanta liryczna poezji Nowickiego jest wspomnienie. Ale wspomnienie pozbawione tego elementu, który nadaje mu dynamikę uroczystego przeżycia zbiorowego: ważności i niepowściągniętości wspomnianych spraw. Krag wspomnień lirycznych poety — idący Marienształem? „kamienne schodki” — którym zbiegają zakochani w dół ku Wiśle — „kanonia plebania warszawska”, jakaś pani serca — jakiegoś dalekiego okna w dalekim mieście itd. Są to rzetwne punkciki cieniutkich i nikłych wrażeń, ku którym tęskni poeta, ale które obec są dookoła jego rzeczywistości, do źródła jej wrażeń zaczyna się gdzieś indziej i głębiej.

Podróż, która odbywa poeta, nie prowadzi daleko, bo dokonują się wytyczne w jego własnym wnętrzu, zamknięta jest w kredowym kole, które autor wykreślił sobie magiczną różdżką swoich wspomnień i odizolował się nim od huczącego świata tragicznych przemian. Podróż ta zaczyna się od dawnej, staroswieckiej, umiłowanej Warszawy — i w niej się kończy. Dlatego wszystko w poezji Nowickiego jest staroswieckie. Poczynając od rytmów i rymów przewycięzonego już w naszej poezji Skamandra, którego Nowicki jest konsekwentnym epigonem, aż do metaforyki i frazeologii, chyba jeszcze z czasów Or-Oty czy nawet Kazimierza Laskowskiego. Ułubionym rekwizytem poezji Nowickiego jest niezawodny księżyc, wjany kompan wszystkich młodopoezytyckich wlotów, naturalnie w nieodwołalnej aureoli srebra. „Księżyc nocny Marek... ze studni srebrna woda pije” („Chwila”), „księżyc na niebie srebrzyste zakwitnął”, „księżyc prostaczek dachy osiebrzyło o zmroku” („Ślad Cherubina”), „zmlerzchoł”, i „ciężki”, a także „młodopoezytyckich form czasownikowych”, „zapląkane, zezłoczone” lub „rozszelścił, rozszepał”, „Jest to nawiązanie-widoczna melodia tej uroczej, delikatnej poezji, która nasił dziadkowiem w angielskich wpiświali do sztambucha babciom w sztywnych turlunurach i szleszczących krynolinach, w tych czasach, gdy jeszcze dziadkowie nie byli dziadkami, a babki — babkami.”

Miła nawiązność zbioru Andrzeja Nowickiego przejawia się także w innym szczególe z zakresu jego techniki poetyckiej, w szczególności metafory. Jest to mimowolnie ożywianie przedmiotów martwych przez nadawanie im cech człowieka, dziecięce odkrywianie w rzeczy i materii właściwości ludzkich (chwyt bardzo stary, którego powszechność stwierdził Przybył w „Panu Tadeuszu”): „domy sennie szepcać brewiarze” („Kanonja”), „tym młodzieńcze-kamieniczek” („Rynek”), „po-gwierzem dół — pokoi wszedł żóty poranek” („Melodia”), „okna w okna zerkają” („Rycerska”) itd. Ten maleńki światek przedstawia się nam nawiąznie, trochę melancholijnie, trochę zabawnie, jak z bajeczki dla grzecznych dzieci: „Księżyc prosto pokojkoje Marienształem”, „ulica zwiśa prosto z księżycą zakochanym pod nogi”, w Ryńku domny w zwartym ordynku, gwardia w czaroboku — wszystko musiałoby tak wyglądać kiedyś przed tysiącem, tysiącem lat, za siódmą górą, za siódmą rzeką. Tylko, że dzisiaj jest już inaczej.

Ściśle osobisty i prywatny liryzm Andrzeja Nowickiego jest miły, rzetwny, wruszający, pachnie niby zasuszone kwiatki znalezione po wielu latach między kartami pozółkłej książki, lub jak nieśmiała już dziś koronkowa sukienka z pierwszego dziesiętnego balu wydobytą z dna staroswieckiego kufra. I sam poeta chętnie ucieka do tych omszanych wspomnień, gdy w wierszu „Sport staromodny” znajduje w zakurzonych kątach „szpagat starych gazet”. Ale te podróże nadziei musiał odbyć sam. My nie wrócimy już z nim razem „na emen-tar, na Łośne Rozogi!”, śladami Cherubina albo — „a la recherche des femmes perdues”. My idziemy naprzód, po ziemię może wprawdzie nie święta, ale za to urodzajną w nowe życie i nowa powieść.

Henryk Vogler

W Krakowie jeszcze raz powstał nowy teatr. Nowy teatr! Od tych słów rozpoczynam nie wiem po raz który już z rzędu recenzję. W naszym mieście ilość teatrów dochodzi do tego, że każdego z widzów rozszczępia na kilkoro. Weźmy na przykład krakowskiego kolejarza: chodzi on jako kolejarz do Teatru Kolejarskiego Z. Z. K., ewentualnie jako członek T. U. R-u do „Kamerálnego”, jako członek Związku Zawodowych Zawodowych do Teatru Z. Z., a jako miłośnik prawdziwego teatru — jeszcze gdzie indziej. W tym stanie rzeczy wydawało by się, że nie sposób wejść do Kraków jeszcze jednej sceny. A nawet wymyślić dla kogo specjalnie mogłaby służyć. Tymczasem M. Billizanka, Z. Myślakowska i H. Wielowieyska nie tylko wymyśliły, jaki przybytek jeszcze mógłby powstać, ale wymyśliły, jaki przybytek koniecznie powstać powinien. Dla dzieci!

Na jednym z późniejszych przedstawień „Meza z grzeczności” w „Słowackim” ze wzniesieniem przyglądałem się publiczności. W większości składała się ona ze starszków. Państwo nasze nie zawsze znajduje dosyć serca dla ludzi starych, dla emerytów, dla osób nadto wiekowych, by mogły pracować, z tego powodu sympatyczny wydał mi się odruch „Słowackiego”, który pomyślał o najbliższych. Mówię to bez odrobiny złośliwości. Zbliżam się do wieku, w którym, zgodnie z radą A. Lichtenbergera, należy zacząć chodzić koło starszków, bo kiedy pomierzą, trzeba już będzie samemu zająć ich miejsce. Po wtóre głęboko wierzę, że miara kultury i szczęśliwości danego społeczeństwa jest jego stosunek do starców. U nas on jest niedobry. Kilku z nich znalazło schron, ten jest członkiem prezydium K. R. N.-u, tamten prezesem wielkiego politycznego stowarzyszenia, trzeci ministrem, czwarty członkiem Akademii Umiejętności. Pewnie! Ale to są wyjątki. W zasadzie legion prapierńców ma się strasznie źle. Dlatego lubię rzucić okiem, jak na jakiś czas przed spektaklem „Meza” (nie mylić z „Dokonałym”), różne panie i panowie w sile wieku zdążyli do teatru, prowadząc krok za krokiem swoich starszych państwa. Pięknie, ale znowu za pięknie. Bo nie było gdzie prowadzić dzieci. Przejrzyj jednak do krasnoludków.

Otóż na swoją prapierńkę teatr dla dzieci nazywający się „Wesoła Gromadka” wybrał przebróbkę bajki M. Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Po niej zapowiada montaż „Z biegiem Wisły” oraz „Pinocchio”. Coś dla nauki i coś dla wyobraźni. Nauka i wyobraźnia to cele najbliższe wszelkiemu teatrowi dla dzieci. A dalsze? Przede wszystkim obnawienie maleńkiej istoty z teatrem. I w tej mierze danię do ręki pewnego elementarza. To zadanie ważne i trudne. I wyjątkowo odpowiedzialne. Zarówno na tym wstępnym stopniu — rozwijania wyobraźni, jak i na tym wyższym — rozwijania w dziecku tych wszystkich właściwości uczucia, które w przyszłości dadzą z niego pełnowartościowego widza teatralnego.

Wiele najpierw wyobraźni! Jak? Przez wszystkie najbardziej bajeczne wydarzenia na scenie. Bo nie bojmy się bajki. Uznaj ją wszystkie wychowawcze systemy świata. Pogląd, że bajka to opium dla dziecka, dawno już został przewalczony. Chodzi teraz o to tylko, jakie mają być bajki. O czym? O cudowności świata, o cudowności ludzkiego wysiłku i o cudowności ludzkiego serca. A jakie nie mają być? Takie, które rozwijają wyobraźnię zmysłu, krwi, przemocy. I takie, które darów cudownego losu nie wiąże niczym z ludzkim wysiłkiem, staraniami i zasługą. Natomiast w żadnym razie wspólny pedagog nie powinien powiadać do bajek: — Tylko bez cudów! Przeciwnie. Literatura dziecięca jest w tym szczęśliwym położeniu, że nie obowiązuje jej postulat realizmizmu, o którym tak często pisze dr Wyka. Wykastrojowanie, że tak powiem, literatury z elementów czystej fantazyjności obowiązuje wyłącznie literaturę dla dorosłych. Natomiast ta dla najmłodszych ma i może fantazyjować, bo myślenie i kojarzenie dziecinne właśnie tym się różni od dojrzałego, że dziecinne wspiera wyłącznie z samej fantazyj. I literatura owa fantazyjować nawet musi, ponieważ na drodze rozwoju osobowości ludzkiej konieczna jest taka stacja. Jest to nawet stacja węzłowa, akumulująca fantazję na przyszłość. Nie dlatego tylko, że przez całe życie fantazyja w określonej proporcji wchodzi do nieskończonej ilości ludzkich działań i pomysłów, ale przede wszystkim dlatego, że podstawowy kanon fantazyj, a mianowicie: silna wiara w cudowność świata i w to, że kryje on w sobie sto razy więcej możliwości, niżeli na to wygląda — jest istotnym źródłem postępu, wynalazków i nauki. Einstein, Marconi, Eddington to w pewnym stopniu zagadnienie dobrej naiwności z miłości. W przeciwnym razie skąd by im to wszystko do głowy przyszło? A teraz teatr — jako prolegomena (rzekby dr Sieradzki) do każdego przyszłego teatru dla dorosłych. W tym względzie ma teatr dla dzieci znaczenie fundamentalne. Można by o tym pisać godzinami. Istnieje bowiem cały dziesiątek spraw, których przyszłym dobrem rozporządza w sposób decydujący książka dziecięca, a więc również dziecinny teatr. Z książki dziecinnej uczy się czołwie śmiechu ze środków cieniutkich, literackich, humorowych. Jeżeli się uczy! Z książki dziecinnej nabywa smaku do dobrej plastyki. Jeżeli ją w nich odnajdzie! W zakresie ich czynności przed wojną dużo wysiłków, starając się dla książek dziecinnych o możliwie najlepsze ilustracje. Mimo, iż większość dzieci bez wahania wybierała je. Cemu? Z pewnością nie dlatego, że te dobre ilustracje były pod względem malarskim dobre, ale dlatego, że były pod względem dziecinnym złe. Były nieczytelne, niejasne. Zawile! Zachodził wypadek mający podobieństwo z tym, który z reguły występuje, ilekroć czytelnika powieści kryminalnej zetknięt z dobitną powieścią psychologiczną. Taki czytelnik odkłada ją, nie chce jej czytać. Ale znowu nie dlatego, że to dobra powieść, psychologiczna, lecz — jak słusznie zauważa Chesterton — dlatego, że to zła powieść kryminalna. Ale — powróćmy do krasnoludków.

Widowisko przygotowane reżysersko przez Billizankę, muzycznie przez A. Kitschmana, a dekoracyjnie przez Jerzego Sześkiego, miało mnóstwo dobrych stron. Przede wszystkim sam pomysł przebróbki! Tylko niepotrzebnie taki wieńczył i ścisli! Niejedno było do zlekceważenia u Konopnickiej. Przede wszystkim cała bytność Marysi na samym końcu świata w bajecznej monarchii królowej Taty, do której poszła, aby od niej uzyskać z powrotem swoje gaski podstępem wydarte przez Lisę. Wprawdzie to pojęcie na koniec świata i ładne i sentymentalne i poetyczne. Nawet zwycięż! Ileż to razy czołwiek rzeczywiście gotów lecieć na koniec świata za byle ułudną gęsią, ale teatralnie biorąc, scena u Taty rozbija ciąg opowiadania i jest konstrukcyjnie zbyteczna. I ten cały dwór królewski! Billizanka winna była sobie to samo powiedzieć, co w pewnym momencie powiedziała sobie Jugostawia. — Dwór jest ciężki, sztywny, niezabawny i strasznie podnosi ogólne koszty. Nie mam na podobne luksusy. — Natomiast kto wie, czy nie należało by powrócić do wątku Lisy. Ale — wróćmy do krasnoludków.

Były nimi dzieci. Uroczy składnik widowiska, który bawił się i grał wybornie, szczerze, hulaśliwie i w dostatecznej odległości od krzesła widowni, aby można było z jego zabaw brać pod uwagę wyłącznie element estetyczny. Dekoracje Sześkiego — udane. Głos królowej Taty (Tarskiej) — piękny. Ja sama zespół „Wesoła Gromadka” powinien stanowczo zatrzymać nawet kle-

dy jej korona z głowy spadnie. Muzyka Andy Kitschmana jak zawsze niezawodna i jak zawsze nieco głuśząca tekst. Z dojrzałych aktorów pamiętniejsi: Z. Jabłoński (Lis), St. Kosmałowski (Kowal) i bardzo dobry J. Nowak (Pólponek). Wiosnę wykonał zespół baletowy Ireny Michalskiej. W sumie przedstawienie ambitne. Impreza bezwzględnie warta opieki i poparcia. Ze strony ministra kultury i sztuki, ze strony naszych miłośników i ze strony nas samych, ludzi dorosłych, którym naprawdę miło będzie na dwie godziny wspomnieć sobie samemu te wszystkie dzieciństwa i wrócić do krasnoludków.

W Krakowie istnieje pierwszy w Polsce Teatr Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Przystąpił on właśnie do swej trzeciej premiery, do sztuki francuskiej „Ostrożnie, świeżo malowane” René Fauchois. W programie, który dotyczy tego spektaklu, znajdujemy artykuł ogólnoinformacyjny o pracach TUR-u na terenie Krakowa. O TUR prowadzi Uniwersytet Powszechny im. A. Mickiewicza i ma bibliotekę. Poza tym to on wydał „Sens istnienia” pióra śp. dr L. Staronki. To on również, jak już wiemy, powołał do życia „Teatr Kameralny”. A na koniec jeszcze: — „każdego miesiąca na kilka dni przed pełnią... urzędnie w razie dogodnej pogody... pokazy nieba”. Widać więc, że TUR jest naprawdę towarzystwem, które rade by swoim członkom nieba przychylić. Jakie są jego pokazy, czy rzeczywiście towarzyszą im „fachowe objaśnienia” — nie umiem powiedzieć. Skądże! Mam pewne rozeznanie w sprawach teatru, a tamto jest astronomia. Rozumiem się na obu, to się chyba nie może zdarzyć. W każdym razie jest jasne, że ostatniemu przedstawieniu w „Kamerale” daleko do pełni. To raczej zaćmienie.

„Sztuka nie wydaje mi się zła. Fauchois jest zgrabny, zabawny, lekki. Jego lotność przypomina pierwsze próby utrzymania się w powietrzu, dokonywane kiedyś przez Bleriota czy Farmana. Fauchois podlatuje na chwilę w górę. Kiedy się znajdzie nad ziemią, chyboce się. Czuję w jego sztuce moźół, kilometrę waty. Widz nudzi się, poci, ale w wielu miejscach szczerze się roześmieje. Z sytuacji, z paru powiedzeń, z samego pomysłu.

Który jest świetny! Mniej więcej taki. W małym prowincjonalnym miasteczku zmarł przed kilkunastu laty pewien malarz. Dziwak, mizantrop, beztalenty. Ale to się tylko tak zdawało współczesnym. Po czasie krytyka pojęła swój błąd. Z hukiem następuje odkrycie tego Norwida malarstwa. Wystawy, katalogi, wydawnictwa! Ceny z kilku franków za obraz skaca do kilkuset tysięcy. Z wydanej korespondencji świat dowiaduje się, gdzie genialny Mavrier spędził ostatnie lata. Handlarze, kolekcjonerzy, krytycy walą do miasteczka jego ostatnich dni. Malarzem opiekował się dr Gadarin. Odszukują go, oszukują. Z kolei on ich. Oto w kilku słowach osnowa sztuki.

Na premierze siedział w mojej bliskości Czesław Rzepiński, prezes krakowskich artystów, malarz i krytyk, krytyk walał do miasteczka jego ostatnich dni. Malarzem opiekował się dr Gadarin. Odszukują go, oszukują. Z kolei on ich. Oto w kilku słowach osnowa sztuki.

Cóż? Po prostu stwierdzam, że jeżeli chodzi o sprawy malarstwa, sztuka Fauchois wywała u nas drzwi otwarte. Może by więc warto ją przetransponować, zaktualizować, w pewien specjalny sposób spolszczyć. Za pomocą swobodnej parafrazy. Ze ten Mayrier nie jest malarz, ale że pisze. Ze na przykład to powieściopisarz! Ot! Dla mnie koncepcja osobiste bardzo pociągająca. Ale rozumie, że jest do przeprowadzenia trudna. Nowe? Stare? W dzisiejszej literaturze tak się to wszystko teraz zawikłowało, aż doprawdy przykro. Ale oto wpadłam na prostszą koncepcję. Żeby uderzyć w teatr, które za nie nie chcą wystawić nowych polskich sztuk. To już jest doprawdy czysta komedia. Ot, jak mniej więcej ona by przebiegała:

Tytuł: „Ostrożnie, świeżo napisane”. Rzecz dzieje się w małym miasteczku na polskiej prowincji. Rok jest 1970. Właśnie ok ukazał się nr 2 miesięcznika „Teatr”. Między innymi zawiera on fragment sztuki. Autor całkiem nieznanymi, może zapomnianymi. Dwojga imion Antoni Mariusz Sminarski. Fragment wystawiany. Jednocześnie z fragmentem „Teatr” podał trochę starej korespondencji. Teraz się wszystko wyjaśnia! To chodzi o Swinarskiego. Tylko znowu z tą korektą w „Teatrze”! 25 lat temu! Owszem, starzy ludzie teatru coś nie coś sobie szczerze przypominają! To wtedy, kiedy doszczętnie zniechęcony Swinarski wycofał się na wszystko ręką. Na prowincji gdzieś się zaszły, zgorszkał i umarł. Z korespondencją jednak wynika, że sztuki rozdzierał najbliższym sobie miejscowym osobom. Krytyka jest fragmentem oślnioną. Nareszcie pojmuje błąd. Teatr też. Wszyscy leżą pedem do miasteczka, o którym zmarły w swej korespondencji pisze. Oto u proboszcza (przed laty był to młodzieńki, rozkochany w literaturze wikary) znajduje się „Legenda o mądrym mezu”. Jedyny egzemplarz świata! Inny ktoś znowu ma „Achillesa i panny”. Rarytas! Albo „Latającego Holendra”. Ho! Ho! Dyrektory przepłacają, podstawiają sobie stołki. W pierwszej rundzie zwycięża „Słowacki”. Zawsze ma to samo szczęście do sztuk spłatynowanych czasem! Wystawia „Achillesa i panny”. Powodzenie szalone. Na widowni słychać szlochy. To patriarcha recenzentów krakowskich, stuletni Wojciech Natanson płacze ze szczęścia, że wreszcie jego głos, by polskie teatry grały nowe polskie sztuki, pozostał wysłuchany. Achillesa gra Woźnik, syn starego Woźnika. Uliśesa Sołski. Fantastyzmy!

Spektaki w „Kamerale” taki fantastyczny nie był! Odłona Gadarin grał Fertner, w znakomitym stylu. W komedowym! Z garnituru swoich stylów — najlepszym. Sympatyczna sylwetka szlachetnego krytyka naszkicował Stefan Orzechowski. Ale bodaj najciekawszym zjawiskiem spektaklu była Władysława Nawrocka (Zulama Gadarin). Bardzo śmieszna. W doskonałym charakterystycznym stylu. To rzadkie klasy talent. Tylko serce krajało się patrzeć jak jej pomysła, sztuczna gra zawiąza w próżni. Nawrocka całe długie partie grała sama. Kawał kry wśród wód. Niekiedy jej partnerze na scenie tylko — byli. Teatr „Kameralny” znajduje się w nagłej potrzebie reżysera. Inteligentnego, zdecydowanego. Ze zdolności Jaronia, Motyczyńskiego, Zielinskiej można niejedno wydobyć. I z Zbyszewskiej oddanej w mocniejsze ręce. O własnych! Tyle mogę powiedzieć o jej reżyserii i o jej grze. Dekoracje T. Boguszewskiej, z którymi sympatyzowałem w Marivaux, tym razem pomnę głuchym milczeniem.

Tadeusz Breza



SEWERYNA SZMAGLEWSKA
autorka książki dokumentarnej o Oświęcimiu
„Dymy nad Birkenau”

Życie muzyczne w Krakowie

Ruch koncertowy w Krakowie jest w nowym sezonie coraz intensywniejszy i osiąga poziom coraz poważniejszy. Stale koncerty piątkowe i poranki niedzielne w Filharmonii, wieczory kameralne i recitale urządzane przez Biuro Koncertowe Związku Zawodowego Muzyków, wreszcie rozpoczęcie cyklu koncertów popularnych stwarza dla tego ruchu podstawy zapowiadające mu pewną ciążłość, planowanie na dłuższy okres czasu i stronięcie od przypadkowości.

Na koncercie piątkowym, dyrygowanym przez Waleriana Bierdiajewa, przypominała się po sześciu latach przerwy publiczności polskiej znakomita śpiewaczka koloraturowa Ada Sari. W szeregu arii odśpiewanych z towarzyszeniem orkiestry i w licznych naddatkach, które stanowiły mogły niemal materiał osobnego recitalu, podziwialiśmy znowu jej znakomitą technikę śpiewczą, dochodzącą do ostatnich granic wirtuozerii, precyzyjne rudy, staccata i tryle, podane zawsze ze smakiem i muzykalnością. Z kompozycji symfonicznych najpoważniejszą pozycję stanowiła w tym koncercie symfonia g-moll Mozarta i uwertura Palestra, muzyka doskonale brzmiąca, świetnie skonstruowana i zinstrumetowana. Lekka, żywa, dowcipna. Mozart w koncepcji Bierdiajewa przemówił zwłaszcza swą częścią pierwszą. Brzmienie było pięknie sponowane, tak pod względem dynamiki, jak samego charakteru i intensywności dźwięku, ujęcie trafne, bo nie podlegające tego utworu pod konwencjonalną postawę stylu galant, poza który wychodził on już bardzo wyraźnie.

Niedzielny poranek przyniósł „Niedokończoną” Schuberta pod batwą Andrzeja Panufnika (w miejsce zapowiedzianego w programie powtórzenia symfonii Panufnika, czego bardzo zażądać należy, bo powinna ona zostać w najkrótszym czasie powtórnie wykonana i to właśnie na poranku popularnym, podobnie zresztą, jak każdy nowy polski utwor wartościowy, który wchodzi do repertuaru naszej Filharmonii) i powtórzenie serenady Mozarta oraz koncert skrzypcowy Brahmsa ze Stanisławem Tauresem jako solistą. Koncert ten był niewątpliwie najbardziej interesującym punktem programu; Tauros odegrał go pięknie, z dużym umiarem artystycznym. Porozumienie między solistą a orkiestrą nie było idealne (ciekawe nawet pewne odchylenie w ogólnym ujęciu stylistycznym, bardziej „romantycznym” u Panufnika, a klasycyzującym raczej u solisty), ale mimo to niektóre partie, np. cała część ostatnia dały wysokie zadowolenie artystyczne.

W Związku Zawodowym Muzyków mamy do zanotowania pozycje bardzo poważna: wieczór kameralny Ireny Dubiskiej i St. Lefeld z sonatą c-moll na skrzypce i fortepian Beethovena i szeregiem utworów Karola Szymanowskiego. Znakomicie zgrani artyści dali bardzo piękną interpretację sonaty beethovenowskiej, utrzymaną w stylu i wykończoną w każdym szczególe. Z kompozycji Szymanowskiego przemówił najsilniej taniec z „Harasławów”; pieśni kurpiowskie grali artyści we własnej transkrypcji na skrzypce i fortepian. Irena Dubiska wykonała przez tego sonatę Bacha na skrzypce solo, wnosząc w jej wykonanie duży, szeroki ton. Świetna znajomość stylu i gry polifonicznej, które prędysonowały ją szczególnie jako interpretatorkę tego najtrudniejszego repertuaru skrzypcowego.

Również Biuro Koncertowemu przy Związku Muzyków mamy do zawiadzenia pierwszy koncert popularny, który odbył się w sali konserwatorium z udziałem Izmailowa i Stefankiego (duet kameralny: skrzypce i fortepian), Klonowskiego (śpiew), Rudnickiej (śpiew) i Kopycińskiego (akompaniament). Koncert był na ogół na poziomie, wydaje mi się jednak, że co do programu samego, miano-wicie co do jego odpowiedniości dla tych specjalnie celów, można by dyskutować przede wszystkim, czy należy na koncerty popularne dawać programy zestawione przypadkowo, czy też starać się raczej o rozplanowanie ich bardziej systematycznie (np. cykle obejmujące pewien określony kierunek czy okres czasu i dające przez to już bardziej jasne wyobrażenia o poszczególnych rodzajach muzyki, kompozytorach itp.). Wiem, że w naszych obecnych warunkach nie jest to rzecz łatwa, ale zdaje się nie jest też niemożliwa. Przymuszam, że było by wskazane podjąć taką próbę i że rezultaty były by na pewno lepsze.

Stefania Łobaczewska

KOESPONDENCJA

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia”.

W artykule moim „Wspomnienie o Apollinaire” („Odrodzenie”, nr 50) uległy zniekształceniu dwa sędziujące ze sobą zdania na str. 7, szpalka III, w. 15-13 od dołu. Wydrukowano: „Niepotrzebnie jest przestrzeń jako zasada umożliwiająca istnienie wielu rzeczy i zjawisk równocześnie w sobie”. Ustęp ten winien mieć nast. brzmienie: „Nieporozumieniem jest przestrzeń jako zasada umożliwiająca istnienie przedmiotów i zjawisk obok siebie. Nasza przestrzeń umożliwia istnienie wielu rzeczy i zjawisk w sobie wzajemnie...”

Jan Tański (Łódź).

